Nr 20 (1375)
11-17.05.2026
Cena 10,90 zł
(w tym 8% VAT)

Przegląd

tygodnikprzeglad.pl

STEFAN CHWIN
DZIENNIK PRZECIW MITOM I POMNIKOM

LEX KAMILEK
ZAWIEDLI LUDZIE I INSTYTUCJE

Zamach majowy

PAMIĘĆ I PRZESTROGA

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
9 771509 311607 20

eprasa.pl d531504b05

W Polsce 364 tysiące dzieci żyje w skrajnym ubóstwie, często są głodne.
Potrzebna im Twoja pomoc.

POLSKI CZERWONY KRZYŻ

Wpłać i nakarm

BLIK
794 33 22 11
z dopiskiem „OBIAD"

eprasa.pl d531504b05

Paweł Dybicz

MÓJ PRZEGLĄD

Lekcja zamachu majowego

Jeżeli historia jest nauczycielką, to czego nas uczy zamach majowy z 1926 r.? I czy ma dla nas, współczesnych, jakieś znaczenie?

Dlaczego doszło do zamachu? Do najważniejszych jego przyczyn trzeba zaliczyć to, że po wojnie z bolszewikami wśród polityków odżyły animozje, osobiste niechęci mające początek jeszcze w czasach zaborów. Nie bez znaczenia była osobowość Józefa Piłsudskiego. Typ konspiratora, który – w przeciwieństwie do Ignacego Daszyńskiego – nie miał doświadczenia w instytucjach parlamentarnych, a funkcjonowanie państwa widział jako przedłużenie struktur wojskowych. Lewica bała się, że stronnictwa Dmowskiego i Witosa, głosząc potrzebę zmian konstytucji z marca 1921 r., cofną zmiany ustrojowe. Socjaliści, ludzie kultury i nauki pamiętali o zamachu na prezydenta Narutowicza i widzieli rosnącą popularność faszyzmu, nie tylko we Włoszech.

Na zamach majowy nie wolno patrzeć jedynie jako na akcję Piłsudskiego. Zachowanie polityków, wzajemne ataki wzmagały polaryzację w społeczeństwie, nasilały oczekiwanie na coś, co ma się wydarzyć. Poplecznicy Piłsudskiego utwierdzali go w przekonaniu o potrzebie dokonania zamachu, a przeciwnicy wręcz go prowokowali, kpiąc sobie z jego niezdecydowania do użycia posłusznego mu wojska. Zwolennicy akcji Piłsudskiego mieli szerokie poparcie, choćby wśród kolejarzy, którzy blokowali przyjazd wojsk wiernych rządowi.

W wyniku zamachu majowego zginęło prawie 400 osób. Ale to nie jest pełny bilans. Zamach na stałe, nie tylko w II RP, zantagonizował ugrupowania polityczne, również na emigracji. Także w czasie wojny.

Zamach majowy jest i musi być lekcją, ma zmuszać do myślenia, a przede wszystkim ma być przestrogą. Pokazał wyraźnie, jak radykalizm, lekceważenie innych, poniżanie przeciwników politycznych, dowolne interpretowanie konstytucji, nawoływanie do jej zmiany dla własnych potrzeb i niedostrzeganie praw mniejszości prowadzą w niebezpieczne rejony. Trzeba strzec demokratycznych wzorców i każdy, kto tego nie rozumie, wcześniej czy później będzie chciał sięgnąć po przemoc, zmarginalizować ludzi inaczej myślących.

Rok 1926 jest ostrzeżeniem, by przeciwstawiać się wszelkim formom autorytaryzmu i politykom o dyktatorskich zapędach. Jest lekcją, jak może się skończyć przekazanie teraźniejszości i przyszłości Polski i jej obywateli w jedne ręce. I to już jest lekcja nie tylko z zamachu, z rządów sanacji, ale także z ostatnich lat i miesięcy. (O zamachu piszą w tym numerze prof. Tomasz Nałęcz i dr Krzysztof Janik).

BĄKOWSKI

eprasa.pl d531504b05

W NUMERZE

KRAJ

8 **Sztuka strzelania sobie w kolano**
Rada Nowej Konstytucji to kapiszon
10 **Pasterz Kościoła fundamentalistycznego**
Abp Michalik bronił księży pedofilów
20 **Matura szyta na miarę**
Większość zdaje, bo ma zdać
24 **Niewidzialne dziecko**
Kto zawiódł w sprawie Kamilka
26 **Lex Kamilek – lex bubel**
Bez przełomu w ochronie dzieci
28 **Obywatele kontra słuszna idea**
Był pejzaż, będzie fotowoltaika

HISTORIA

13 **Lewica wobec zamachu majowego**
Zapewniła Piłsudskiemu zwycięstwo
16 **Dlaczego na początku lud poparł zamach na demokrację**
18 **Warszawa, 12-15 maja 1926**
Przewrót majowy na fotografiach

ZAGRANICA

32 **Kanclerz w opałach**
Niemcy chcą rosyjskiego gazu
34 **Upadek ostatniego Mohikanina**
Lula walczy o kolejną prezydenturę
38 **Koniec baśni o jedności**
Zjednoczone Emiraty odchodzą z OPEC

KULTURA

42 **Stefan Chwin do czytania z uwagą**
O Herbercie, Miłoszu, Bogu, Polsce…
48 **Polski fenomen Muminków**
– rozmowa z Marzeną Bomanowską
51 **Qulturalia**
52 **Teatr objaśnia (?) nam świat**
66 **Dojrzewanie. Wielogłos o młodych**

OPINIE

46 **Piotr Biegasiewicz**
Praca bez końca

ZDROWIE

54 **Koniec z bólem i wiertłami**
Supernowoczesna stomatologia

SPORT

58 **Jak za dawnych lat**
Górnik z Pucharem Polski

NAUKA

60 **Jak ryby nauczyły się chodzić**
Strefa pływów kolebką kręgowców

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Paweł Dybicz**
Lekcja zamachu majowego
7 **Jerzy Bralczyk**
Hipokryzja i cynizm
23 **Jan Widacki**
Nie matura, lecz chęć szczera…
31 **Andrzej Romanowski**
Stulecie
37 **Stanisław Filipowicz**
Co zapamiętamy?
41 **Roman Kurkiewicz**
Konstytucja nowa? Ale czy w ogóle?
45 **Tomasz Jastrun**
Czy zostaje tylko przemoc?
57 **Wojciech Kuczok**
Była rzeka, jest podwodnica

52
KULTURA

TEATR OBJAŚNIA (?) NAM ŚWIAT
Spektakle, które nawołują do uważności

58
SPORT

JAK ZA DAWNYCH LAT
Górnik z Pucharem Polski

66
GALERIA

DOJRZEWANIE
Wielogłosowa opowieść o młodych

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

eprasa.pl d531504b05

Łgarstwa religii smoleńskiej

Zgadzam się ze Zbigniewem Milewskim (nr 17, s. 5), że winę za powstanie religii smoleńskiej ponosi państwo; jednak jego winę widzę gdzie indziej. Religia smoleńska nie powstałaby, gdyby w katastrofie zginął po prostu prezydent. Ale zginął zarazem bliźniak osoby mającej w tym państwie niemal nieograniczone możliwości. Silna emocjonalna więź między braćmi była wiadoma wszystkim i to ona napędzała tę religię. Nawet po cichu liczyłem, że śmierć brata podczas pełnienia obowiązków państwowych, które de facto doprowadziły do tej tragedii, spowoduje, że Jarosław Kaczyński wycofa się z polityki, w końcu został sam. Nic takiego się nie stało.

Nikomu w tym państwie nie przeszkadzało, że bracia tworzyli układ nepotyczny i wspierali się w karierze. Słynne słowa Lecha: „Melduję wykonanie zadania" jednoznacznie wskazywały na służbową zależność. Jeśli składa się meldunek, to komuś, komu się podlega. W Polsce są przepisy zabraniające podległości służbowej między osobami bliskimi w sektorze publicznym, ale nie tylko. Dlaczego już od czasów Solidarności nikomu nie przeszkadzało to, że Kaczyńscy tworzyli w swojej działalności rodzinny tandem? Nawet dziś sprawę tej podległości się pomija, jak gdyby bliźniacy byli w państwie na specjalnych prawach. Można było wyegzekwować prawo znacznie wcześniej. Nepotyzm to wyjątkowe zjawisko, sprzyjające niepohamowanej korupcji i łamaniu prawa. Religia smoleńska zapewniła, że on trwa i skutkuje a to miesięcznicami, a to budową kilkudziesięciu pomników w całym kraju. Stała się też znakiem identyfikującym: albo uznajesz zamach i jesteś z nami, albo jesteś wykluczony. Rodzinę zwielokrotniono dziesiątkami, a może i setkami nowych członków. Przyzwolenie na łamanie prawa – w tym przypadku przymykanie oka na nepotyzm – było zaczynem religii smoleńskiej.

Jerzy Dryzek

Demokratyczna Polska wyrosła na fundamentach PRL

Z biegiem lat zmienia się stosunek do czasów, kiedy 1 maja organizowane były pochody, manifestacje, ale też pikniki i koncerty. Po 1989 r. najpierw je wyśmiewano, szydzono z przeskalowania tych obchodów. Po części słusznie. Dziś w rozmowach z ludźmi, którzy wtedy pracowali i maszerowali w pochodach, słyszę, że nie był to rodzaj tortury, lecz okazja do spotkań z koleżankami i kolegami, do rozmów. A o tym, jakim wydarzeniem w miastach były pochody, świadczą tłumy ludzi stojących wzdłuż trasy. Przychodzili tam z własnej woli, z ciekawości. Także z dziećmi, które z chorągiewkami stały tuż za barierką.

Demokratyczna Polska wyrosła na fundamentach PRL

Lewica nie powinna się wstydzić ani Polski Ludowej, ani III RP

Zdzisław Karmański

•

Pamiętam, że kiedy Szwedzi budowali w Katowicach przy ul. Mickiewicza dwa biurowce Stalexportu, to 1 maja ze swoją szwedzką flagą poszli na pochód. Oni poważnie traktowali to święto.

Tadeusz Zamorski

ZDJĘCIE TYGODNIA

No i mamy SAFE! Pełnomocniczka rządu Magdalena Sobkowiak-Czarnecka tuż po podpisaniu umowy między Polską a Komisją Europejską. Warszawa, 5 maja 2026 r.

FOT. ADAM BURAKOWSKI/EAST NEWS

eprasa.pl d531504b05

Ponad 82% Polaków jest przeciwnych pomocy państwa dla osób, które straciły pieniądze w Zondacrypto (sondaż IBRiS dla „Rzeczpospolitej"). Ciekawe, ilu uważa, że kasę powinni oddać prezydent i politycy PiS.

•

Firma Przemysława Wiplera, Five Rand, od 2022 r. do marca 2026 r. obsługiwała Zondacrypto w sprawach komunikacji i strategii medialnej. W 2024 r. Wipler jako główny wspólnik dostał 1 mln zł z zysku Five Rand za 2023 r.

•

Telewizja Republika Tomasza Sakiewicza zarobiła na reklamach Zondacrypto ponad 37 mln zł. Od kwietnia do grudnia 2025 r. było tam ponad 550 spotów miesięcznie, a w listopadzie – 687. Jeszcze w styczniu Republika wyemitowała 288 reklam Zondy. Ciekawe, ilu widzów dało się nabrać na tę kłamliwą promocję.

•

Z 2,8 mld opakowań w systemie kaucyjnym wprowadzonych na rynek operatorzy do końca kwietnia zebrali ok. 800 mln butelek PET i puszek.

•

Większość Polaków uważa, że do koperty na komunijny prezent należy włożyć 400-600 zł (28,4%) lub 200-400 zł (24,4%). 12,5% badanych wskazało 800--1000 zł **(UCE RESEARCH)**.

•

Na lotnisku w Radomiu stoją dwa Boeingi 777 izraelskich linii EL AL. Nie wiadomo, czy te samoloty są częścią wojny przeciwko Iranowi i Libanowi.

•

Kenijczyk Sebastian Sawe w czasie maratonu w Londynie przebił granicę 2 godzin w biegu na 42 km 195 m. Jego czas to 59 minut i 1 sekunda.

PRZEBŁYSKI

Kubiczek z zawieszoną licencją

Komornik i syndyk to nie są zawody budzące szczególną sympatię. A po numerach Marcina Kubiczka obraz syndyka jest jeszcze gorszy. Trudno uwierzyć, że ktoś może być aż tak bezczelny. Pisaliśmy o Kubiczku jako syndyku masy upadłościowej Getin Banku. Do Ministerstwa Sprawiedliwości trafiły dziesiątki skarg i setki pism, które pan syndyk miał tam, gdzie mu się plecy kończą. Do czasu. Bo wreszcie podjęto decyzję o zawieszeniu mu licencji.

W latach 2022-2025 dał zarobić ponad 197 mln zł powiązanym z nim kancelariom prawnym. Głównie na procesach z klientami banków. Kubiczek jest hurtownikiem zarządzającym masami upadłościowymi ok. 100 SPÓŁEK. Pracowali dla niego byli dyrektorzy z Bankowego Funduszu Gwarancyjnego. Zarabiali krocie. Kubiczek zadbał też o promocję. Na panegiryki o sobie wydał ponad 3 mln zł. Zlecenie zrealizowała spółka byłych dziennikarzy Bridge. Za takie numery zawieszenie Kubiczkowi licencji to musi być pierwszy krok.

Jak springerowcy świętowali 1 maja

Darmową kapustą kiszoną wabiono Polaków na pochody pierwszomajowe na Białostocczyźnie. Gdzie można znaleźć podobne brednie? W springerowskim „Fakcie". Niemieckie poczucie humoru w wersji dla Polaków. Obśmiewanie przez to wydawnictwo przodowników pracy odbudowujących stolicę jest aberracją. Tysiące budowniczych z dumą maszerowało 1 maja w pochodach. Cieszył ich każdy nowy dom, odgruzowana ulica i wodociąg. Nie musieliby tego robić, gdyby Niemcy nie zrównali Warszawy z ziemią. I nie wymordowali milionów ludzi. Warto, by w „Fakcie" o tym pamiętali. Najlepiej, jedząc kiszoną kapustę. Z polskiej beczki.

PYTANIE TYGODNIA

Czy bilet do teatru staje się w Polsce dobrem luksusowym?

ANNA GORNOSTAJ,
aktorka, założycielka i dyrektorka Teatru Capitol w Warszawie

Bilet do teatru nie powinien być towarem luksusowym, lecz dobrem elitarnym i intelektualnym. Elitarność rozumiem jako coś ciekawego, co wykracza poza codzienną bańkę, a nie jako wysoką cenę. Jako instytucja prywatna nie dostajemy dotacji, utrzymując się wyłącznie ze sprzedaży wejściówek. Staramy się jednak, by wydatki na bilety nie były barierą. Wprowadzamy „tanie poniedziałki" z biletami za 50 zł, zamiast weekendowych za 250 zł, co pozwala uczestniczyć w sztuce seniorom czy młodzieży. Oferujemy też bezpłatne atrakcje – koncerty lub dansingi – by koszt rozłożył się na cały wieczór pełen wrażeń. Teatr to dla nas pasja, a nie tylko biznes. Kultura musi być potrzebą naturalną, jak woda w kranie, a nie luksusem, z którego się rezygnuje. To ona łagodzi obyczaje i buduje jakość całego społeczeństwa.

JULIA BEDNARSKA-LEŚNIAK,
przewodnicząca Parlamentu Studentów RP

Nie nazwałabym biletu do teatru luksusem, gdyż wiele instytucji kultury podejmuje wysiłek, by pozostać dostępnymi dla młodych ludzi. Mimo to przy rosnących kosztach życia uczestnictwo w kulturze staje się jednym z pierwszych wydatków, z których się rezygnuje. Według raportu „Portfel Studenta" nasze średnie wydatki w 2025 r. wyniosły prawie 4 tys. zł, z czego większość pochłania samo zakwaterowanie. Kultura nie powinna być dobrem elitarnym, lecz ważną częścią rozwoju, edukacji i budowania wspólnot. Nie można jej traktować jako czegoś zbędnego, bo przecież kształtuje pokolenia. Ta kwestia sprowadza się do pytania, czy obecność młodych w teatrze jest dla państwa i instytucji publicznych realnym priorytetem.

MICHAŁ WALCZAK,
reżyser, dyrektor Teatru Rampa w Warszawie

Definicja luksusu jest dziś płynna. Jako teatr publiczny korzystamy z dofinansowania m.st. Warszawy i staramy się, by cena biletu nie była progiem nie do przejścia. Choć kwota 100 zł bywa dla wielu wyzwaniem ekonomicznym, oferujemy kapitał, którego nie zastąpi AI: autentyczne spotkanie z człowiekiem. W dobie ekranów i przebodźcowania ta bezpośredniość to wyjątkowa wartość. W Rampie stawiamy na teatr popularny, łączący pokolenia – od fanów Depeche Mode po maturzystów czekających na premierę „Lalki '89". Dzięki warsztatom „Otwarta Rampa" zmieniamy widzów w twórców. Na TikTokU odczarowujemy wizerunek teatru jako zakurzonego „retro", pokazując, że to żywa tkanka miasta. Prawdziwym luksusem są emocje „tu i teraz". To przestrzeń relacji, która musi pozostać dostępna dla każdego.

Rozmawiał Maciej Belowski

FOT. ARCHIWUM, YOUTUBE

eprasa.pl d531504b05

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

mleczko.pl

sklep.mleczko.pl

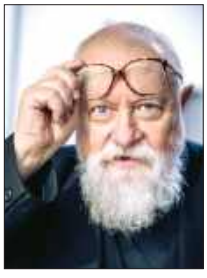

Jerzy Bralczyk

Zrządzenia i zrzędzenia

Hipokryzja i cynizm

Jeden z ważnych polityków niedawno nazwał swoich przeciwników politycznych „bandą złodziei i hipokrytów". Zostawmy oskarżenie o złodziejstwo, ostatnio często sprowadzone do banału. Ale o hipokryzję oskarżają się wzajemnie politycy chyba równie często. I jak się zdaje, mogą łatwo w taki właśnie sposób usprawiedliwiać ten sam zarzut przeciw nim samym skierowany.

Przeciw hipokryzji, niezgodności czynów ze słowami, z etycznymi deklaracjami, przeciw udawaniu cnoty jest skierowany elementarz etyczny naszej kultury – „Kazanie na górze". Oj, nie lubił Jezus obłudników. Ale są i tacy, którzy w hipokryzji widzą przecież przynajmniej przyznawanie, że są wartości moralne, choćbyśmy mieli „nie tak czynić, jako nauczamy". „Hipokryzja to hołd, jaki występek składa cnocie", mówił pewien aforysta.

Postrzegamy w tym aforyzmie pewien cynizm. Cynizm zdaje się odwrotnością hipokryzji. „Czynię źle i co z tego?"; „Nie mamy pańskiego płaszcza"; „A w ogóle wszyscy tak robią". Cynizm jest nie tyle przyznaniem się do winy, ile bezczelnością lekceważenia zasad.

Obłuda, hipokryzja jest udawaniem, zatem fałszem – cynizm zaś szczerością. Szczerość to prawda, prawda jest dobra, kłamstwo złe. Ale może jednak czasem wolimy zakłamanie, w którym dostrzec można szacunek dla nawet nieprzestrzeganych zasad. W każdym razie obłuda i cynizm zdają się jeśli nie wykluczać wzajemnie, to nie pasować do siebie.

Ale nasi kochani politycy potrafią łączyć ogień z wodą. Bywają, i to często, cynicznie obłudni. Z pełną, nawet jakoś pokazywaną wiedzą, że to, co mówią, będzie odebrane jako hołd konwencji i „przekazowi dnia", a nie jako wyznawana serio prawda. Mówią, patrząc prosto w oczy, to, co trzeba dla potrzeby chwili.

Czy to hipokryzja? Pewnie tak, chociaż hipokryci mogą być postrzegani jako naiwniacy, którzy chcą, by im wierzyć. I dlatego obłudę można poniekąd sygnalizować – przez co zmienia się ona w swoje niby przeciwieństwo – w cynizm.

Tak, jestem hipokrytą i kto mi co zrobi? Cóż za cynizm. ■

eprasa.pl d531504b05

Robert Walenciak

Sztuka strzelania sobie w kolano

Nawrocki chce zmieniać konstytucję. Czy to poważne?

Rada Nowej Konstytucji, którą powołał Karol Nawrocki, jeszcze nie zaczęła działać, a już okazała się kapiszonem. Miała być gamechangerem, przejęciem inicjatywy politycznej, a wyszło śmiesznie. Po raz kolejny możemy się przekonać, że polityka to trudna gra. I gdy zabiera się do tej gry człowiek z trzeciej ligi, efekt przeważnie jest żałosny.

Spójrzmy na pole politycznej bitwy. Otoczenie Nawrockiego dozowało informacje, zapowiadano epokowe wydarzenie. Oto powstanie wielka prezydencka rada, która siądzie do pisania konstytucji. A to wszystko zakończy się referendum, które odbędzie się razem z wyborami w 2027 r. I że referendum będzie wielkim kołem zamachowym – wzmocni polską prawicę, która opowie się za nową konstytucją, i patrona inicjatywy, Karola Nawrockiego. Życie szybko te banialuki zweryfikowało.

Pierwsze rozczarowanie przyszło po ogłoszeniu składu rady. Znanych nazwisk w niej jak na lekarstwo. Najbardziej utytułowany jest Józef Zych, były marszałek Sejmu. Ale ma 88 lat, więc trudno oczekiwać, by rzucił się w wir pracy. Kolejny były marszałek Sejmu, Marek Jurek, to też polityczny emeryt, znany ze skrajnych poglądów. Na nikim także nie robi wrażenia intelekt Julii Przyłębskiej, byłej prezes Trybunału Konstytucyjnego. Barbara Piwnik… Sędzia w stanie spoczynku i była minister sprawiedliwości, osoba popularna. Ale to karnistka, więc nie spodziewajmy się po niej pisania konstytucji. Zresztą ona to wie i w pierwszym wywiadzie po podpisaniu nominacji już mówiła, że rada tylko „zainauguruje ogólnonarodową debatę". Żeby wysłuchać, co ludzie mają do powiedzenia.

Jedyny konstytucjonalista w tym gronie, prof. Ryszard Piotrowski, też najpewniej Nawrockiego rozczarował. Bo oświadczył niemal natychmiast, że „nie jest nam potrzebny żaden reset, nie jest nam potrzebna żadna nowa konstytucja. To ludzie powinni się zmienić, zmienić swoje podejście do państwa i prawa, dopóki nie jest jeszcze za późno". Piotrowski zaznaczył, że to jego stanowisko od lat, znane prezydentowi.

W składzie Rady Nowej Konstytucji powołanej przez Karola Nawrockiego znalazła się Julia Przyłębska. Warszawa, 3 maja 2026 r.

Oto mamy radę, do której powołano ludzi z góry dystansujących się od jej prac. Czy też od prac, których oczekuje Nawrocki. Zatem prezydent i jego urzędnicy nie za bardzo wiedzieli, kogo do rady powołują, i że to wszystko wygląda na dość nerwową łapankę. Składem tego gremium nikogo na kolana nie rzucili. Również dlatego, że – takie krążą informacje – szeroka grupa indagowanych Nawrockiemu odmówiła.

Wydaje się zresztą, że miał świadomość, jak słabą radę zaprezentował. Dlatego już w przemówieniu inaugurującym obiecywał, że „kolejnym etapem będzie powołanie ekspertów, konstytucjonalistów, prawników, ale także ekspertów w wielu dziedzinach społecznych". Piękne słowa – ale kim wobec tego są obecni członkowie rady?

Na obraz porażki składają się też komentarze mediów oraz reakcje najważniejszych polityków.

„W poważnej rozmowie na temat konstytucji jestem gotów uczestniczyć nawet osobiście, ale w grach politycznych nie. Nie będę udawał, że to jest poważna inicjatywa", mówił

FOT. MIKOŁAJ BUJAK/KPRP

eprasa.pl d531504b05

premier Donald Tusk, pytany o Radę Nowej Konstytucji. I dodał, że nie będzie dyskutował na temat ładu konstytucyjnego z Julią Przyłębską, ponieważ „czułby się dość groteskowo w takim gronie". Tak dał Nawrockiemu lekcję polityki.

•

A lekcja jest oczywista – jeżeli Karol Nawrocki chciałby poważnego potraktowania jego inicjatywy, powinien ją poważnie skonstruować. Zgromadzić na jej rzecz ludzi reprezentujących szerokie spektrum polityczne, cieszących się autorytetem, specjalistów od prawa konstytucyjnego. Taki projekt musiałby więc być elementem szerszego porozumienia politycznego.

Nic podobnego nie miało miejsca, nie dziwmy się zatem, że przeciwnicy Nawrockiego potraktowali jego radę jak ogryzek. Tym łatwiej im to przyszło, że konstytucję, jak stanowi ona sama w rozdziale „Zmiana Konstytucji", w art. 235, zmienić można ustawą uchwaloną przez Sejm większością co najmniej dwóch trzecich głosów. Następnie, jeżeli mówimy o zmianie konstytucji, a nie o poprawkach, musi się odbyć referendum zatwierdzające.

W polskich warunkach, by przeprowadzić taką operację, potrzebna byłaby zgoda dwóch głównych partii – KO i PiS. Czyli Donalda Tuska i Jarosława Kaczyńskiego. Nawrocki nie jest tu do niczego potrzebny. A ponieważ trudno sobie wyobrazić, by obaj liderzy w tej sprawie osiągnęli porozumienie, wszelkie opowieści o zmianie konstytucji są tylko opowieściami i niczym więcej.

•

Karol Nawrocki nie przewidział jeszcze jednego. Otóż tworzył radę z prostym przesłaniem: Polskę paraliżuje konflikt prezydenta z premierem, czas więc skończyć z taką dwuwładzą i oddać władzę w ręce prezydenta, przekształcić nasz ustrój w system prezydencki.

Ten postulat można łatwo skontrować. Po pierwsze, sam Nawrocki jest winien paraliżu, blokowania jednej władzy przez drugą. To są jego weta, a ustanowił w nich rekord – zawetował już 31 ustaw. To odkładanie na święty nigdy zaprzysiężenia sędziów Trybunału Konstytucyjnego i wyboru pierwszego prezesa Sądu Najwyższego. O wstrzymywanych nominacjach ambasadorskich nie wspominając.

Te jego blokady i weta zostały mu wypomniane, gdy tylko powołał radę. Że zanim zacznie pisać konstytucję, powinien się nauczyć przestrzegania istniejącej. Mówił to również premierz Tusk: „Zadania i rola prezydenta są dość precyzyjnie opisane w konstytucji. Ale jeśli ktoś ma złą wolę i chce tę konstytucję czasami gwałcić, czasami omijać, czasami reinterpretować, to oczywiście zawsze znajdzie taką możliwość, ze złymi skutkami. Najgorsze reżimy miały pięknie napisane konstytucje, ale chodzi tak naprawdę o praktykę działania".

Po drugie, w sytuacji konfliktu władz i wzajemnego blokowania nie warto szukać egzotycznych rozwiązań, wystarczy ograniczyć uprawnienia prezydenta i wzmocnić premiera. To rozwiązanie staje się coraz atrakcyjniejsze dla coraz większej liczby Polaków. Także dlatego, że na co dzień możemy porównywać umiejętności polityczne Donalda Tuska i Karola Nawrockiego.

•

Wszyscy przecież pamiętamy sceny sprzed kilku miesięcy, gdy i Nawrocki, i sympatycy prawicy zapowiadali, że prezydent weźmie się do rozliczania rządu i jego dyscyplinowania, zarzuci Sejm projektami swoich ustaw i stworzy nową jakość w polskiej polityce. Poza wspomnianymi wetami i blokadami żadnej jakości nie stworzył. Nie ma jego projektów ustaw, jest buksowanie w coraz węższym kręgu najbardziej prawicowych polityków i politycznych emerytów. I kolejne porażki w starciach z premierem.

Klasyką gatunku jest tu gra o ustawę regulującą rynek kryptowalut. Nawrocki zawetował pierwszą ustawę, uchwaloną przez koalicję 1 grudnia ub.r. Potem, 13 lutego, zawetował drugą. Teraz więc premier zapowiedział, że szykuje trzecią ustawę i ciekaw jest, co prezydent z nią zrobi.

Owszem, może zawetować. Ale musi pamiętać, że każde weto w obronie firm kryptowalutowych jest dla niego dewastujące. Kraj żyje aferą Zondacrypto, milionami, które utraciło tysiące Polaków. Tym, że jeden z właścicieli Zondacrypto (firma nazywała się wówczas BitBay) zniknął w niewyjaśnionych okolicznościach, a obecni przebywają w Dubaju, z wyprowadzonymi pieniędzmi.

Mamy zatem wielką aferę i informacje, że prokuratorzy Zbigniewa Ziobry umarzali śledztwa przeciwko BitBay, a jednocześnie Zondacrypto sponsorowała polityków prawicy i imprezy przez prawicę organizowane. Oni swoimi twarzami przekonywali Polaków, że to firma wiarygodna i można jej ufać. Prym wiódł w tym dziele Radosław Piesiewicz, prezes PKOl, który podpisał umowę sponsoringową z Zondacrypto.

Mamy radę, do której powołano ludzi z góry dystansujących się od jej prac. Czy też od prac, których oczekuje Nawrocki.

Czy Nawrockiemu, PiS i Konfederacji opłaca się nagłaśniać te sprawy, przypominać, jak szli niemal ramię w ramię z oszustami? I żyli z ich pieniędzy?

Oto więc polityka po polsku – Nawrocki, owszem, może paraliżować władzę sądowniczą. Jest to dewastujące dla państwa, koalicja ma prawo wszczynać z tego powodu awanturę. Ale sprawy sędziów mało Polaków obchodzą, Nawrocki może tu grać brutalnie, krzywda mu się nie stanie. Natomiast Zondacrypto to coś zupełnie innego, łatwego do zrozumienia. Zwłaszcza dziś, kiedy ujawniane są różne sponsoringi i powiązania. Dlatego Nawrocki wpadł w pułapkę. I wielkiego wyboru już nie ma.

Jak więc widzimy, Nawrocki ewidentnie w politykę nie potrafi – ani w sprawach konstytucji, ani w sprawach wet czy kryptowalut. Notuje tu ciąg porażek. Jak trzecioligowy kopacz wpuszczony na mecz Ekstraklasy – czego dotknie, to spartoli.

r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl d531504b05

Pasterz Kościoła fundamentalistycznego

Zmarły abp Józef Michalik nie zapisał się chwalebnymi czynami w historii polskiego Kościoła

Andrzej Sikorski

Emerytowany metropolita przemyski uchodził za wiernego ucznia, współpracownika i przyjaciela Jana Pawła II. Zajmował wiele ważnych stanowisk. Przez kilkanaście lat przebywał w Rzymie, gdzie studiował na Papieskim Uniwersytecie Świętego Tomasza z Akwinu, był rektorem Papieskiego Kolegium Polskiego i pracował w Papieskiej Radzie ds. Świeckich. W kraju pełnił m.in. funkcję wiceprzewodniczącego Konferencji Episkopatu Polski (1999-2004), a następnie przez dwie kadencje przewodniczącego Konferencji Episkopatu Polski (2004-2014). Czyli rządził Kościołem w Polsce.

Obrońca wiary

Znajomi i przyjaciele, wspominając zmarłego, podkreślali zasługi Michalika w obronie życia, rodziny i wartości chrześcijańskich. Na łamach „Naszego Dziennika" Dariusz Lasek, pedagog i działacz katolicki, stwierdził, że pamięta go „z bardzo klarownych kazań". „Słowem i czynem wdrażał katolicką naukę społeczną, troszczył się o człowieka od poczęcia do naturalnej śmierci, sprzeciwiał się traktowaniu człowieka instrumentalnie, upominał się o sprawiedliwość, wskazywał na problemy społeczne, o których niektórzy bali się mówić. W jego nauczaniu bardzo ważne miejsce zajmowała rodzina (…). Jego słowa były przeinaczane, wyrywane z kontekstu i interpretowane w negatywnym świetle. Przez środowiska, które są nieprzychylne Kościołowi, Panu Bogu, katolickiej wierze, był postrzegany jako zagrożenie, stąd też podejmowały ataki na niego, próby podważenia autorytetu pasterza słuchanego przez tłumy", mówił Lasek.

Abp Józef Michalik, choć był jedną z najważniejszych postaci współczesnego Kościoła w Polsce, nie był wybitnym teologiem ani hierarchą otwartym na zmieniający się świat. Jako spadkobierca ideowy Karola Wojtyły był przedłużeniem tej samej wizji Kościoła jako instytucji konserwatywnej i fundamentalistycznej, a dodatkowo oblężonej przez wszechobecnych wrogów. Ganił środowisko „Tygodnika

Abp Józef Michalik podczas Niedzieli Palmowej w Przemyślu. 20 marca 2016 r.

eprasa.pl d531504b05

Powszechnego" i jego naczelnego ks. Adama Bonieckiego (m.in. za rzekome ataki na Kościół i jego hierarchów), za to w wywiadzie dla tygodnika „Niedziela" chwalił Radio Maryja: „Zasługą Radia Maryja jest to, że rozmodliło Polskę, ale jest jeszcze jedna zasługa Radia Maryja i wszystkich tych lokalnych rozgłośni – że budzi podmiotowość narodu, że uczy nas podmiotowości".

Protektor księdza pedofila

W rozmowie z Onetem w marcu 2012 r. Michalik opowiadał o „zorganizowanym, nieprzypadkowym, planowym ataku na Kościół" przeprowadzanym przez środowiska „libertyńskie, ateistyczne i masońskie", które stosują jako narzędzia tego ataku „finanse, pedofilię, in vitro, debatę na temat nauczania religii w szkołach i propagandę rozwiązłości". Pytany, dlaczego Kościół nie wydala księży pedofilów ze wspólnoty, tylko przesuwa ich do innych parafii, hierarcha odparł: „To legendy. Jeśli takie przypadki się zdarzają, to je potępiam... Nie ma zgody na przestępstwa we wspólnocie, ani na ich tuszowanie".

Z kolei podczas święcenia kościoła w Nienadowej Dolnej koło Przemyśla (październik 2013 r.) Michalik wywodził, że Kościół jest atakowany, bo jest niewygodny, a mówienie, że toleruje krzywdzenie dzieci, jest wielkim kłamstwem".

Tymczasem nie kto inny jak Michalik stanął w obronie księdza pedofila z Tylawy. Gdy w 2001 r. Lucyna Krawiecka zgłosiła mu (był wówczas biskupem przemyskim), że ks. Michał Moskwa od lat molestuje dziewczynki, a „Gazeta Wyborcza" opublikowała o tym reportaż, hierarcha urządził nagonkę zarówno na sygnalistkę, jak i na osoby pokrzywdzone. Michalik napisał list, w którym wyraził współczucie duchownemu i nadzieję, „że konfratrzy i parafianie, którzy znają lepiej środowisko niż wrogie Kościołowi i depczące prawdę gazety lub osoby, nie stracą zaufania do swego proboszcza, ale okażą mu bliskość przez gorliwą modlitwę".

Warto pamiętać, że w obronie pedofila w sutannie stanął także ówczesny prokurator Stanisław Piotrowicz z Krosna, potem poseł PiS, który orzeka teraz jako sędzia w upolitycznionym Trybunale Konstytucyjnym. W 2004 r. Sąd Rejonowy w Krośnie skazał 65-letniego ks. Moskwę na dwa lata więzienia w zawieszeniu na pięć lat za molestowanie sześciu dziewczynek.

Mimo wyroku abp Michalik nie usunął z parafii księdza pedofila, który jak gdyby nigdy nic wypełniał obowiązki proboszcza. Nie pomogły listy wysyłane do Jana Pawła II. Dopiero po interwencji oburzonych parafian u Josepha Ratzingera, prefekta Kongregacji Nauki Wiary (późniejszego papieża Benedykta XVI) ks. Moskwa został z parafii odwołany.

Ale krzywda mu się nie stała. Decyzją abp. Michalika przestępca seksualny pojawił się w oddalonej o 15 km od Tylawy parafii w Dukli, gdzie odprawiał msze, wygłaszał homilie, a nawet spowiadał dzieci. To tyle odnośnie do przyzwoitości Michalika, który winnych pedofilii w Kościele szukał wśród „agresywnych feministek" lansujących ideologię gender i walczących o prawo do aborcji, prawo do tworzenia związków tej samej płci i prawo do adopcji dzieci przez osoby w związkach jednopłciowych. „To one walczą o to, żeby w szkołach i przedszkolach wygaszać w dzieciach poczucie wstydu, a nawet o to, żeby mogły decydować o zmianie swojej płci", prawił hierarcha w katedrze wrocławskiej w październiku 2013 r.

Agencja Reutera donosiła, że „najwyższy rangą katolicki duchowny w Polsce obwieścił, że dzieci rozwiedzionych rodziców są bardziej narażone na wykorzystanie seksualne przez księży". Amerykański portal GlobalPost zauważył, że „najważniejszy duchowny polskiego Kościoła stwierdził, że rodzice bywają współwinni przypadkom pedofilii, także pedofilii księży". Natomiast brytyjski „Daily Mail" w artykule „Pedofilia jest spowodowana przez rozwody" napisał, że „najważniejszy polski biskup wini rodziców, że nie wychowują dzieci właściwie, i stwierdza, że molestowanie to wynik szukania miłości". Zdaniem tabloidu arcybiskup „najwyraźniej sugerował, że rozwód może być równie krzywdzący dla dzieci jak pedofilia", a „wypowiedź hierarchy pojawia się w czasie, gdy polski Kościół boryka się z coraz liczniejszymi oskarżeniami wobec księży wykorzystujących dzieci".

Józef Michalik stanął w obronie księdza pedofila z Tylawy, tak jak ówczesny prokurator Stanisław Piotrowicz, który teraz orzeka w upolitycznionym Trybunale Konstytucyjnym.

Winne dzieci

Szokujące były też inne jego wypowiedzi na temat pedofilii w Kościele. Wypalił, że „wielu molestowań udałoby się uniknąć, gdyby relacje między rodzicami były zdrowe", i dodał, że nieraz dziecko, które poszukuje miłości, „zagubi się samo i jeszcze tego drugiego człowieka wciąga". Wybuchł skandal, o którym informowały światowe media.

Na niewiele zdały się mętne przeprosiny Michalika (stwierdził, że haniebne słowa były nieprozumieniem, które wyniknęło z okoliczności: dziennikarze zagadnęli go, gdy ten myślał już o obradach episkopatu) i rzecznika prasowego Konferencji Episkopatu Polski, który tłumaczył wypowiedź stylem duchownego i nazwał ją „zwykłym lapsusem językowym".

„Spontaniczność wypowiedzi dowodzi, że abp Michalik nic nie wie o pedofilii. A skoro nie wie, nie będzie potrafił jej zapobiegać. I jeszcze bardziej mi wstyd", stwierdził redaktor naczelny „Więzi" Zbigniew Nosowski.

Oburzenia nie krył Tomasz Terlikowski, według którego wypowiedź Michalika „czyni więcej szkody Kościołowi niż cała nagonka medialna", nie da się jej ani zaakceptować, ani nawet zrozumieć. „W takiej sytuacji pozostaje nam niezwykle gorąca modlitwa za Kościół, za naszych pasterzy. O to, by ci z nich, którzy

FOT. ŁUKASZ SOLSKI/EAST NEWS

eprasa.pl d531504b05

mówią takie rzeczy, byli w stanie obronić się już nie przed mediami, ale przed samymi sobą", podsumował katolicki publicysta.

Na szczyty hipokryzji abp Michalik wzniósł się w kwietniu 2023 r., gdy w Bazylice Archikatedralnej św. Jana Chrzciciela w Warszawie wygłosił homilię do uczestników tzw. Narodowego Marszu Papieskiego, zorganizowanego przez środowiska PiS w reakcji na zarzuty medialne, że Karol Wojtyła chronił księży pedofilów.

„Założony przez Pana Kościół mamy wielki obowiązek strzec i domagać się, żeby ludzie nie niweczyli jego owoców zbawczej męki. Dlatego bierzemy udział w manifestacji obrony prawdy o człowieku. (…) Jan Paweł II nie potrzebuje obrony, to my jej potrzebujemy. (…) Dziś w świecie aktywne są struktury zła. Trzeba budować struktury prawdy, dobra i rozumu. Nasz papież przez całe życie ujawniał wrażliwość poety i odwagę giganta w obronie prawdy. Dzisiaj doczekaliśmy czasów, że o tym, co i jak należy załatwiać także w sprawach sumienia, chcą decydować krzykliwe antyreligijne agencje medialne", prawił hierarcha.

Agitator polityczny

Józef Michalik nie tylko bronił Kościoła i papieża przed kłamliwymi mediami, agresywnymi feministkami i ideologią gender, ale też często wypowiadał się na tematy polityczne.

Jesienią 2014 r. przed wyborami samorządowymi podczas mszy w przemyskiej bazylice hierarcha instruował wiernych, na kogo mają głosować. „Jeśli się będzie budować państwo na interesie partii, jednostek, czy przestępczych działalnościach, widzimy, że będzie się grabić Polskę. Zapomni się o prostym człowieku, który jest siłą tego narodu, zapomni się o kulturze. Jeśli się pominie kulturę współżycia między ludźmi, opartą na sumieniu, wierności Panu Bogu, niebezpieczna jest przyszłość tego ojczystego domu", perorował. Było to nawiązanie do słów Jarosława Kaczyńskiego. Prezes PiS w ostrych słowach atakował PSL, partię „o peerelowskim rodowodzie", która w czasach komunizmu uwłaszczyła się na majątku narodowym, a w III RP przy stosunkowo niewielkim poparciu społecznym przejęła władzę na szczeblu samorządowym.

W maju 2015 r. na Jasnej Górze podczas mszy na uroczystości ku czci Najświętszej Maryi Panny Królowej Polski hierarcha wspomniał o zbliżających się wyborach prezydenckich, mówiąc, że „ludzie wierzący winni oddać głos na te osoby, których postawa i poglądy nie sprzeciwiają się wierze", a „dobrowolna rezygnacja z udziału w wyborach jest grzechem zaniedbania, ponieważ jest odrzuceniem odpowiedzialności za losy ojczyzny".

Michalik zwrócił się również do polityków. „Byłoby głębokim fałszem, gdyby ktoś, kto świadomie i dobrowolnie narusza jedność Kościoła, głosząc publicznie prawdy sprzeczne z jego nauczaniem, przystępował do komunii świętej. Ostrzeganie polityków, którzy publicznie sprzeciwiają się nauczaniu Kościoła, że mogą utracić właściwą dyspozycję do przyjmowania komunii świętej, nie jest żadną uzurpacją ze strony pasterzy Kościoła, ale ich obowiązkiem. Trzymanie się nauczania Kościoła pozwala katolickiemu politykowi uniknąć swego rodzaju schizofrenii duchowej. Uniknąć życia w dwóch równoległych, a przeciwstawnych sobie światach; w świecie wyznawanej wiary i świecie polityki", wywodził, dając tym samym prztyczka w nos Bronisławowi Komorowskiemu.

Urzędujący prezydent, choć zdeklarowany i praktykujący katolik, był przez środowiska prawicowe uważany za „farbowanego lisa", który „dla zyskania poparcia elektoratu potrafi przez lata trwać w moralnej schizofrenii". Komorowski popierał in vitro, które, jak mówił, jest „opowiedzeniem się za życiem, za możliwością posiadania dzieci". Mało tego! ratyfikował konwencję antyprzemocową. Dokument ten wedle biskupów miał „marksistowski rodowód", a jego wprowadzenie było „zwieńczeniem długofalowej strategii demontażu społeczeństwa".

Gdy w 2016 r. PiS rozpoczęło demolkę demokratycznych struktur państwa, zawłaszczając kolejne instytucje, Michalik ogłosił, że „nowa Targowica oskarża Polskę i mobilizuje obce narody na forach międzynarodowych do nienawiści wobec Polaków, którzy mieli odwagę wybrać innych, a nie ich samych". Pił w ten sposób do antypisowskiej opozycji, która alarmowała na forum międzynarodowym o łamaniu przez rząd prawa. Było to porównanie zaskakujące, zważywszy, że pierwsi targowiczanie szukali zbrojnej pomocy u carycy Katarzyny II w reakcji na uchwalenie Konstytucji 3 maja, którą uznawali za zło wcielone. Konfederację targowicką poparli zaś liczni biskupi, w tym prymas Michał Poniatowski, wzywając do posłuszeństwa wobec Rosji. Za zdradę niektórzy hierarchowie, np. biskup inflancki Józef Kossakowski i biskup wileński Ignacy Massalski, w czasie insurekcji kościuszkowskiej zostali skazani na szubienicę.

Andrzej Sikorski

eprasa.pl d531504b05

LEWICA WOBEC ZAMACHU MAJOWEGO

Zapewniła Piłsudskiemu wygraną

Tomasz Nałęcz

Na pierwszy rzut oka w maju 1926 r. lewica mocno zgrzeszyła brakiem konsekwencji. Wcześniej bowiem z wielką determinacją broniła konstytucji i praworządności przed autorytarnymi zakusami nacjonalistycznej prawicy. Kiedy jednak na zamach stanu zdecydował się Józef Piłsudski, poparła go bez najmniejszego wahania. Więcej nawet, walnie przyczyniła się do sukcesu Marszałka, który bez jej wsparcia zapewne poniósłby porażkę.

Taka postawa była konsekwencją głębokiego politycznego pęknięcia, do którego doszło już na początku XX w. Podział wykuł się w ogniu wielkiego buntu, jaki ogarnął ziemie zaboru rosyjskiego w latach 1904-1908, a do historii przeszedł pod nazwą rewolucji 1905 r. Po jednej stronie barykady stanęła nacjonalistyczna prawica, zdominowana przez Narodową Demokrację, którą kierował Roman Dmowski. Broniła interesów warstw posiadających i przeciwstawiała się społecznym i politycznym żądaniom zbuntowanych tłumów, głównie robotników przemysłowych i rolnych. O ich interesy upominała się walcząca po drugiej stronie barykady lewica, na czele z Polską Partią Socjalistyczną, w której bardzo ważną rolę odgrywał Józef Piłsudski.

Konflikt był tak ostry, że doprowadził do bratobójczych mordów, których ofiarą padły setki, a może i tysiące ludzi. Rywalizacja nie wygasła z upadkiem rewolucji, tylko przekształciła się w tzw. spór o orientacje, czyli działanie prowadzące do odbudowania własnego państwa. Dmowski stawiał na sojusz z caratem, licząc, że ten zgodzi się na propolskie ustępstwa. Piłsudski organizował czyn zbrojny, napędzany energią mas ludowych, realizowany u boku Austro-Węgier i Niemiec. Towarzyszyły temu wzajemne oskarżenia o zdradę i wysługiwanie się obcym wywiadom.

Bezpardonowej rywalizacji nie osłabił wielki przewrót polityczny, jaki się dokonał jesienią 1918 r., gdy klęski wojenne i rewolucje unicestwiły potęgę zaborców, umożliwiając odbudowanie niepodległej Polski. Wręcz przeciwnie, lewica i prawica z nowym impetem starły się o to, kto i jak będzie rządził odradzającym się państwem.

Każdy z adwersarzy chciał przejąć pełnię władzy, sięgając po nią siłą. Najpierw zamachu dokonała 7 listopada 1918 r. w Lublinie lewica, tworząc rząd Ignacego Daszyńskiego, złożony z socjalistów, radykalnych ludowców i inteligenckich demokratów. Dwa miesiące później pięknym za nadobne odpłaciła nacjonalistyczna prawica, próbując przeprowadzić w nocy z 4 na 5 stycznia 1919 r. nieudany przewrót, zwany puczem Januszajtisa.

Rosnąca temperatura sporu utrudniała budowanie państwa, grożąc zmarnotrawieniem wyjątkowo korzystnej koniunktury, niedanej przecież raz na zawsze. Na szczęście dostrzegli to dwaj politycy, najbardziej wtedy wpływowi: ceniony przez lewicę Piłsudski, będący naczelnikiem państwa, i lider endecji Dmowski, kierujący Komitetem Narodowym Polskim w Paryżu, uznawanym przez mocarstwa za jedyny legalny polski rząd. Wspólnie doprowadzili 16 stycznia 1919 r. do powstania rządu zgody narodowej z premierem Ignacym Paderewskim, genialnym pianistą, gorącym patriotą, szanowanym nie tylko przez rodaków, ale i przez najbardziej wpływowych światowych polityków.

Piłsudski i Dmowski wspólnie doprowadzili 16 stycznia 1919 r. do powstania rządu zgody narodowej, z premierem Ignacym Paderewskim na czele.

Za porzuceniem sporów i wspólnym budowaniem państwa przemawiała też równowaga wpływów, ujawniona w wyborach do Sejmu z 26 stycznia 1919 r., w których endecja zdobyła 37%, a lewica 34% posłów. Partie centrowe miały ich 15,4%, a mniejszości narodowe 11,5%. Życie publiczne zdominował duch kompromisu, którego dzieckiem była też konstytucja uchwalona 17 marca 1921 r., gwarantująca demokrację i szerokie prawa obywatelskie. Przysługiwały one każdemu, niezależnie od płci, narodowości,

eprasa.pl d531504b05

wyznania, stanu posiadania i przekonań politycznych. Utrzymano też najbardziej postępowe w Europie ustawodawstwo socjalne, wprowadzone jesienią 1918 r. przez lewicowy rząd.

Sytuacja zmieniła się radykalnie w 1922 r., po definitywnym okrzepnięciu państwa. W normalnie funkcjonującym kraju z nową mocą odżył bój o to, kto i jak ma nim rządzić. Polem pierwszej bitwy stały się wybory parlamentarne z listopada 1922 r. Startowało wiele komitetów, ale oś sporu stanowiły dwie od dawna ścierające się wizje Polski. Prawicowy blok, zmontowany przez endecję, chciał kraju zdominowanego przez etnicznych Polaków i spojonego nacjonalizmem. Jedna trzecia mieszkańców będących Ukraińcami, Białorusinami, Żydami i Niemcami miała być obywatelami drugiej kategorii. Obóz lewicowo-demokratyczny bronił zagwarantowanej w konstytucji wolności i państwa przyjaznego dla wszystkich.

Wybory wygrała prawica, zdobywając 38% posłów. Lewica miała ich znacznie mniej, bo 22%, a mniejszości narodowe 20%. Klucz do rządzenia znalazł się w rękach PSL Piast, posiadającego 16% posłów. Prezes Wincenty Witos i większość działaczy chcieli aliansu z endecją: silniejszą, bliższą programowo i wspieraną przez poważanych na wsi księży. Endecy kusili też stanowiskami. Ludowiec został marszałkiem Sejmu, a endek – znacznie mniej liczącego się Senatu.

Bacznie śledzący wydarzenia Piłsudski, kończący urzędowanie jako naczelnik państwa, był przekonany o nieuchronności przejęcia władzy przez endecję, sprzymierzoną z Piastem. By nie być kwiatkiem przy endeckim kożuchu, zrezygnował z kandydowania na urząd prezydenta. Doszło do zamieszania, w wyniku którego przegrał kandydat endecji i prezydentem został Gabriel Narutowicz, wybrany głosami lewicy, mniejszości narodowych i Piasta.

Endecja nie uszanowała wyniku głosowania i wszczęła rokosz. Warszawę sparaliżowały burdy endeckich bojówek, chcących zablokować zaprzysiężenie prezydenta. Runęła też na niego fala niezwykle brutalnego hejtu. W tej atmosferze prawicowy fanatyk zastrzelił Narutowicza dwa dni po objęciu przez niego urzędu. Kraj stanął u progu wojny domowej, bo część działaczy PPS i piłsudczyków służących w wojsku chciała odpowiedzieć na endecką przemoc w ten sam sposób. Odwet zablokował w PPS Ignacy Daszyński, a po stronie piłsudczyków sam Marszałek, niegotowy jeszcze na tak radykalny scenariusz.

Napięcie zelżało, lecz endecki rokosz i mord na prezydencie bardzo zaszkodziły zakorzeniającej się dopiero demokracji. Jak w czasach rosyjskiej niewoli to gwałt i przemoc znowu rządziły życiem publicznym. Endecy popełnili kardynalny błąd, bo mając przewagę w parlamencie, winni strzec praworządności, a nie pierwsi ją kwestionować. Zwłaszcza że w starciach ulicznych przewagę miała lewica, popularniejsza w grupach skłonnych do protestu, w tym wśród robotników.

Potwierdziła to kolejna odsłona konfrontacji, do jakiej doszło po utworzeniu w maju 1923 r. endecko-piastowskiego rządu, kierowanego przez Witosa. Piłsudski odszedł z armii, oświadczając, że nie chce mieć nic wspólnego z politykami splamionymi krwią Narutowicza. W Sejmie, zdominowanym przez endecję i piastowców, nie widział już wyraziciela woli społeczeństwa, tylko targowisko, na którym partie polityczne kupczą interesami kraju. Za Marszałkiem murem stała lewica, widząca w rządach endecji zagrożenie dla demokracji.

Napięcie potęgowała szybko pogarszająca się sytuacja gospodarcza. Mnożyły się demonstracje i strajki, na które rządzący odpowiadali surowym egzekwowaniem porządku. Do najostrzejszej konfrontacji doszło w listopadzie 1923 r. w Krakowie, gdzie zginęło kilkadziesiąt osób, a władze straciły kontrolę nad miastem. Krajowi, jak przed rokiem, zagroziło widmo wojny domowej. Raz jeszcze udało się groźbę oddalić, ale rząd Witosa upadł, bo w klubie ludowców doszło do rozłamu wywołanego sporem o reformę rolną.

Porażka endecji i Piasta nie oznaczała zwycięstwa Piłsudskiego i jego lewicowych sojuszników. Trzeba było ratować walącą się gospodarkę i budżet państwa. Odżył duch współdziałania patronujący cudowi odrodzenia z lat 1918-1922. Zwaśnione obozy zgodziły się na pozaparlamentarny rząd Władysława Grabskiego, który w ciągu dwóch lat dokonał wielkiego remontu kraju. Uzdrowił walutę i naprawił finanse państwa. Załatwił też dwie kwestie będące kością niezgody między endekami i piastowcami. W 1925 r. doprowadził do uchwalenia ustawy o reformie rolnej i podpisał konkordat z Watykanem.

Ułatwiło to ponowne zbliżenie endecji i Piasta. Obie partie zamierzały nie tylko znowu sformować rząd, ale i dokonać istotnej zmiany ustrojowej. Poprzez znowelizowanie konstytucji chciały zmniejszyć liczbę posłów i wzmocnić Senat, do którego były wybierane liczniej niż do Sejmu. Nowe kompetencje, w tym prawo rozwiązywania parlamentu, miał otrzymać prezydent. Jeszcze większą rewolucję szykowano w ordynacji, w której wybory proporcjonalne planowano zastąpić większościowymi, z wyjątkiem terenów zamieszkanych przez inne narodowości, gdzie pozostały okręgi wielomandatowe, korzystne dla polskiej mniejszości.

W kolejnych wyborach miało to zapewnić endecji i ludowcom zdominowanie parlamentu. Możliwe stałoby się uchwalanie ustaw sankcjonujących endecki model państwa spojonego nacjonalizmem. Uczynienie tego drogą parlamentarną stwarzało pozory zachowania demokracji. Tak naprawdę straciłaby ona rację bytu, bo państwo dzielące obywateli na lepszych i gorszych z demokracją niewiele miałoby wspólnego.

Piłsudski był przekonany o nieuchronności przejęcia władzy przez endecję, sprzymierzoną z Piastem.

eprasa.pl d531504b05

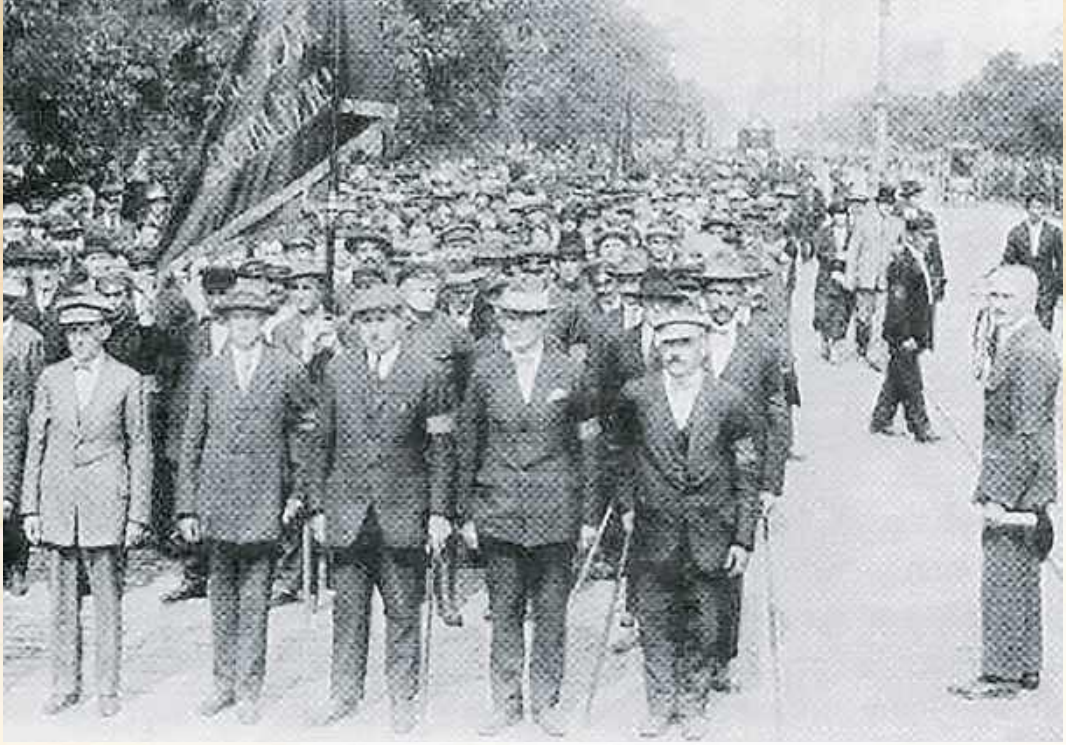

Demonstracja PPS w geście popiercia dla Józefa Piłsudskiego. Warszawa, 1926 r.

Skonsultowany z Piastem endecki projekt nowej ordynacji został zgłoszony do laski marszałkowskiej 22 marca 1926 r. W ślad za nim 26 kwietnia 1926 r. kluby endecji, chadecji, Piasta i Narodowej Partii Robotniczej zaproponowały też zmianę konstytucji, a 10 maja 1926 r. sformowały nowy, wspólny rząd. Lewica była pewna, że prawica przechodzi do walnej ofensywy, w której nie cofnie się przed użyciem siły.

Wizja Sejmu działającego pod dyktando endeków zmobilizowała wszystkie środowiska niegodzące się na państwo spojone nacjonalizmem i populizmem. Prym wiedli tu piłsudczycy, przedstawiający swojego wodza jako jedynego polityka potrafiącego zablokować endeków. Wierzyła w to znaczna część społeczeństwa, ceniąca bezinteresowność samotnika z Sulejówka, kontrastującą z pazernością sporej części elit partyjnych. Gęstniała atmosfera zamachowa.

Na utworzenie 10 maja 1926 r. rządu Witosa stronnictwa lewicowe, w tym PPS i PSL Wyzwolenie, zareagowały wspólnym oświadczeniem zapowiadającym „walkę bezwzględną i opozycję najostrzejszą dla wspólnej obrony praw ludu i przyszłości państwa przed zamachem rządów reakcji". Nie wahał się także Piłsudski. „Staję do walki – oświadczył – z głównym złem państwa: panowaniem rozwydrzonych partii i stronnictw nad Polską, zapominaniem o imponderabiliach, a pamiętaniem o groszu i korzyści".

Witos podjął wyzwanie i zarządził konfiskatę gazety z tą deklaracją. Żadna strona nie mogła i nie chciała już ustąpić. 12 maja 1926 r. Marszałek ruszył z wiernymi mu oddziałami na Warszawę. Nie chciał wojny domowej. Dobrze znał niechęć prezydenta Stanisława Wojciechowskiego do endecji i jej wizji państwa i liczył, że pod naciskiem wojska oraz znacznej części społeczeństwa prezydent zdymisjonuje Witosa. Uczyniłoby to z Piłsudskiego arbitra stojącego ponad konstytucją.

Jednak Wojciechowski odłożył na bok własne sympatie i stanął w obronie konstytucji i legalizmu. Warszawa stała się polem krwawej trzydniowej bitwy. Atutami zamachowców były zaskoczenie przeciwnika i własna determinacja. Duże znaczenie miało też poparcie lewicy, widzącej w akcji Marszałka ratunek przed dyktaturą endecji. To dzięki lewicy większość mieszkańców stolicy, zwłaszcza z uboższych dzielnic, wsparła zamach. Bardzo również pomógł strajk zarządzony przez PPS-owski Związek Zawodowy Kolejarzy – specyficzny, bo całkowicie zablokował ruch transportów wojskowych śpieszących z odsieczą rządowi, za to maksymalnie ułatwił przejazd zbuntowanym oddziałom.

Lewica zapewniła Piłsudskiemu wygraną, ale w konsumowaniu owoców zwycięstwa nie miała już udziału. Marszałek nie zamierzał dzielić się władzą, czym sfrustrował zdezorientowanych sojuszników. Celnie dostrzegła to Zofia Nałkowska, notując w dzienniku pod datą 31 października 1926 r.: „Lewica – rozczarowana, pełna goryczy, jeszcze prawie niemogąca uwierzyć – odstępuje to swoje dziwne bożyszcze z bólem, w zarzutach i krytyce wciąż jeszcze delikatna, nieśmiała, prawie tkliwa, jak opuszczona kochanka".

12 maja 1926 r. Marszałek ruszył z wiernymi mu oddziałami na Warszawę. Nie chciał wojny domowej.

Tomasz Nałęcz jest historykiem, emerytowanym profesorem nadzwyczajnym UW, posłem II i wicemarszałkiem Sejmu IV kadencji. W swoich badaniach zajmował się głównie okresem II RP, ruchem socjalistycznym i Józefem Piłsudskim

FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl d531504b05

Samochód pancerny na ulicy Brackiej w Warszawie, maj 1926 r.

Dlaczego na początku lud poparł zamach na demokrację

Krzysztof Janik

Historia powtarza się dwa razy.
Karol Marks

Mija 100 lat, od kiedy Józef Piłsudski przejął dyktatorską władzę w Polsce. Nie bardzo wiem, kto zorganizuje obchody tej rocznicy. Nawet jeśli, będzie to kolejne załgane przedsięwzięcie, podkreślające geniusz Marszałka i jego osiągnięcia, przy których blakną Bereza Kartuska, proces brzeski czy strzelanie do chłopów w Łapanowie.

Nie jestem historykiem, nie interesują mnie szczegóły, a tym bardziej meandry marszu Marszałka na Warszawę. Bardziej interesuje mnie, dlaczego na początku lud poparł zamach na demokrację i jakie wnioski można z tego wyprowadzić dla nas, tu i teraz. Rysuję to grubym ołówkiem, mając pełne zaufanie do Czytelników „Przeglądu", ich wyobraźni i poczucia absurdu zawartego w cytowanym powiedzeniu Karola Marksa.

Moim zdaniem o sukcesie Marszałka i poparciu, jakie okazała mu znaczna część społeczeństwa, zadecydowały trzy czynniki.

Pierwszy to brak spójności społecznej w nowo powstałej Rzeczypospolitej. Tworzy się oto bowiem państwo, od którego obywatele odwykli. Opowiadanie o tym, jak to przez 123 lata zaborów pielęgnowaliśmy ducha narodu polskiego, jak tęskniliśmy za własnym państwem, jest miłe, ale nieprawdziwe. Pod zaborami żyło sześć pokoleń, które nasiąkały poddańczą kulturą polityczną i odrębną kulturą cywilizacyjną. Te granice zaborów widoczne są po dzień dzisiejszy: w języku, obyczajach i stosunku do państwa wyrażającym się w postawach politycznych. Ponadto chłopi pamiętali, że to zaborcy zlikwidowali pańszczyznę i dali im wolność osobistą. Skoro zobaczyli w Sejmie po 1918 r. tych magnatów, których własnością byli do niedawna, nic dziwnego, że takiemu państwu nie ufali.

Dodajmy do tego, że ok. 30% obywateli Rzeczypospolitej nie było etnicznymi Polakami. Mniejszości zawsze podejrzewają, że nie są pełnoprawnymi obywatelami, a ich relacje z większością często odwołują się do lekceważenia czy nawet pogardy, jaką ta większość im okazuje. Pogromy nie są wynalazkiem XX w. Marsz endecji przez Polskę budził więc zrozumiałe zaniepokojenie.

Mamy rok 2026. Nie mamy znaczących mniejszości narodowych czy etnicznych, ale mamy imigrację. Będzie coraz liczniejsza, bo to my – z powodów demograficznych – potrzebujemy nowych rąk do pracy. Mamy podzielone – jak nigdy dotąd – społeczeństwo i elity polityczne. Nie wedle poglądów na świat i na politykę, te podziały są dużo głębsze. Centrum – peryferie, biedni – bogaci, elity – masy itd. Znowu pojawia się poczucie wykluczenia i szukanie tożsamości grupowej, a nie państwowej. Pojawia się język pogardy i lekceważenia. Epitety przekraczające granicę chamstwa. Sponiewierane instytucje i procedury. Nie ufamy własnemu państwu. Jak 100 lat temu, tylko mocniej.

Czynnik drugi – trudna sytuacja socjalno-gospodarcza. Polska jest po reformie Grabskiego. Rzeczywiście ograniczyła ona inflację i ustabilizowała gospodarkę. Ale lud uważał, że odbyło się to jego kosztem. W fabrykach żywe było

FOT. MUZEUM WARSZAWY

eprasa.pl d531504b05

wspomnienie rewolty robotniczej z 1923 r., chłopi czekali na reformę rolną. Nikt już nie pamiętał o następstwach wojny światowej, o gruzach i dewastującej życie inflacji, nie patrzył na zadłużenie państwa. Wszyscy natomiast odczuwali drożyznę, żyli dniem dzisiejszym, obwiniali kolejne rządy – ktokolwiek by je tworzył – o niezdarność i pazerność. Wskaźnik Giniego (powstał w 1912 r.) bił rekordy, narastało subiektywne przekonanie, że może być już tylko lepiej. Tylko rządowi musi się chcieć.

Mamy rok 2026. Polska jest już zupełnie gdzie indziej, a rząd ma o wiele więcej instrumentów korygowania nastrojów społecznych i interwencji socjalno-gospodarczej. Ale spora część Polaków myśli, że żyje im się gorzej niż kilka lat temu, młodzi coraz częściej definiują swoją pomyślność życiową jako mglistą i niepewną. Poczucie subiektywnej deprywacji dotyka coraz większe grupy społeczne. Demokratyczna zmiana rządów już nie wystarcza. Może by tak zatem zmienić wszystko? Wyjść z Unii Europejskiej, machnąć ręką na demokrację (wszak nasz dobrobyt nie od niej zależy), zlikwidować podatki i państwo, które je pobiera. Jeśli kogoś stać, to niech się uczy i leczy, jeśli nie stać – trudno. Trzeba było się starać.

Wreszcie czynnik trzeci – niepewne ówczesne otoczenie międzynarodowe. Na wschodzie bolszewicy – nie wiadomo, co im przyjdzie do głowy. Na zachodzie Niemcy – burdel Republiki Weimarskiej, skutkujący bardzo częstymi zmianami rządów, i rosnący w siłę nacjonalizm, który dawał nadzieję na zmiany. To budziło lęk oraz skłaniało do pójścia drogą ładu i porządku gwarantującą silne państwo. Na południu Czechosłowacja zmagająca się z jeszcze gorszymi problemami. Zniemczone Czechy (Franciszek Józef był dla nich bezlitosny) i zmadziaryzowana Słowacja. Buduj tu jednolite państwo. Nawet Masaryk nie pomógł. A obywatele Rzeczypospolitej to widzą.

Mamy rok 2026. Mamy Donalda Trumpa, przy którym przewidywalność jest pojęciem lekko przebrzmiałym. Na wschodzie Władimir Putin, o którego zamiarach nikt nic nie wie, ale to tym gorzej. Na południu dwa państwa, z których jedno chce się przyjaźnić z Putinem, a drugie wręcz przeciwnie. Ale to nic. Na zachodzie znowu mamy Niemcy, a co gorsza Brukselę, która chce nas wchłonąć i przekształcić w kolejny land niemiecki. Gorzej już być nie może. To może jednak z Putinem, bo za PRL nie było tak źle – mówiliśmy i myśleliśmy po polsku, a tam jest duży rynek zbytu i tania benzyna. No i jest oczywiście ład, porządek, dyscyplina, hierarchia. Może z Trumpem, bo on daleko, ale ma F-35 i bombę atomową, w razie potrzeby pożyczy. I się nie patyczkuje. Część uważa, że można z Brukselą, tylko trzeba ją skuteczniej doić. Potrzeba nam w tym celu zdecydowanego przywódcy.

To kto będzie tym Piłsudskim? Kandydatów jest kilku. Też mają – jak Marszałek – kiepskie otoczenie, ale zdyscyplinowane. Też używają prostego języka: „Naród wspaniały, tylko ludzie kurwy". Jedynym pocieszeniem jest to, że może braknąć kolejarzy, którzy zablokują tory wojsku jadącemu na pomoc demokracji.

PS Zapomniałem wspomnieć o jakości rządów w 1926 r. Niespójne koalicje rządzące, strach przed podejmowaniem decyzji, doraźne myślenie i działanie, brak strategii, podporządkowanie polityki doraźnym potrzebom wodza – na szczęście to chyba się nie powtarza.

Krzysztof Janik jest doktorem nauk politologicznych, byłym ministrem spraw wewnętrznych i przewodniczącym SLD. W dorobku ma wiele prac z zakresu funkcjonowania władz w XX w.

Lem w PRZEGLĄDZIE

Gdy w grudniu 2001 r. odbierał naszą redakcyjną nagrodę, BUSOLĘ powiedział:
Regularnie czytam Wasz tygodnik i cenię go. „Przegląd" jest pismem odważnym, wiarygodnym i pisze w nim wielu znakomitych autorów.

Dołączył do naszego zespołu. Pisał o meandrach polityki polskiej i światowej, nauce, przeczytanych książkach i artykułach.

W atrakcyjnej książce jest 126 felietonów Lema. Ciągle aktualnych.

67 zł

sklep.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl d531504b05

1

Warszawa 12-15 maja 1926

2

eprasa.pl d581504b05

3

4

5

1. Grupa żołnierzy Józefa Piłsudskiego na placu przed Belwederem.
2. Szwoleżerowie w okopach na warszawskiej ulicy.
3. Żołnierze oddziałów wiernych Józefowi Piłsudskiemu na ulicy Brackiej.
4. Czołg FT-17 na ulicy Brackiej.
5. Pogrzeb ofiar przewrotu majowego.

FOT. @NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE(3), MUZEUM WARSZAWY(2)

eprasa.pl d531504b05

MATURA SZYTA NA MIARĘ

Nie załamujcie rąk nad wynikami egzaminów – były i będą takie same

Kornel Wawrzyniak

Gdy spojrzeć na statystyki maturalne kolejnych roczników, wyłania się zaskakująco stabilny obraz: niezależnie od zmian podstawy programowej i modyfikacji formuły rezultaty pozostają niemal takie same. To każe podejrzewać, że matura jest w praktyce „skalibrowana" – tak aby zdawalność utrzymywała się na społecznie akceptowanym poziomie, a egzamin spełniał funkcję państwowego filtra, który ma działać przewidywalnie.

Kalibracja matury

Co roku w maju powtarza się ten sam rytuał: jedni zaciskają kciuki, drudzy wieszczą katastrofę, a nagłówki podkręcają emocje, sugerując, że „matury znów poszły gorzej niż kiedyś". Tyle że w tej opowieści zwykle brakuje najważniejszego pytania: czy wyniki mówią nam cokolwiek o realnym poziomie wiedzy uczniów? Śledząc statystyki poszczególnych roczników, można zauważyć wyraźny trend – wyniki niezależnie od zmiennych są wręcz identyczne.

„Nie ma możliwości porównywania nieporównywalnych wyników egzaminów maturalnych, gdyż każdy rocznik zdaje egzamin na poziomie skalibrowanym do jego kompetencji. Przygotowywane testy mają własną skalę, toteż wynik np. 78% zdawalności z danego przedmiotu w jednym roku w porównaniu z 75% w poprzednim absolutnie nie oznacza, że nastąpiła poprawa o 3 pkt proc. Testy egzaminacyjne są konstruowane pod decyzję polityczną w sprawie pożądanego odsetka porażek, do którego dobiera się progowy wynik. Jeśli politycy rządzącej koalicji założą, że w danym roku matematykę ma zdać 80% abiturientów, testy będą do tego dostosowane", mówił w „Przeglądzie" już w 2013 r. prof. Bogusław Śliwerski z Akademii Pedagogiki Specjalnej im. Marii Grzegorzewskiej.

Spójrzmy na statystyki z różnych lat. W 2008 r. świadectwo dojrzałości uzyskało 79% maturzystów. Średnia ocen z języka polskiego wynosiła 52%, z angielskiego 61%, a z matematyki, wtedy jeszcze nieobowiązkowej, 54% (żeby zdać egzamin, trzeba uzyskać minimum 30% punktów – przyp. red.). Mówimy na razie wyłącznie o maturach podstawowych. W 2010 r. przywrócono obowiązkową maturę z matematyki. Średnia ocen z tego przedmiotu wyniosła 59%, z polskiego 57%, a z angielskiego 62%. Maturę zdało wówczas 81%. Przeskoczmy o dekadę – w 2020 r. maturę zdało 74% osób, z wynikami: matematyka 58%, polski 56%, angielski 77%. I o kolejne pięć lat – w 2025 r. maturę zdało 80% uczniów. Średnie wyniki z przedmiotów obowiązkowych: język polski 59%, matematyka 61%, angielski 78%.

Widać, że matura jest stworzona po to, aby ją zdać. Każdy rocznik w ostatnich 17 latach miał prawie

FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/ REPORTER

eprasa.pl d531504b05

identyczne wyniki. Dydaktycy co roku wieszczą, że poziom uczniów spada, i mają na to dowody. A wyniki egzaminów dojrzałości ani drgną. „Niestety, obserwuję zjawisko obniżania się poziomu, choć rośnie biegłość w rozwiązywaniu testów. Odwrotnie jest z umiejętnością myślenia. Coś takiego przerabiają także inne kraje, natomiast polską specyfiką jest to, że dbając o zachowanie politycznego spokoju, tak się ustawia poziom wymagań, aby matury nie oblało więcej niż 20% zdających", mówiła „Przeglądowi" w 2013 r. Krystyna Łybacka, była minister edukacji w rządzie Leszka Millera.

Zdaje się, że mimo upływu czasu niewiele się zmieniło. Dzisiaj specjaliści wypowiadają się w podobnym tonie. – Istnieje niepisane założenie, że matura jest egzaminem powszechnym i powinna być zdawalna przez zdecydowaną większości uczniów – dlatego arkusze projektuje się tak, by zdawalność oscylowała wokół 85-90%. Wpisuje się to w dominujące od lat egalitarne myślenie o edukacji, zgodnie z którym jak najszersze grono młodych ludzi powinno mieć dostęp do studiów. Symboliczny próg zdawalności na poziomie 30% nie ma zresztą realnego uzasadnienia badawczego – to raczej kompromis administracyjny niż wynik analiz pedagogicznych. Obawy przed podniesieniem tego progu wynikają głównie z lęku, że zbyt wiele osób nie poradziłoby sobie z egzaminem. Dziś widzimy podobną logikę w dyskusjach nad zniesieniem matury z matematyki, przedstawianej jako bariera w dostępie do studiów. Trudno jednak zgodzić się z tezą, że podstawowe kompetencje matematyczne nie są potrzebne – także na kierunkach humanistycznych, gdzie stanowią fundament logicznego i analitycznego myślenia – podkreśla polonista Bartłomiej Rosiak, naukowo zajmujący się językoznawstwem i pomiarem dydaktycznym, a specjalizujący się w egzaminowaniu polonistycznym.

Matematyka od lat utrzymuje się na poziomie raczej przeciętnym, ale zadziwiająco stabilnym. Gdy w 2010 r. wróciła jako obowiązkowy przedmiot po 25 latach przerwy, egzaminu nie zdało tylko 13% maturzystów. Nie był to jednak przypadek – test okazał się po prostu łatwy. Bo wyobraźmy sobie społeczną burzę, gdyby dopiero co przywrócona matematyka pogrążyła co czwartego czy piątego zdającego. Cyrk zaczął się później – w 2015 r. podstawowej matury z matmy nie zdał co piąty uczeń (24%). Ówczesna ministra edukacji Joanna Kluzik-Rostkowska stwierdziła, że słabe wyniki to wina maturzystów. Inną opinię miał były dyrektor Centralnej Komisji Egzaminacyjnej prof. Krzysztof Konarzewski, który w rozmowie z „Dziennikiem Gazetą Prawną" wskazywał, że komisja przygotowała zbyt trudny test.

Odpowiednią kalkulację polityczną wykonali jednak kolejni ministrowie edukacji. Matematyka na poziomie podstawowym, niegdyś zmora maturzystów, traci groźne oblicze. W 2023 r. egzamin zdało 88% uczniów, a rok później już niemal 89%. Jeszcze niedawno co piąty maturzysta ponosił porażkę – dziś sukces osiąga prawie dziewięciu na dziesięciu. O prawdziwym poziomie znajomości matematyki świadczyć mogą wyniki egzaminów rozszerzonych. Od 2015 r. średnia z rozszerzonej matematyki nie przekroczyła 40%. Najniższa była w 2021 r. – 31%. Od czterech lat zaś utrzymuje się na tym samym poziomie 33%.

Genialną wymówką dla globalnego obniżenia wymagań byli maturzyści covidowi – czyli roczniki 2020 i 2021 – którzy dostali taryfę ulgową. Wymagania zmieniono z podstawy programowej do okrojonego zakresu egzaminacyjnego. Według Pauliny Szlenckiej, publicystki Klubu Jagiellońskiego, pandemia minęła, a taryfa ulgowa obowiązuje do dziś: „Ministerstwo Edukacji ograniczyło podstawę programową o ok. 20%. W przypadku języka polskiego zmniejszono liczbę lektur obowiązkowych (…), uproszczono także wymagania z zakresu gramatyki i nauki o języku. W matematyce ograniczono część zagadnień dotyczących geometrii i wzorów skróconego mnożenia, ograniczono także zakres skomplikowanych dowodów na rzecz prostszych uzasadnień. (…) Problemem jest państwowy system edukacji, który potraktował młodzież mniej poważnie, niż na to zasługują".

Zastanawiać może jeszcze coraz wyższa zdawalność języka angielskiego. Niektórzy powiedzą, że to kwestia kulturowa, bo kolejne pokolenia mają do czynienia z coraz bardziej zamerykanizowaną kulturą masową. Jednak genialne wręcz wyniki z angielskiego w niektórych szkołach potwierdzają tezę, że władza nie tylko chce spokoju, ale też dąży do przypodobania się następnym pokoleniom wyborców.

– Zdarzają się szkoły, w których średni wynik z egzaminu z języka angielskiego sięga 99%, choć nie oznacza to, że wszyscy uczniowie mają identyczne kompetencje językowe. To pokazuje, że egzamin jest konstruowany przede wszystkim z myślą o masowym odbiorcy. Warto jednak dostrzec dodatkowy kontekst – mówimy o młodych ludziach, którzy wchodzą w dorosłość obywatelską i stanowią istotną część elektoratu. Nie bez znaczenia jest również zbieżność czasowa między maturami a kalendarzem wyborczym. Egzaminy odbywają się wiosną, a ewentualna frustracja związana z niepowodzeniem maturalnym czy rozpoczęciem studiów może narastać jesienią. Dlatego każda władza stara się postępować z maturzystami jak z jajkiem. Szczególnie jeśli władza tak często zmienia podstawę programową, formułę egzaminu. Edukacja lubi stabilność. Należy pamiętać, że egzamin ma charakter państwowy, a jego kształt zależy od instytucji podległych politycznie – dyrektora CKE oraz dyrektorów komisji okręgowych można odwołać w każdej chwili. Brak kadencyjności tych stanowisk uważam za rozwiązanie szkodliwe dla stabilności

Matura stworzona jest po to, aby ją zdać. Każdy rocznik w ostatnich 17 latach miał prawie identyczne wyniki.

eprasa.pl d531504b05

i niezależności systemu egzaminacyjnego – mówi Bartłomiej Rosiak.

Kasa kupuje przyszłość

Pisaliśmy już na naszych łamach („Korepetycje spółka z o.o.", 12/2023), że cały rynek korepetycji osiągnął w 2022 r. wartość ok. 7,5 mld zł. Opublikowany w grudniu 2024 r. raport „Młodzież w epoce kryzysów" prof. Piotra Długosza (Uniwersytet KEN w Krakowie) rzucił światło m.in. na rosnące znaczenie korepetycji – zarówno ich skalę, jak i motywacje uczniów. Badania pokazują, że dodatkowe lekcje nie są wyłącznie sposobem na nadrabianie braków. Coraz częściej korzystają z nich uczniowie z bardzo dobrymi wynikami (średnia powyżej 4,51), którzy chcą zmaksymalizować wyniki maturalne i zwiększyć szanse dostania się na prestiżowe uczelnie.

Według badania CBOS dotyczącego roku szkolnego 2025/2026 aż 80% rodziców zadeklarowało inwestowanie w zajęcia pozaszkolne. Widać wyraźny wzrost w stosunku do poprzedniego roku, gdy twierdząco na to samo pytanie odpowiedziało 73% badanych. Wraz ze wzrostem popularności dodatkowej edukacji rosną kwoty na nią przeznaczane. Dziś to średnio 944 zł miesięcznie, czyli 50 zł więcej niż rok wcześniej i niemal 400 zł więcej (według CBOS) niż w roku szkolnym 2022/2023. Uczestnictwo w korepetycjach i kursach przygotowujących do matury zadeklarowało w roku szkolnym 2023/2024 aż 75% maturzystów. Serwis e-korepetycje.net przeanalizował ponad 41 tys. ogłoszeń dotyczących zajęć przygotowujących do matury w 30 największych miastach Polski. Średnie ceny godziny korepetycji wynoszą: 69,73 zł za język polski, 70,84 zł za matematykę, 68,92 zł za angielski, 63,02 zł za historię.

Do tego dochodzą kursy przygotowujące, które trwają od września aż do matury. Oferta jest bardzo bogata, od spotkań online po zajęcia stacjonarne w grupach. W jednym z ośrodków cena kursu to 1754 zł za jeden przedmiot. Rozszerzenie kosztuje tyle samo. Gdy klient decyduje się na dwa kursy, naliczana jest zniżka – za dwa przedmioty zapłacimy 3333 zł. Zapisy już trwają, zarówno dla maturzystów 2027, jak i 2028 (!).

W innej firmie za grupowe zajęcia online lub stacjonarne zapłacimy poza wyprzedażą 2499 zł. Podobnie jest u konkurencji. Niektóre firmy oferują jeszcze przygotowanie uczniów do olimpiad przedmiotowych. Cena za indywidualne przygotowanie to nawet 3249 zł. Oferty wydają się skrojone właśnie pod osoby celujące w najwyższe wyniki na egzaminie dojrzałości. Kursy przygotowawcze prowadzą nawet takie uczelnie jak SGGW czy Uniwersytet SWPS.

Kiedyś to było

Od dawna w maju pojawia się to samo pytanie: czy dzisiejsi maturzyści zdaliby matury sprzed dekad, z lat 70., 80.? A najlepiej taką z międzywojnia. Roztrząsanie tego wydaje się bezcelowe, ponieważ każda z tych matur była zupełnie innym egzaminem. Na przykład po 1989 r. matura odmiennie weryfikowała wiedzę uczniów. Obecnie jej zdanie otwiera drogę na studia. Kiedyś jednak to nie wystarczało – kandydaci musieli jeszcze zaliczyć egzaminy wstępne. Najwięcej mitów narasta wokół matur w II RP. Według niektórych opinii ktoś, kto zdał maturę przed 1939 r., mógł prezentować poziom wiedzy porównywalny z dzisiejszym magistrem. Ale to hipotezy trudne do zweryfikowania. Jak wskazuje jednak historyk Paweł Rzewuski na portalu Histmag.org: „Dawna matura naprawdę wymagała wiedzy o otaczającym świecie i umiejętności połączenia jej z innymi wiadomościami zdobytymi w szkole. Słowacki, Norwid czy Prus nie byli postaciami oderwanymi od bieżącej rzeczywistości, ale osobami uwikłanymi we współczesność. Gdyby dzisiejsza matura wyglądała jak ta przedwojenna, to zamiast zadania szczegółowo wyliczającego, na co zwrócić uwagę w zaserwowanym fragmencie tekstu, uczeń dostałby temat taki jak: »Wyjaśnij związek między literaturą drugiego obiegu a walką z systemem komunistycznym«. Nietrudno sobie wyobrazić popłoch zarówno wśród uczniów, jak i nauczycieli – tak skonstruowane pytanie nie tylko utrudnia ułożenie klucza, ale również wymaga od odpowiadającego samodzielnego myślenia".

– Pytanie, czy dzisiejsi maturzyści poradziliby sobie z egzaminami sprzed kilkunastu czy kilkudziesięciu lat, pomija kluczowe zjawisko tzw. efektu zwrotnego egzaminu. Szkoła realizuje podstawę programową, ale sposób nauczania jest w dużej mierze dostosowany do aktualnej formuły egzaminu. Dlatego absolwenci wcześniejszych roczników – podobnie jak osoby kształcone w innych epokach – mieliby trudność ze zdaniem obecnej matury, ponieważ zmieniły się zarówno wymagania, jak i typy zadań. Choć klasyczne wypracowanie sprawdza szerokie spektrum kompetencji humanistycznych, egzamin oparty wyłącznie na tej formie byłby niesprawiedliwy ze względu na silny wpływ czynnika ludzkiego. Obecna formuła, łącząca testy i pracę pisemną, ogranicza subiektywizm ocen i lepiej różnicuje wyniki zdających – podsumowuje egzaminator Bartłomiej Rosiak.

Pozostaje mi zatem uspokoić czytelników – wbrew corocznym alarmom wszystko działa tak, jak powinno: większość zdaje, mniejszość odpada, a system trwa w równowadze. Tylko wiedza – jakby gdzieś po drodze – przestała być najważniejsza.

Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl d531504b05

Z Galicji

Jan Widacki

Nie matura, lecz chęć szczera…

Rozpoczęły się matury. Gdy się zakończą, rozpocznie się rekrutacja na uczelnie. Kiedyś absolwenci szkół średnich, jeśli chcieli studiować, musieli zdawać egzaminy wstępne do szkół wyższych. Na atrakcyjne kierunki studiów, takie jak medycyna, prawo czy architektura, zawsze było kilku, a czasami nawet kilkunastu kandydatów na jedno miejsce. Egzaminy wstępne miały charakter konkursowy. Limit wypełniali ci, którzy najlepiej zdali egzamin. Demonizowane w czarnej legendzie PRL „punkty za pochodzenie" (chłopskie lub robotnicze) miały znaczenie zupełnie drugorzędne. Wchodziły w grę dopiero wtedy, gdy do jednego miejsca (przy końcu listy!) aspirowało dwóch kandydatów z identycznym wynikiem egzaminu. Nawiasem mówiąc, te symboliczne w sumie punkty miały w jakimś stopniu wyrównywać trudniejszy start dzieci ze środowisk robotniczych bądź chłopskich.

Limity miejsc na poszczególnych kierunkach studiów ustalane były odgórnie przez ministerstwo, które w ten sposób bardziej czy mniej skutecznie próbowało uwzględnić zapotrzebowanie na rynku pracy.

System rekrutacji na studia z limitowaną liczbą miejsc na poszczególnych kierunkach i egzaminami konkursowymi gwarantował w zasadzie to, że na uczelnie dostawali się najlepsi.

Dziś studiować może każdy, kto ma na to ochotę i pieniądze. Nie ma egzaminów wstępnych. Przy przyjmowaniu na studia liczy się wynik matury. A poziom matury, stopień jej trudności znacznie się obniżył. Limity przyjęć określane są przez same uczelnie. Te renomowane ustalają sobie, przynajmniej na obleganych kierunkach, jaka liczba punktów uzyskanych na maturze gwarantuje przyjęcie. Na tego, kto określonego poziomu nie przekroczy, czekają w pierwszej kolejności słabsze uczelnie publiczne, które poprzeczkę mają ustawioną znacznie niżej. W dużych ośrodkach akademickich ten sam kierunek można studiować często na kilku uczelniach publicznych. Na przykład prawo w Krakowie na trzech uniwersytetach publicznych, jednym kościelnym, ale finansowanym z budżetu państwa, a więc za darmo.

Kto nie dostanie się na uniwersytet publiczny, ma w zapasie miejsca na uczelniach niepublicznych. Byle tylko zdał, choćby najsłabiej, maturę, no i miał pieniądze na czesne.

Na to wszystko nałożyło się tworzenie w różnych miastach powiatowych publicznych, jak najbardziej, opłacanych przez podatnika i zżerających pieniądze przeznaczone na naukę „wyższych szkół zawodowych" czy „nauk stosowanych". Ich poziom to odrębny temat, chociaż oczywiście mogą się zdarzać wyjątki.

Inflacja wyższego wykształcenia postępowała powoli, ale systematycznie. Przyśpieszyła w związku z niżem demograficznym. Student to pieniądze! Dla uczelni niepublicznej wprost, poprzez płacenie czesnego. Dla uczelni publicznych – pośrednio. Bo jeśli nie będzie odpowiedniej liczby studentów, nie będzie też godzin na wypełnienie pensum pracowników naukowych. 180 godzin dla profesora, 270 godzin dla adiunkta itd. Jakoś nikt nie wpadł na pomysł, by korzystając z sytuacji demograficznej, obniżyć pensa dydaktyczne i nadal kształcić najlepszych.

Z każdym rokiem przybywa nam ludzi z wyższym wykształceniem, ale nieumiejących nic.

Na studia dostają się ludzie, którzy z uwagi na poziom intelektualny, motywacje i zainteresowanie zdobywaniem wiedzy nigdy na nich znaleźć się nie powinni. Obniża się poziom studiów na najlepszych uniwersytetach. Tymczasem wyrosłe jak grzyby po deszczu różne prywatne szkółki wyższe od tego czy owego także walczą o studenta. Wymyślają różne kierunki studiów o nazwach nieodpowiadających żadnym dyscyplinom nauki, techniki czy sztuki, ale udanych marketingowo. Rozpoczęte w czasie pandemii z konieczności nauczanie online przyjęło się. W sensie epidemiologicznym pandemia dawno się skończyła, a nauczanie online zostało jako pandemiczna forma taniego nauczania akademickiego. Jeden nauczyciel akademicki w tym samym czasie może obsłużyć kilka uczelni lub zamiejscowych filii.

Z każdym rokiem przybywa nam ludzi z wyższym wykształceniem, z tytułami licencjata lub magistra, nieumiejących nic lub w najlepszym razie umiejących niewiele. A przecież niby wiemy, że „takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie". Niby. Bo założę się o dowolną kwotę, że przeciętny absolwent naszych uczelni z ostatnich 10 lat nie zna tego zdania, nie mówiąc już o tym, aby wiedział, kto i kiedy je wygłosił. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl d531504b05

6 maja 2026 r. sąd w Częstochowie skazał Dawida B., ojczyma ośmioletniego Kamilka, na 25 lat więzienia, a matkę chłopca, Magdalenę B., na 16 lat.

Niewidzialne dziecko

Oprawców Kamilka skazano. Instytucje pozostały bez winy

Mateusz Cieślak

3 kwietnia 2023 r. nad Górnośląskim Centrum Zdrowia Dziecka w Katowicach pojawił się śmigłowiec Lotniczego Pogotowia Ratunkowego. Na pokładzie był ośmioletni chłopiec z Częstochowy, Kamilek. Śmigłowiec osiadł na lądowisku ostrożnie. Każde szarpnięcie, każde drgnięcie noszy mogło spowodować nowe obrażenia. Gdyby Kamilek był przytomny, oznaczałyby też dla dziecka ból trudny do wyobrażenia. Chłopiec miał rozległe, nieleczone rany oparzeniowe. W wielu miejscach odsłonięta była żywa tkanka. W niektórych ranach rozwijało się zakażenie, w innych już była martwica. Do Katowic przywieziono dziecko w stanie skrajnie ciężkim. Nie po wypadku czy nagłym nieszczęściu. Po dniach cierpienia, którego nikt w porę nie przerwał.

Za Kamilka oddychał respirator. Lekarze wprowadzili chłopca w śpiączkę farmakologiczną, by ograniczyć ból i móc rozpocząć leczenie ran. Usuwano tkanki martwicze, wykonywano przeszczepy skóry, walczono z chorobą oparzeniową, niewydolnością oddechową i zakażeniem całego organizmu. Na ostatnim etapie pobytu w szpitalu konieczne było użycie ECMO, czyli aparatury do pozaustrojowego natleniania krwi i wspomagania krążenia.

Kamilek zmarł 8 maja 2023 r., po 35 dniach walki o życie. Miał poparzone 25% powierzchni ciała. Oparzenia obejmowały głowę, tułów i kończyny. Lekarze stwierdzili także złamania kończyn, w tym starsze obrażenia.

Bezpośrednią przyczyną śmierci była niewydolność wielonarządowa spowodowana chorobą oparzeniową i ciężkim zakażeniem organizmu. Ale medyczny opis śmierci nie wyjaśnia najważniejszego – dlaczego dziecko, już wcześniej maltretowane w okrutny sposób, nie otrzymało pomocy. I dlaczego nie zostało ochronione przed kolejnymi aktami sadyzmu.

Pod okiem urzędników i służb

Rodzina Kamilka była znana instytucjom socjalnym. W czerwcu 2022 r., czyli rok przed przewiezieniem nieprzytomnego Kamilka do Katowic, MOPS w Częstochowie skierował do sądu pismo z wnioskiem o zabezpieczenie dzieci w pieczy zastępczej. Sprawą zajmował się również sąd w Olkuszu, bo rodzina przemieszczała się między gminami i powiatami. Były ucieczki dziecka z domu, wagary i sygnały ze szkoły, że w tej rodzinie nie dzieje się dobrze. Już wcześniej zauważono poważne obrażenia. Była ręka w gipsie i ślady przemocy, a także tłumaczenia dorosłych i brak właściwej reakcji. Krótkie życie nauczyło Kamilka, że nie powinien się skarżyć, bo to nic nie da, a potem będzie gorzej.

Rodzina zmieniała miejsca zamieszkania: Częstochowa, Olkusz, znów Częstochowa... Po każdej zmianie adresu zmieniały się szkoła, pomoc społeczna, sąd rodzinny i kuratorzy. Specjaliści od spraw przemocy domowej takie zjawisko nazywają turystyką ucieczkową. W nowych miejscach rodzina zaczynała nowe życie – z czystą kartą. Przynajmniej dla części instytucji.

W Olkuszu Kamilek uciekał z domu, trafił do szpitala, wtedy pojawiły się pierwsze podejrzenia przemocy.

Rodzina Kamilka była znana instytucjom socjalnym.

Sprawą zajmowały się miejscowy ośrodek pomocy społecznej i Sąd Rejonowy w Olkuszu. Dzieci nie zostały odebrane dorosłym. Po powrocie rodziny do Częstochowy sprawę nadal prowadził sąd w Olkuszu. 14 marca 2023 r. ograniczył matce władzę rodzicielską. 29 marca Kamilek został skatowany i poparzony. 3 kwietnia, w dniu przekazania sprawy z Olkusza do Częstochowy, trafił do szpitala w stanie skrajnie ciężkim.

FOT. PRZEMYSŁAW GLUMA/SUPER EXPRESS/EAST NEWS

eprasa.pl d531504b05

Sąd ograniczał władzę rodzicielską Magdalenie B., lecz człowiekiem, który 29 marca 2023 r. skatował i poparzył dziecko, był jej mąż, a ojczym chłopca – Dawid B. Znęcał się nad Kamilkiem, polewał go wrzącą wodą. Bił. Uderzał pięściami i słuchawką prysznica. Rzucał dzieckiem o podłogę. Potem przeniósł je do kuchni i rzucił na rozgrzany piec węglowy.

Czuć było mocz i ropę

Matka nie wezwała pogotowia. Pozwoliła skatowanemu dziecku cierpieć, choć twierdziła później, że chciała mu pomóc. Miała smarować rany po oparzeniach maściami, co przy tak rozległych obrażeniach nie było właściwym leczeniem. Mogło natomiast potęgować ból. Los dziecka nie wzruszył także innych domowników. W tym samym mieszkaniu przebywali również Aneta J. i Wojciech J., wujostwo Kamilka. Prokuratura zarzuciła im później, że od 29 marca do 3 kwietnia 2023 r. nie udzielili pomocy chłopcu, choć znajdował się w stanie bezpośredniego zagrożenia życia.

3 kwietnia matka skontaktowała się z biologicznym ojcem Kamilka. Chciała, żeby zabrał go do siebie, umył i zawiózł do szpitala. Wysłała mu zdjęcie syna z poparzoną twarzą i klatką piersiową. Artur Topól pojechał więc do mieszkania przy ul. Kosynierskiej. W środku zobaczył na łóżku synka, który płakał i wołał o pomoc. W mieszkaniu czuć było mocz i ropę. Dopiero ojciec wezwał odpowiednie służby.

Kamilka pochowano 13 maja 2023 r. na Cmentarzu Kule w Częstochowie. Mszy pogrzebowej przewodniczył biskup pomocniczy archidiecezji częstochowskiej Andrzej Przybylski. Na uroczystości przyszły tysiące ludzi. Nie wszyscy zmieścili się w kościele. Był biologiczny ojciec Kamilka, jego siostra, przyrodnie rodzeństwo, przyjaciele rodziny i mieszkańcy Częstochowy. Nie było matki chłopca ani wspomnianego wujostwa – oprawca i świadkowie cierpień dziecka przebywali wtedy w areszcie.

Rodzina prosiła, by przynosić przede wszystkim białe róże. Ludzie przyszli z kwiatami, pluszowymi misiami i balonikami. Po uroczystości niewielki grób wyglądał jak kopczyk z białych róż. W niebo wypuszczono białe i błękitne balony. Na jednej ze wstęg żałobnych zapisano trzy słowa: „Zawiedliśmy. Wybacz. Dorośli". To najkrótsze podsumowanie tej sprawy. Bo Kamilka zawiedli nie tylko ci, którzy zadawali mu ból, ale także ci, których obowiązkiem jest chronić dziecko przed przemocą, a jeśli ta już się wydarzy – zareagować. Zawiodły instytucje państwa: szkoła, opieka społeczna i sąd.

Po pogrzebie doszło do sceny, która pokazała, jak bardzo ta sprawa poruszyła ludzi i jak łatwo gniew tłumu może uderzyć w niewłaściwym kierunku. Część osób zaczęła obwiniać biologicznego ojca o to, co stało się z chłopcem. Tymczasem to on jako jedyny zareagował od razu, gdy zobaczył stan dziecka.

Winni tylko oprawcy?

Dawid B. i Magdalena B. trafili do aresztu 5 kwietnia 2023 r. Początkowo zarzuty dotyczyły znęcania się nad dzieckiem i spowodowania ciężkiego uszczerbku na zdrowiu. Po śmierci Kamilka prokuratura zmieniła kwalifikację czynów. Dawid B. został oskarżony o zabójstwo pasierba ze szczególnym okrucieństwem. Magdalenie B. zarzucono pomocnictwo w zabójstwie przez to, że nie udzieliła dziecku pomocy i nie wezwała lekarza. Na ławie oskarżonych znaleźli się także ciotka Kamilka i jego wuj. Do osobnego postępowania wyłączono sprawę Artura J., któremu również zarzucono nieudzielenie pomocy. To kolejny członek rodziny Kamilka, który przebywał w tym samym mieszkaniu i nic nie zrobił, by jakoś pomóc dziecku.

Proces, który rozpoczął się 30 czerwca 2025 r. w Sądzie Okręgowym w Częstochowie, toczył się za zamkniętymi drzwiami. Wyrok zapadł kilka dni temu, 6 maja. Dawid B. został nieprawomocnie skazany na 25 lat więzienia, Magdalena B. na 16 lat więzienia. Aneta J. i Wojciech J. zostali skazani za nieudzielenie pomocy. Sąd wymierzył im kary pozbawienia wolności z warunkowym zawieszeniem ich wykonania. Wyrok nie jest prawomocny.

Dla ojczyma Kamilka prokurator domagał się dożywocia. Sąd zadecydował inaczej. Uznał go za winnego spowodowania u Kamilka ciężkich obrażeń ciała, które doprowadziły do śmierci dziecka, oraz znęcania się ze szczególnym okrucieństwem. Dawid B. został również skazany za znęcanie się nad innymi dziećmi.

Kamilek zmarł 8 maja 2023 r. Po 35 dniach walki o życie. Miał poparzone 25% powierzchni ciała.

Rodzina chłopczyka uznała wyrok za zbyt łagodny. Zastrzeżenia do wyroku zgłosiła też rzeczniczka praw dziecka Monika Horna-Cieślak, mówiąc, że orzeczenie powinno zostać zaskarżone.

Po śmierci dziecka zaczęły się kontrole. Jedną z nich pomiędzy 13 a 20 kwietnia 2023 r. przeprowadziło kuratorium oświaty w Szkole Podstawowej Specjalnej nr 28 w Częstochowie. Kamil był uczniem tej szkoły od 1 września do 16 października 2022 r., czyli dosyć krótko. Potem chodził do szkoły w Olkuszu, a następnie znów w Częstochowie.

8 marca 2023 r. Kamilek przyszedł z rozciętą dolną wargą, sińcami na rękach i policzku oraz bólem prawej ręki. Matka tłumaczyła, że potknął się o próg i przewrócił przed wyjściem do szkoły. Taką wersję potwierdził mieszkający z rodziną kuzyn. Następnego dnia wychowawca poprosił matkę o pilną konsultację lekarską. Później kobieta poinformowała telefonicznie, że Kamilek ma założony gips.

30 marca Kamilka nie było już w szkole. Matka zadzwoniła do wychowawcy i powiedziała, że syn wylał na siebie gorącą herbatę i poparzył buzię. Wychowawca poprosił o niezwłoczną wizytę u lekarza. Matka przekazała potem, że lekarz przepisał dziecku dwie maści i że

eprasa.pl d531504b05

chłopiec śpi. 1 kwietnia wychowawca wysłał SMS z pytaniem o zdrowie Kamilka. 3 kwietnia matka poinformowała, że Kamilek nie chce jeść i że biologiczny ojciec ma pojechać z nim do lekarza. Następnie ojciec zawiadomił szkołę, że wezwał pogotowie, a chłopiec jest zabierany śmigłowcem do szpitala w Katowicach.

Wynik kontroli kuratorium był jednak bardzo zachowawczy. Według informacji przekazanych przez kuratorium jedyną sytuacją, która wzbudziła niepokój dyrektora i wychowawcy, był uraz z 8 marca. Nauczyciele mieli nie zaobserwować alarmujących zmian w zachowaniu dziecka ani urazów ciała.

Sprawdzano sądy rodzinne. Krajowa Rada Sądownictwa przeprowadziła lustrację dotyczącą działań sądów w Częstochowie i Olkuszu. Z raportu KRS opublikowanego 7 czerwca 2023 r. wynikało, że oba sądy podejmowały czynności sprawnie i niezwłocznie, nie ma zatem podstaw do przypisania im bezczynności. Jednocześnie zaznaczono potrzebę zmian systemowych, które poprawiłyby przepływ informacji między podmiotami zajmującymi się rodziną.

Te wnioski zakwestionowała rzeczniczka praw dziecka Monika Horna-Cieślak. W piśmie do KRS wskazała, że ustalenia raportu budzą poważne wątpliwości. Niezrozumiałe było to, że zespół skupił się na ogólnych zmianach legislacyjnych, zamiast jasno ocenić konkretne działania sądów i kuratorów w sprawie Kamilka.

Prokuratura Regionalna w Gdańsku badała, czy pracownicy wymiaru sprawiedliwości, policji, opieki społecznej, lekarze i nauczyciele zlekceważyli sygnały o przemocy w rodzinie Kamilka. Śledztwo rozpoczęto się 17 maja 2023 r., 8 stycznia 2025 r. zostało zaś umorzone. Zachowania sędziów, pracowników socjalnych, policjantów czy nauczycieli nie miały znamion przestępstwa. Mimo iż w śledztwie ustalono, że brakło działań interwencyjnych i zaradczych, a procedura Niebieskiej Karty nie była w pełni realizowana.

Mateusz Cieślak

Mateusz Cieślak

Lex Kamilek, nazywana też Ustawą Kamilkową, to nowelizacja przepisów dotyczących ochrony małoletnich, uchwalona po śmierci ośmioletniego Kamilka z Częstochowy. Najważniejsze przepisy weszły w życie 15 lutego 2024 r. Placówki i podmioty pracujące z dziećmi miały czas na wdrożenie standardów ochrony małoletnich do 15 sierpnia 2024 r.

Ustawa objęła m.in. szkoły, przedszkola, placówki opiekuńcze, wychowawcze, medyczne, sportowe, rekreacyjne, artystyczne i religijne, a także inne miejsca, w których przebywają dzieci. Wprowadzono obowiązek spisania zasad reagowania na podejrzenie krzywdzenia dziecka, dokumentowania interwencji, wyznaczania osób odpowiedzialnych za zgłoszenia oraz sprawdzania osób dopuszczanych do pracy z małoletnimi.

Przedstawiano ustawę jako przełom w ochronie dzieci. Miała być narzędziem, które pozwoli szybciej wykrywać przemoc, zaniedbanie oraz wykorzystywanie małoletnich. Społeczeństwo dostało więc sygnał, że po tragedii Kamilka państwo wyciągnęło wnioski i stworzyło system skutecznej ochrony dzieci przed przemocą. Ale to nieprawda.

1.

Największa wada Lex Kamilek polega na tym, że ustawa nadal opiera się na zaufaniu do tych samych instytucji, które mają być kontrolowane. Zakłada, że szkoła, pomoc społeczna, kurator albo inna placówka rzetelnie opiszą własne działania; jeśli ktoś czegoś nie zrobił, sam to ujawni. To założenie naiwne.

Jeżeli pracownik instytucji przymknął oko, zlekceważył sygnał albo ograniczył się do czynności pozorowanych, nie napisze tego w sprawozdaniu. Jeżeli dyrektor szkoły chce chronić placówkę, może napisać, że wszystko sprawdzono i niczego niepokojącego nie potwierdzono. Bez zewnętrznej kontroli taki dokument staje się tarczą dla instytucji, a nie ochroną dziecka.

Ten mechanizm dobrze widać w innych sprawach, niezwiązanych bezpośrednio z Kamilkiem. Oto przykład z życia. Do organu prowadzącego szkołę trafia zawiadomienie rodzica, że nauczyciel mógł się dopuścić zachowań seksualnych wobec dziecka na wycieczce szkolnej. Organ prowadzący prosi dyrektora szkoły o wyjaśnienia. Ten po pewnym czasie odsyła kilkustronicowe pismo, że przeprowadzono postępowanie i nie stwierdzono molestowania.

I na tym sprawa może się skończyć. Urząd wierzy dyrektorowi. Nie sprawdza, czy postępowanie naprawdę się odbyło, nie pyta, kto rozmawiał z dziećmi, czy rozmowy były dokumentowane. W aktach zostaje kilka stron wyjaśnień. Bez raportów, protokołów, notatek z rozmów z uczestnikami wycieczki. Ustawa tworzy procedury, ale nie gwarantuje niezależnej weryfikacji. Nakłada na instytucje obowiązek pisania dokumentów, ale nie zabezpiecza dziecka przed sytuacją, w której dokumenty służą głównie obronie dorosłych.

2.

Ten opór wobec realnej kontroli widać w innych sprawach. Gdy pojawił się postulat, by w szkołach powoływać rzeczników praw uczniów, znaczna część środowiska nauczycielskiego zareagowała sprzeciwem. A przecież taki rzecznik nie miałby być wrogiem szkoły, lecz osobą, do której dziecko może pójść, gdy boi się wychowawcy, dyrektora albo reakcji rady pedagogicznej.

To pokazuje szerszy problem. System szkolny chętnie przyjmuje dokumenty, regulaminy i procedury, ale dużo gorzej znosi realną kontrolę. Lex Kamilek wpisuje się w ten sam schemat: nakłada obowiązek tworzenia standardów, ale nie daje dziecku wystarczająco silnego, niezależnego obrońcy w samej instytucji.

3.

Podobnie jest ze szkolnym psychologiem. Dziecko może mu powiedzieć o przemocy, molestowaniu albo innym nadużyciu, ale to nie znaczy, że sprawa od razu trafi na policję, do sądu rodzinnego czy pomocy społecznej. Często pierwszym

eprasa.pl d531504b05

Lex Kamilek – lex bubel

Ustawa była przedstawiana jako przełom w ochronie dzieci

adresatem takiej informacji staje się dyrektor szkoły. A wtedy wszystko zależy od niego. Może zareagować prawidłowo i zawiadomić właściwe służby. Może też zwlekać, minimalizować problem albo chronić wizerunek placówki. W najgorszym wariancie informacja o skardze dziecka wraca do osób, przed którymi należało je chronić. Wtedy procedura staje się denuncjacją ofiary.

4.

Lex Kamilek wprowadziła standardy ochrony małoletnich, a wraz z nimi kolejne dokumenty: procedury, formularze i karty interwencji. W teorii mają one porządkować reakcję szkoły lub innej placówki. W praktyce mogą się stać następną biurokratyczną zasłoną.

Problem dotyczy zwłaszcza sytuacji, w których sprawcą krzywdy jest inne dziecko. Sprawcą nadużycia seksualnego może być osoba poniżej 13. roku życia, która nie odpowiada karnie. Wtedy szkoła ma pracować i z rodziną ofiary, i z rodziną sprawcy. Jeśli zrobi to źle, interwencja może się zamienić w presję na ofiarę, próbę „pogodzenia" dzieci albo wyciszenia sprawy. A dziecko w takim układzie jest zawsze najsłabsze – ustąpi.

Państwo mogło pójść inną drogą. Skoro w aplikacji mObywatel można zgłosić naruszenie środowiskowe, powinno być możliwe równie proste zgłoszenie podejrzenia krzywdzenia dziecka. Nauczyciel, sąsiad czy przypadkowy świadek mógłby przekazać sygnał wyspecjalizowanym służbom: pomocy społecznej, policji albo zespołowi interwencyjnemu. Powstawałby ślad zgłoszenia, a odpowiedzialność spoczywałaby na tych, na których powinna: na służbach państwa, a nie na instytucji, która często woli, by problem został załatwiony po cichu.

5.

Najbardziej oczywisty wniosek ze sprawy Kamilka pominięto. Rodzina przemieszczała się między gminami i powiatami. Częstochowa, Olkusz, znów Częstochowa. W każdym miejscu część wiedzy o dziecku mogła być pozyskiwana od nowa. Lex Kamilek nie rozwiązała tego problemu.

Państwo ma rejestr sprawców przestępstw seksualnych. Nie stworzyło jednak skutecznego systemu alarmowego dla dzieci, wobec których wcześniej pojawiały się sygnały przemocy. Taki system nie musiałby być publiczny, wystarczyłby bezpieczny dostęp dla uprawnionych osób: szkoły, pomocy społecznej, sądu rodzinnego, kuratora, policji. Po zapisaniu dziecka do nowej szkoły albo po zgłoszeniu rodziny w nowym ośrodku pomocy system powinien pokazać, że przy danym numerze PESEL wcześniej odnotowano sygnał zagrożenia. Powinien też informować poprzednią instytucję, gdzie dziecko trafiło. Wtedy wiedza o tym, co wcześniej się działo, nie ginęłaby przy przeprowadzce.

To nie jest rozwiązanie abstrakcyjne. Jeszcze przed epoką internetu ważne dokumenty szły za dzieckiem. Przychodnia przekazywała do nowej przychodni kartę szczepień, szkoła przesyłała nowej szkole dokumentację ucznia, w tym arkusze ocen. Odbywało się to poza rodzicami. Dziś tym bardziej można było stworzyć podobny mechanizm dla sygnałów o przemocy. Wówczas turystyka ucieczkowa rodzin przemocowych traciłaby sens. Zmiana adresu nie oznaczałaby czystej karty.

6.

Najczęściej dziecko krzywdzi ktoś z najbliższego otoczenia. Ojciec, ojczym, konkubent matki, krewny, niekiedy matki same stosują przemoc albo pozwalają na nią innym. Dlatego system ochrony dzieci nie może się opierać na prostym założeniu, że rodzina zawsze jest najlepszym miejscem dla dziecka.

Polska słusznie odeszła od dużych form instytucjonalnej pieczy zastępczej i postawiła na wsparcie rodziny: świadczenia, pracę socjalną, asystentów rodziny i kuratorów. W wielu sprawach to dobre rozwiązanie. Rodzinie w kryzysie trzeba pomagać, a dziecka nie wolno odbierać tylko dlatego, że w domu jest bieda, chaos albo nieporadność.

Ale przemoc to coś innego niż nieporadność. Tam, gdzie dziecko jest bite, przypalane, zastraszane albo upokarzane, sama asystentura nie wystarczy. Na krótką metę może zdyscyplinować dorosłych. Z czasem sprawcy uczą się obchodzenia systemu kontroli. Wiedzą, kiedy się spodziewać wizyty, co powiedzieć i jak przygotować mieszkanie. Uczą się, jak bić, aby nie było śladów. Wiedzą też, jak wpływać na dziecko, żeby podczas wizyty pracownika socjalnego albo kuratora milczało. Lex Kamilek i tego problemu nie rozwiązuje. ■

Największa wada Lex Kamilek: ustawa nadal opiera się na zaufaniu do tych samych instytucji, które mają być kontrolowane.

eprasa.pl d531504b05

Obywatele kontra słuszna idea

Na Dolnym Śląsku narasta konflikt wokół planów budowy farm fotowoltaicznych

Violetta Waluk

– Nie jesteśmy przeciw fotowoltaice. Proszę zobaczyć, na dachach ilu domów są panele – mówią rozżaleni mieszkańcy Strugi, niewielkiej wsi na Dolnym Śląsku – ale czy rozwój zielonej energii ma oznaczać zniszczenie naszej miejscowości?

Od dawna mieszkańcy sąsiednich miast odkrywali walory gminy Stare Bogaczowice w powiecie wałbrzyskim. Choćby korzystny dojazd. Do Wałbrzycha samochodem jedzie się kilkanaście minut; no, może nieco więcej. W inne strony, do Świebodzic lub Kamiennej Góry, jest dalej, ale i tak są chętni na codzienne dojazdy do pracy. Wrocław? I ten kierunek dla niektórych bywa do przyjęcia. Do tego firmy transportowe uruchamiają kolejne połączenia autobusowe.

Cóż jednak dogodność komunikacyjna w porównaniu z niezwykłą urodą tych miejsc! To obszar Natura 2000. Wiodą tędy znane turystom szlaki. Można wędrować z Wałbrzycha przez Strugę do Zamku Cisy i dalej do Książa. Inna popularna trasa prowadzi ze Szczawna-Zdroju na Trójgarb, wzniesienie górujące nad Starymi Bogaczowicami – największą wsią, gdzie mieści się siedziba gminy. Na miłośników historii czekają pola dawnych bitew. W 1762 r., w czasie wojny siedmioletniej, starły się tu wojska austriackie i pruskie, chodziło o dominację nad Śląskiem. Więcej sentymentu mamy do następnej bitwy, z 1807 r., kiedy to lansjerzy Legii Polsko-Włoskiej roznieśli wrogów Napoleona. Ich zwycięstwo opisał w „Popiołach" Stefan Żeromski. Dziś na miejscu zmagań stoi pomnik i każdego roku 15 maja odbywają się uroczystości patriotyczne.

Wędrówkę można zakończyć np. piknikiem przy ruinach wspomnianego Zamku Cisy albo zdobyciem któregoś ze wzgórz, skąd rozciąga się zachwycający widok. Nie brakuje też chętnych do odpoczynku na dobrze zagospodarowanym zalewie w Starych Bogaczowicach. Od niedawna funkcjonują jeszcze obiekty sportowe: boiska, siłownie plenerowe czy nowoczesne place zabaw z ruchomymi kładkami.

Turyści muszą tu się wybrać specjalnie, a stali mieszkańcy mają te widoki na co dzień, tylko pozazdrościć. Pałac w Strudze, na uczęszczanej trasie do Wałbrzycha, jest uznawany za prawdziwą perełkę wśród dolnośląskich zabytków. Jego właściciele od kilkunastu lat odbudowują obiekt i ze znawstwem mówią, że to wspaniały przykład renesansowej siedziby szlacheckiej, wzbogaconej później elementami barokowymi. Pierwotnie zaś była to średniowieczna wieża mieszkalna. Zachowało się sporo oryginalnych elementów, wciąż odkrywanych podczas prac remontowych. Ile radości sprawiły renesansowe krużganki, ukryte pod warstwami tynków, a potem pieczołowicie odkute. Kiedyś znów niespodzianie ukazały się malowidła i freski również z epoki renesansu, wydarzenie na tyle istotne, że opisywano je w prasie.

Agnieszka Chmura-Wieczorek, prezes fundacji odbudowującej pałac i jednocześnie wraz z mężem właścicielka zabytku, związała z nim swoje życiowe plany. Obiekt jest już udostępniony do zwiedzania, a w otaczających budynkach, niegdyś gospodarczych, działają restauracja i mały hotel. Wykorzystany turystycznie ma być także zabytkowy park. Ma być...

Czarne chmury

Wieści rozeszły się na początku tego roku, choć przymiarki do realizacji pomysłu, jak się okazało, trwały od dawna, w tajemnicy przed mieszkańcami gminy. Miałby tu powstać fotowoltaiczny moloch, z całym zapleczem magazynów energii, stacji przesyłowych itp. Projektowane panele pokryłyby znaczną część powierzchni gminy.

– To koniec działalności turystycznej i koniec moich życiowych planów. Tuż przy granicy naszego parku powstanie szklano-metalowa groteska, wielkości małego miasta. 120 ha, obliczyliśmy, to 168 boisk piłkarskich albo 8 tys. domków jednorodzinnych wraz z ogrodami – wylicza właścicielka pałacu.

eprasa.pl d531504b05

Czy zabytkowy pałac w Strudze będzie chętnie odwiedzany?

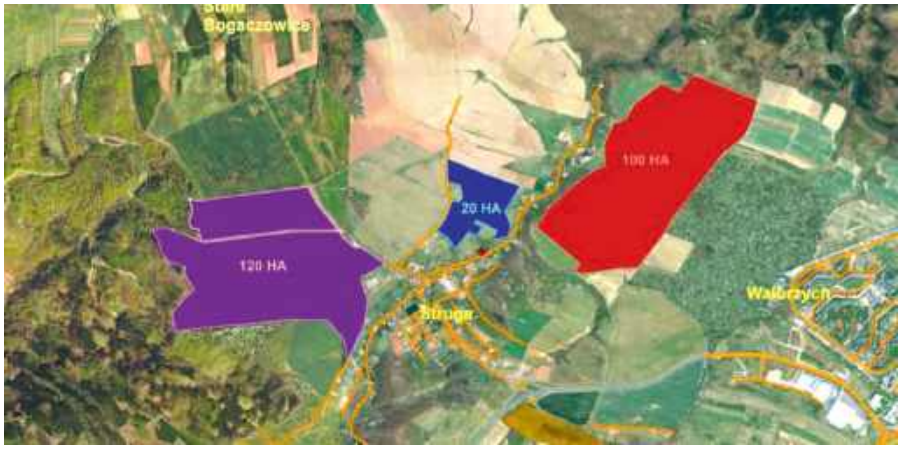

Panele fotowoltaiczne mają zająć wielką część powierzchni gminy.

Trudno mimo wszystko to sobie wyobrazić. Chociaż do widoku paneli fotowoltaicznych na dachach, ot tak, po kilka, albo do pokrytych niebieskawo niewielkich pól jesteśmy przecież przyzwyczajeni. Mieszkańcy Strugi przerażeni wizją zagłady stworzyli w internecie stronę „Struga mówi nie". Zaprezentowali symulację, jak to będzie, jeśli przegrają: ogromny obszar sąsiednich i dalszych wzgórz pokryją szklane tafle. Nie trzeba być znawcą, żeby przewidywać, co się stanie, jak będą tam żyć zwierzęta. Projektodawcy zapewniają, że przewidziano specjalne przejścia – ciekawe tylko, jak zwierzęta będą się czuć wśród szklanego morza. Podobnie rzecz będzie się miała z turystami – raczej nie zechcą tamtędy wędrować. Panele pokryją m.in. popularny szlak na Trójgarb. Dla ludzi zaplanowano przejścia podobnie jak dla zwierząt. Może i pójdzie ktoś żądny wrażeń. Pola dawnych bitew? Również zostaną pokryte panelami.

Pod husarskimi skrzydłami

Mieszkańcy zamierzają walczyć. Plakaty w Strudze i okolicy mówią „nie" pokryciu znacznej części gminy panelami i fotowoltaice. W tym ostatnim sprzeciwie pewnie przesadzili, bo przecież sami podkreślali potrzebę rozwoju zielonej energetyki. Na swojej stronie internetowej, z obrazem husarii w pełnym rynsztunku, protestujący przedstawiają problem: symulacja komputerowa pokazuje, jak mogłaby wyglądać wieś Struga, jeżeli przegrają. Widoki budzą grozę.

Grupa sprzeciwu stwierdziła, że farmy fotowoltaiczne planowane są w całej gminie. Wytworzoną energię gdzieś trzeba magazynować, staną więc też ogromne baterie z całym oprzyrządowaniem. Mieszkańcy obawiają się, że wzrośnie niebezpieczeństwo pożarów. Gmina należy ponadto do obszarów niejednokrotnie dotkniętych powodzią. Co się stanie, gdy te panele zaleje woda?

Szukając przyczyn tego, co im się przydarzyło, odkryli, że podobnie dzieje się w całym kraju. Rudi van Vliet z Komitetu „Struga mówi nie" opisuje, że projekty są niemal identyczne. To nie pojedyncze małe instalacje, lecz rozproszony system wielkoskalowych farm przemysłowych. Najpierw są wyszukiwani chętni do wydzierżawienia ziemi. Pojawiają się ogłoszenia i telefony na chybił trafił. A nuż znajdzie się zainteresowanego rolnika. Sama miałam okazję wysłuchać oferty. Dzierżawa na 30 lat, a unijne dopłaty można pobierać do chwili podpisania umowy. Nie dowiedziałam się jednak, jakie są stawki. Pewnie korzystne, bo interes zaczyna kwitnąć.

W Starych Bogaczowicach działa kilku inwestorów, m.in. z grupy Tauron i z zagranicy. Firma, która chce „uszczęśliwić" Strugę, ma siedzibę w Wielkiej Brytanii, w uroczym miasteczku. – Nie zauważyłam na zdjęciach stamtąd żadnych paneli fotowoltaicznych – wytknęła z goryczą Izabela Rybarczyk z komitetu.

Przecież mamy radnych!

Rudi van Vliet publicznie zadaje pytanie, jak to możliwe, że niemal w całym województwie, a także w innych częściach kraju, podobne projekty są realizowane według tego samego modelu. Bez rzetelnej debaty. Bez wcześniejszej i pełnej informacji. Bez realnego udziału mieszkańców w podejmowaniu decyzji.

Przeciw twierdzeniu o działaniach w tajemnicy protestuje wicestarosta

FOT. STRUGA MÓWI NIE, DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl d531504b05

powiatu wałbrzyskiego Mirosław Lech, poprzednio wójt Starych Bogaczowic. Lech miał znaczący udział w decydowaniu o inwestycjach fotowoltaicznych w gminie. Nagabywany przez dziennikarzy lokalnej telewizji zapewniał, że nic nie odbywało się w ukryciu. W odpowiednim czasie podano informacje o zmianach w planach zagospodarowania gminy. Niczyja to wina, że mieszkańcy nie czytają ogłoszeń, umieszczonych – trzeba dodać – na różnych stronach w internecie. Były wójt oświadczył poza tym, że jest przekonany o słuszności decyzji i gdyby znów miał ją podjąć, byłaby taka sama.

Inaczej sprawę widzi obecny wójt Tomasz Fąka, który znalazł się w sytuacji nazywanej ironicznie grillowaniem, mianowicie udzielił wywiadu TV Wałbrzych. „No tak, gdyby zliczyć wszystkie zgłoszone wnioski – wił się jak piskorz – to pewnie byłoby 1000 ha gruntów pod rzeczone farmy, ale – uspokajał – wiele z nich nie zyska akceptacji, z różnych względów". Zdaniem wójta przede wszystkim z powodu protestów mieszkańców, bo oni będą mieć głos decydujący przy tworzeniu planów. Jak wyliczył dziennikarz, gdyby doszło do powstania tylu farm, dochody gminy wzrosłyby o 1 mln zł. Wójt westchnął: przecież nie są bogatą gminą, a tyle ostatnio zainwestowali w sferze sportowej, choćby te boiska, siłownie itp. Jednak mieszkańcy i ich samopoczucie liczą się najbardziej. Przypadek Strugi? Według Fąki wprawdzie projekt jest na etapie przyznawania pozwolenia na budowę, ale nie była to fortunna decyzja i spodziewa się nawet dochodzeń w tej sprawie.

Dlaczego podobne projekty są realizowane bez rzetelnej debaty i udziału mieszkańców w podejmowaniu decyzji?

Czy wypowiedź wójta uspokoiła mieszkańców? – Przecież mamy radnych! Najpierw przyciskano ich, dlaczego nic nie mówili o szykujących się zmianach. Odpowiadali, że albo o tym nie wiedzieli, albo nie dostrzegali wtedy problemu. Była to dla nich banalna kwestia. Tak tłumaczyła się m.in. radna reprezentująca Strugę. Trudno, stało się – powiedzieli członkowie komitetu – ale teraz walczcie po naszej stronie. Rada miała przyjąć uchwałę, mówiąc w skrócie, nakazującą wstrzymanie tych prac i przystąpienie do uczciwych konsultacji. Na to jednak się nie zdecydowano. 24 marca radni wystosowali apel, w którym wyrażają zaniepokojenie skalą i lokalizacją rzeczonych inwestycji. I jakby się przestraszyli, bo od razu w następnym punkcie przypominają znaczenie rozwoju energii odnawialnej. Oczywiście uchwała ma inną moc prawną niż apel. Miało być „zobowiązanie do działań powstrzymujących wszelkie inwestycje fotowoltaiczne w gminie". Tymczasem radni tylko się „zaniepokoili".

Zresztą nie tylko radni traktują sprawę jak gorący kartofel. Komitet Społeczny „Struga mówi nie" zwrócił się o pomoc do polityków. Nikt z parlamentarzystów partii rządzących nie chciał zabrać głosu publicznie. Za to życzliwie zainteresowali się przedstawiciele opozycji. Cała historia stała się polityczna.

– Zamiast skupić się na tym, co realnie dzieje się w naszym regionie, uwaga przenosi się na etykietki partyjne – podsumował z goryczą Rudi van Vliet.

Komitet nie daje za wygraną. Byli „na skardze" w powiecie i u wojewody. Zwrócili się do Samorządowego Kolegium Odwoławczego. Wszędzie podkreślali, że pod ich petycją złożyło podpisy 3 tys. mieszkańców, nie tylko Strugi. Za każdym razem skarżących odsyłano do gminy. I nic dziwnego, bo urząd wojewódzki zapowiedział w tej dziedzinie przekazanie kompetencji „w dół". Podobne wieści przyszły z Ministerstwa Klimatu i Środowiska. Mają być ustawy umożliwiające inwestorom w tej branży pominięcie części procedur.

Tymczasem Ministerstwo Klimatu i Środowiska znalazło się nagle w stanie trzęsienia ziemi. Wkroczyli funkcjonariusze CBA, a opozycja postanowiła walczyć o dymisję pani minister. Publicznie mówi się o nieprawidłowościach w programie „Czyste powietrze". Czy jednak w czasie dochodzenia nie mogłyby wypłynąć sprawy związane z fotowoltaiką? Czy nie należałoby sprawdzić, jak to jest, że wielkie koncerny zabierają się do pokrycia panelami ogromnych połaci naszego kraju?

Violetta Waluk

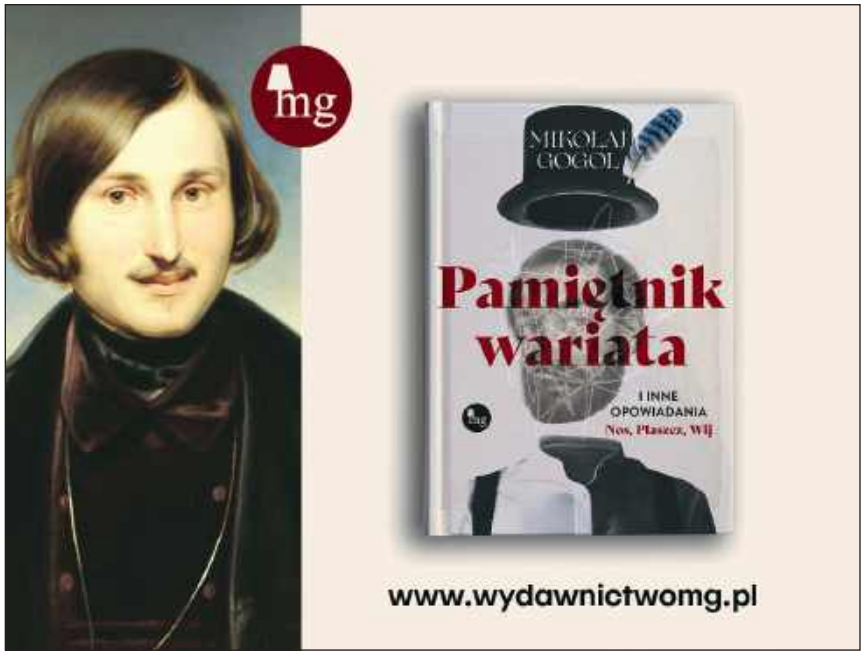

eprasa.pl d531504b05

Refleksje pesymisty

Andrzej Romanowski

Stulecie

Jutro stulecie przewrotu majowego. Czterystu poległych w trzydniowych walkach obciąża Józefa Piłsudskiego. Czy jednak miał on wyjście? Obóz narodowy zawsze zagrażał państwu. Już w styczniu 1919 r. zamach stanu Eustachego Sapiehy i Mariana Januszajtisa omal nie spowodował upadku powstającej Rzeczypospolitej. Endecja, uznająca się za emanację narodu, uważała jednak, że państwo ma być dla niej. To przeciw takiemu myśleniu powstał w maju 1926 r. szeroki front: oddziałów Wojska Polskiego oraz partii polskiej lewicy: od socjalistów i radykalnych ludowców po… komunistów. Liderem tego frontu był przez moment Józef Piłsudski.

„Nie może być w państwie – gdy nie chce ono iść ku zgubie – za dużo nieprawości", mówił Piłsudski w dniu zamachu. Jednak nieprawości jego rządów przewyższyły potem nieprawości poprzedników. Rzecz jasna, trudno to usprawiedliwiać, lecz trzeba pamiętać o alternatywie. Bo alternatywą była zawsze endecja. Lubimy pamiętać o rozprawie z Centrolewem, o twierdzy brzeskiej i procesie brzeskim. A przecież w roku 1933 władze rozwiązały endecki, faszyzujący Obóz Wielkiej Polski. A w roku 1934, po niespełna trzech miesiącach istnienia, zdelegalizowały endecki, wprost faszystowski, Obóz Narodowo-Radykalny. I to właśnie endecy stali się pierwszymi więźniami Berezy Kartuskiej. Dopiero po śmierci Piłsudskiego sanacja, pozbawiona jego charyzmy, poczuła się zmuszona do rozpoczęcia – zresztą umiarkowanego – flirtu z endecją.

Endecja była największym, najbardziej wpływowym obozem politycznym w międzywojennej Polsce. Piłsudski zawsze nią gardził. „Ta szajka, ta banda, która czepiała się mego honoru, tu zechciała szukać krwi", mówił w lipcu 1923 r. w hotelu Bristol, nawiązując do zamordowania pierwszego polskiego prezydenta. „Wszy wyłaziły zewsząd. To narodowa robota!", pisał we „Wspomnieniach o Gabrielu Narutowiczu". Prezydent, który większość życia spędził w Szwajcarii, był wstrząśnięty. „Ma pan rację – powiedział Piłsudskiemu – to nie jest Europa".

W niedawno wydanym zbiorze wywiadów Mirosława Maciorowskiego „Powstańcy. Marzyciele i realiści. Historia na nowo opowiedziana" prof. Włodzimierz Mędrzecki mówi: „Piłsudski miał pewien feler: uważał, że endecy to inny gatunek człowieka. Patrzył na nich jak na ludzi obciążonych wadą genetyczną, która sprawia, że nie są zdolni do zadbania o interesy narodowe ani do obrony suwerenności Polski, lecz zawsze służą innym, kiedyś – Rosji, a potem Francji. Jakakolwiek współpraca z nimi jest niemożliwa". Gdyby – mówi prof. Mędrzecki – zamachu stanu nie zrobił Piłsudski, „zrobiłaby to endecja". A dla endecji zawsze na pierwszym miejscu był Naród. Czy można sobie wyobrazić wywyższenie jednego narodu w państwie wielu narodów? „Katolickie Państwo Totalne Narodu Polskiego", jak u ówczesnego falangisty, Włodzimierza Sznarbachowskiego? Owszem, wszystko to można sobie wyobrazić, tyle że skutki byłyby opłakane. Przede wszystkim dla Polaków, których państwo zawaliłoby się samo – bez udziału zaborczych sąsiadów.

„Jeżeli Polska w pierwszym okresie zdobyła się na naprawę Rzeczypospolitej, to potem powoli od naprawy do starych narowów powrót się zaczyna", mówił Piłsudski pod koniec swego słynnego przemówienia. I, jak się zdaje, odkrył pewną prawidłowość polskich dziejów. Wszak zamach Sapiehy i Januszajtisa można było jeszcze uznać za operetkowy. Ale prawicowe rządy Chjeno-Piasta przyniosły już Polsce same nieszczęścia. A w III Rzeczypospolitej? Rząd Jana Olszewskiego był nieudolny. Rząd Kazimierza Marcinkiewicza był niepokojący. Ale rządy Beaty Szydło i Mateusza Morawieckiego były już groźne. A cóż rzec o prezydenturze Karola Nawrockiego?

Nasza prawica nie lubi Europy – a jeżeli czegoś w niej szuka, to faszyzmu.

Przez ostatnie lata prawica wracała do „starych narowów" i zawłaszczała kolejne segmenty polskiego życia. Czy dziś powinno nas dziwić szerzenie się postaw faszystowskich? Lub panująca w państwie dwuwładza? Albo wysługiwanie się polskiego prezydenta Donaldowi Trumpowi? Nasza prawica tak ma – i tym się różni od prawicy europejskiej, w której nacjonalizm nie jest składnikiem koniecznym, a miłości do Trumpa albo nigdy nie było (jak u Marine Le Pen), albo nastąpiło z niej wyleczenie (jak u Giorgii Meloni). Nasza prawica nie lubi Europy – a jeżeli czegoś w niej szuka, to faszyzmu.

W wywiadzie, jaki kiedyś przeprowadziłem z córką Piłsudskiego, Jadwigą Jaraczewską, usłyszałem: „Tradycja socjalistyczna była dla moich rodziców ważna". Tak, to także z tej tradycji zrodził się przewrót majowy. Czy mam żałować, że podobnego wstrząsu nie przeżyła III Rzeczpospolita? Sorry, taki mamy naród.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl d531504b05

Kanclerz w opałach

„Niemcy w ruinie” – temu przekazowi AfD sprzyja brak zaufania do rządu Friedricha Merza

Krzysztof Pilawski, Holger Politt

„Cała Polska śpiewa z nami/Won za Odrę z migrantami!”, wydobywa się z ust kilkorga aktywistów Ruchu Obrony Granic Roberta Bąkiewicza idących 2 maja mostem, który łączy Słubice z Frankfurtem nad Odrą. Na moście powiewają biało-czerwone flagi wetknięte przez ludzi Bąkiewicza. Choć strona niemiecka uważa ich obecność za prowokację, wiszą tu od miesięcy. Dwa dni po święcie flagi po moście granicznym spacerują z papierowymi chorągiewkami unijnymi burmistrzyni Słubic Marzena Słodownik, nadburmistrz Frankfurtu Axel Strasser oraz wiceprzewodniczący Bundestagu z opozycyjnej partii Lewica/Die Linke Bodo Ramelow. Polityk apeluje do władz Niemiec o zniesienie kontroli granic. Wprowadzono je w 2023 r. za rządu tzw. koalicji sygnalizacji świetlnej (SPD, Zielonych i FDP), utrzymuje je – mimo wyraźnego spadku liczby osób ubiegających się o azyl – gabinet aktualnej koalicji czarno-czerwonej (CDU-SPD) kierowanej przez Friedricha Merza.

Na dworcu kolejowym we Frankfurcie na wielu automatycznych skrytkach bagażowych naklejki ostrzegają: „Awaria!”. Dawniej byłoby to nie do pomyślenia, uważają miejscowi. Dają do zrozumienia, że za uszkodzenie skrytek odpowiadają migranci nietroszczący się o obiekty użytku publicznego. Wielu z nich, mieszkających we Frankfurcie, pracuje w oddalonej o pół godziny jazdy pociągiem Gigafactory trumpisty i wielbiciela Alternatywy dla Niemiec (AfD) Elona Muska. Ten największy w Brandenburgii pracodawca zapowiedział stworzenie do końca czerwca 1 tys. nowych miejsc pracy.

We Frankfurcie po przemyśle, w tym wielkiej fabryce półprzewodników, pozostały jedynie wspomnienia. Liczba mieszkańców jest o jedną trzecią mniejsza niż u schyłku Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Jak na całym obszarze dawnej NRD frustracja łączy się tu z poczuciem wyższości wobec zachodniej części kraju, która rzekomo jest za mało niemiecka i za bardzo unijna. Eurosceptycy znad Wisły traktują Unię Europejską jako narzędzie Berlina do wzięcia Polski pod but, ci zza Odry widzą we Wspólnocie zagrożenie dla niemieckiej tożsamości i dobrobytu.

Gaz napędza AfD

Kwestia migrantów, której AfD zawdzięczała ubiegłoroczny sukces – prawie 21% w wyborach do Bundestagu – straciła na znaczeniu, mimo to partia Alice Weidel w sondażach regularnie wyprzedza CDU, z którą w wyborach przegrała o 8%. Niesie ją coraz powszechniejsze poczucie, że Niemcy – ten podziwiany do niedawna Weltmeister (mistrz świata) – są zrujnowane, wszystko się sypie, nic nie działa, jak powinno, nawet polskie pociągi kursują punktualniej niż składy Deutsche Bahn. Suflowany przez AfD przekaz o „Niemczech w ruinie” wybrzmiał we wpisie Donalda Trumpa na Truth Social, będącym odpowiedzią na skrytykowanie przez Friedricha Merza amerykańskiej operacji wojskowej w Iranie. Gospodarz Białego Domu poradził kanclerzowi Niemiec, by zamiast zajmować się sprawami, na których się nie zna, poświęcił więcej uwagi „naprawieniu swojego popsutego kraju, szczególnie migracji i energii”.

Ta ostatnia sprawa jest kluczowa. Niemiecki przemysł – do niedawna duma obywateli Republiki Federalnej – przestaje być konkurencyjny z powodu cen energii. Import gazu i ropy z Rosji ustał, w 2023 r. wyłączono ostatnie reaktory w elektrowniach atomowych. Przedstawiciele sfer gospodarczych twierdzą, że Energiewende – transformacja energetyczna oparta na wietrze i słońcu – nie tylko osłabia konkurencyjność, ale także zachęca do przenoszenia produkcji w branżach energochłonnych do innych państw, czyli dezindustrializacji Niemiec.

Jak koalicjant z koalicjantem

Przed wyborami do Bundestagu w 2025 r. Merz ogłosił program „Agenda 2030” nawiązujący nie tylko tytułem, ale i kierunkiem do neoliberalnego programu „Agenda 2010” socjaldemokraty Gerharda Schrödera z 2003 r. Przekonywał, że najważniejszy jest wzrost gospodarczy, wszystko inne ma się mu podporządkować. Również polityka społeczna i energetyczna: „Musimy ratować gospodarkę, byśmy mogli ratować klimat”. Merz obiecywał, że jeśli wygra wybory, ceny energii spadną, Niemcy zaś już na wakacje 2025 r. wyjadą w dobrych nastrojach. Tak się nie stało. Zamiast zapisanego w agendzie corocznego wzrostu PKB o 2%, nadal jest to ułamek procenta (w pierwszym kwartale 2026 r. 0,3%).

Zapowiedziane przez kanclerza reformy polityki społecznej – systemu emerytalnego, podatków, ustawodawstwa pracy łącznie z likwidacją 1 maja jako dnia wolnego – spotkały się ze zdecydowanym sprzeciwem SPD. Wszak socjaldemokraci do tej pory płacą cenę za agendę Schrödera z cięciami wydatków socjalnych i wydłużeniem wieku emerytalnego. Przedstawiają zatem własne projekty, które z kolei są nie do przyjęcia dla kanclerza dbającego o interesy średniego i wielkiego kapitału: obniżenia podatków osobom o najniższych dochodach i podniesienia ich

eprasa.pl d531504b05

najbogatszym, wprowadzenia podatku od nadzwyczajnych zysków koncernów paliwowych.

Merz zarzuca SPD brak dobrej woli i skłonności do kompromisu, socjaldemokraci wytykają mu niechęć do dialogu, narzucanie swojej woli. Koalicja pogrąża się w sporach wewnętrznych, które w czasie obchodów pierwszomajowych przeniosły się na niemieckie ulice i place.

W kwietniu, zgodnie z comiesięcznym badaniem ARD-Deutschlandtrend, tylko 15% respondentów wyraziło zadowolenie z działalności czarno-czerwonego rządu, 85% było niezadowolonych. W sondażu Forsa wyniki okazały się jeszcze gorsze – 11% zadowolonych i 89% niezadowolonych. Źle ocenia rząd nawet większość zwolenników tworzących go partii.

Merz, który rozczarował wyborców niespełnieniem obietnic, spróbował większej aktywności na arenie międzynarodowej. Ale i to nie poprawiło jego wizerunku. W prasie pojawiło się za to ironiczne określenie szefa rządu: Außenkanzler, czyli kanclerz od spraw zagranicznych, zamiast Bundeskanzler – kanclerz federalny. Merz przytłoczony problemami, do których doszła polemika z Trumpem, nie wziął udziału w szczycie Europejskiej Wspólnoty Politycznej w Erywaniu.

Recepty AfD

Tymczasem AfD wypisuje swoje recepty na naprawę Niemiec. W kwietniu deputowani tej partii w Bundestagu uchwalili dokument programowy, w którym obiecali przywrócenie dostaw surowców energetycznych z Rosji i ponowne uruchomienie gazociągów pod Bałtykiem. Te zapowiedzi wyrażają odczucia znacznej części niemieckiego społeczeństwa, nie tylko wyborców Alternatywy, ale i innych sił politycznych, że gospodarka powinna korzystać z rosyjskiej ropy i gazu. Padają argumenty: mimo radzieckiej operacji wojskowej w Afganistanie w 1979 r. RFN – podobnie jak inne państwa zachodnie – oparła się naciskom Waszyngtonu i nie wycofała ze współpracy z ZSRR przy budowie gazociągów; w 1984 r., gdy Amerykanie rozmieścili w Europie, także w Niemczech, rakiety Pershing z wymierzonymi w ZSRR głowicami nuklearnymi, gaz ze Związku Radzieckiego popłynął na Zachód. Polityka nie musi szkodzić biznesowi. Dlaczego Trump ma prawo robić wielkie interesy, nie przebierając w środkach, a innym ich zabrania? Dlaczego Niemcy mają ulegać prezydentowi, który wywołał bezsensowną wojnę z Iranem, i kupować drogi gaz z Kataru, podczas gdy pod Bałtykiem leży gazociąg ułożony w dużej części z niemieckich rur?

Wielu Niemców czeka na zakończenie wojny rosyjsko-ukraińskiej, zmianę władzy na Kremlu, co otwarłoby drogę do odbudowy stosunków gospodarczych. Eurosceptycyzm jest wspólną cechą zwolenników AfD ze wschodu i z zachodu, podobnie jak chęć ułożenia się z Rosją, różni ich natomiast podejście do USA. Ci ze wschodu są raczej antyamerykańscy, bliskie im jest hasło „Yankee go home!". Z radością powitali zapowiedź wycofania części żołnierzy USA z RFN. Przy tym cały 35-tysięczny amerykański kontyngent stacjonuje na zachodzie kraju…

Stabilnie już było

AfD zmieniła niemiecką politykę, wraz z jej sukcesem znikło pojęcie stabilności. Rząd koalicji świateł drogowych pogrążył się w klinczu zakończonym przedterminowymi wyborami. Obecna koalicja dwóch różniących się wyraźnie partii podąża tą drogą, tyle że zdecydowanie szybciej. Poziom zaufania do Friedricha Merza po roku sprawowania urzędu jest niższy niż do Olafa Scholza u schyłku jego rządu.

Czy Niemcy czekają drugie z rzędu przedterminowe wybory? Gdyby sądzić z tonu mediów, emocji polityków i wyborców, nie jest to wykluczone. Skoro po roku jest tak źle, to co się stanie w trzech kolejnych? Czy jednak wybory coś zmienią? Obecny rozkład sił na to nie wskazuje. CDU/CSU w sondażach ma ok. 25-27%, SPD – 15%, a to oznacza, że nie byłyby w stanie stworzyć nowej koalicji. To samo dotyczy bliższych gospodarczo chadekom Zielonych, którzy w sondażach osiągają podobny wynik jak socjaldemokraci. Na większość mogłaby liczyć koalicja czarno-zielono-czerwona, czy jednak związek tych partii przywróciłby niemieckiej polityce stabilność?

Jeśli nie wybory, pozostaje trwanie w obecnym układzie lub reset: zmiana na stanowisku kanclerza. Ale mimo krytyki we własnych szeregach w lutym br. Friedrich Merz ponownie został wybrany na szefa CDU, uzyskując przeszło 91% głosów – więcej niż dwa lata wcześniej, gdy nie był kanclerzem. ■

KSIĄŻKA

Róża z Zamościa

Nie wiadomo, czy Róża Luksemburg cokolwiek zapamiętała z Zamościa. Jej nieliczne wspomnienia z dzieciństwa dotyczą wyłącznie Warszawy. Mimo to nawet wtedy, gdy „poprawiała" datę swojego urodzenia, w rubryce „miejsce urodzenia" wpisywała Zamość. Nigdy się go nie wyparła. Być może właśnie dlatego Zamość pozostaje tym polskim miastem, z którym jest kojarzona najbardziej.

Krzysztof Pilawski, autor książki „Róża Luksemburg i Zamość", jest też autorem wystawy „Poza kadrem. Rodzina słynnej Zamościanki" w Centrum „Synagoga" Fundacji Ochrony Dziedzictwa Żydowskiego w Zamościu (2021) i współautorem z dr. Holgerem Polittem książki „Rosa Luxemburg: Spurensuche. Dokumente und Zeugnisse einer jüdischen Familie" (VSA, Hamburg 2020).

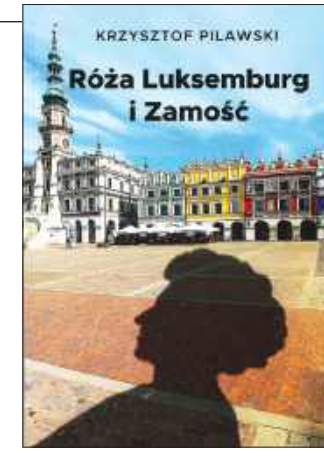

Krzysztof Pilawski, *Róża Luksemburg i Zamość*, Warszawa 2026

eprasa.pl d531504b05

Upadek ostatniego Mohikanina

Lula miał zatrzymać Trumpa. Dziś bliżej mu do końca własnej kariery

Mateusz Mazzini

Na nagraniach publikowanych w mediach społecznościowych widać go coraz częściej na siłowni. Chętnie fotografuje się z młodymi, wśród których jest całkiem popularny. Choć ma już 80 lat, w brazylijskiej polityce funkcjonuje od półwiecza, a niedawno przeszedł operację czaszki z powodu nagłego krwotoku, nie zamierza rezygnować – ani z walki o kolejną kadencję w roli prezydenta, ani o spełnienie wielkiego marzenia: liderowania lewicowej międzynarodówce. To ostatnie jest dla niego tak ważne, że chce przewodniczyć światowym progresywistom.

Wzrost, ale za wolny

4 października Luiz Inácio Lula da Silva, ostatni Mohikanin socjalistycznej, robotniczej lewicy, który przeszedł z wielkiego zakładu przemysłowego do jeszcze większej polityki, znów zawalczy o prezydenturę. Jeszcze w grudniu ub.r. jego zwycięstwo wydawało się niemal pewne, nawet jeśli czynniki strukturalne nie działają na korzyść obecnej głowy państwa. Gospodarka wprawdzie rośnie, ale powoli i poniżej oczekiwań. Według danych brazylijskiego banku centralnego wzrost na koniec pierwszego kwartału tego roku wyniósł zaledwie 1,9%, czyli poniżej ubiegłorocznych prognoz. To ważne z punktu widzenia nie tylko statystyki i makroekonomii, ale też politycznego układu sił.

Brazylia, największy i najsilniejszy gospodarczo kraj w Ameryce Południowej, ma znaczącą klasę przedsiębiorców, często związaną z tradycyjnymi gałęziami przemysłu: wydobyciem ropy, hutnictwem czy przemysłem drzewnym. Ci ludzie są raczej konserwatywni, ale w poprzednich wyborach, w 2022 r., gremialnie poparli właśnie Lulę, a nie jego prawicowego przeciwnika Jaira Bolsonara. Ekspercki konsensus głosił, że „Trump tropików" przegrał, ponieważ jego fatalne zarządzanie w kryzysie pandemii koronawirusa doprowadziło gospodarkę na skraj przepaści. Kiedy potem próbował nie dopuścić do zmiany władzy, organizując nawet wojskowy komitet w celu przeprowadzenia zamachu stanu, przedsiębiorcy i latyfundyści dali mu do zrozumienia, że od nich poparcia dla takiego pomysłu nie dostanie.

Chociażby z tego powodu Lula powinien się martwić mikrym wzrostem, bo ludzie biznesu są barometrem nastrojów społecznych, a im mniej są chętni do publicznych deklaracji wsparcia, tym bardziej jest prawdopodobne, że go nie udzielą.

To jeszcze nie powód do paniki, Bolsonaro junior jest niedoświadczony, nie wiadomo nawet, czy dotrwa do wyborów. Jednak Lula i jego sztab nie mogą czuć się pewni wygranej. Zwłaszcza że w ostatnim opublikowanym sondażu, gdzie respondentom zadano pytanie o drugą turę wyborów, Bolsonaro prowadzi 47% do 46%.

Mylny byłby jednak wniosek o gigantycznej polaryzacji w brazylijskiej polityce. W systemach prezydenckich takich jak ten, ustrojowo modelowanych na konstytucji Stanów Zjednoczonych, łatwo o fałszywą dychotomię. Ponieważ z reguły ścierają się tam przedstawiciele dwóch obozów: postępowego i konserwatywnego, kuszące jest stwierdzenie, że istnieją dwa odrębne plemiona. W rzeczywistości mamy do czynienia z czymś poważniejszym i bardziej niebezpiecznym dla przetrwania samej demokracji: z odrzuceniem klasy politycznej jako takiej.

Gdy Lula rządził pierwszy raz, wydźwignął miliony ludzi z biedy swoimi programami socjalnymi. Dziś to nie zadziała.

Mimo to Lula w sondażach trzymał się dzielnie. Jeszcze w listopadzie intencję głosowania na niego deklarowało 45,1% Brazylijczyków – wynika z danych Americas Society i agencji Atlas International. W tym samym czasie Flávia Bolsonara, syna byłego prezydenta – kandydata wciąż hipotetycznego, bo nie potwierdzono jego startu w wyborach – popierało zaledwie 23%. Pół roku później obraz nie wygląda już tak różowo. Lula ma 43%, Bolsonaro awansował do ponad 40%. A pojedyncze sondaże, nawet tak renomowanych pracowni jak Datafolha, pokazują wręcz wyniki remisowe, czasem też przewagę prawicowego polityka.

Ta sama baza danych Atlas International, która symulowała wyniki drugiej tury, przedstawiała też pomiar elektoratu negatywnego – odsetka wyborców, którzy nigdy nie zagłosowaliby na konkretnego kandydata. To nieco inne badanie z punktu widzenia metodologii, gdyż udzielić można więcej niż jednej odpowiedzi. Pokazuje ono ogromne napięcia i frustracje społeczne. 51% respondentów nigdy nie poparłoby Luli, 46% Bolsonara. Łącznie aż pięciu wiodących kandydatów w tegorocznej kampanii miało wynik negatywny przekraczający 40%, w tym popularny

eprasa.pl d531504b05

Premier Hiszpanii Pedro Sánchez i prezydent Brazylii Luiz Inácio Lula da Silva na zlocie lewicy w Barcelonie. 18 kwietnia 2026 r.

w najmłodszej części elektoratu aktywista Renan Santos. Uprawnione jest zatem stwierdzenie, że Brazylijczycy chcą w polityce nowego otwarcia, co akurat dla Luli, ubiegającego się o czwartą kadencję prezydencką, nie zwiastuje nic dobrego.

Lepsze karty

Trzeba jednak powiedzieć, że wciąż walczy. Stara się, a nawet wykazuje większym wizjonerstwem niż większość dzisiejszych polityków obozu liberalno-progresywnego. Latem był, nie pierwszy zresztą raz, obiektem westchnień europejskich przywódców, bo jako jeden z niewielu otwarcie stawiał się Trumpowi, budując na tym spory kapitał polityczny. Ale żeby dobrze zrozumieć, co właściwie przyniosła taka konfrontacyjna wobec Białego Domu postawa, trzeba cały proces rozłożyć na czynniki pierwsze. Widać wówczas, że akurat brazylijskie władze, używając ulubionej frazy obecnej amerykańskiej administracji, miały w ręku lepsze karty.

Najpierw w maju Trump zagroził obłożeniem brazylijskich produktów importowanych do USA cłami w wysokości 50%. Ekonomiści uznali, że to doskonały dowód na ideologiczne, a nie gospodarcze motywacje prezydenta USA w wypowiadanej właśnie całemu światu wojnie handlowej. Z Brazylią bowiem Ameryka miała nadwyżkę handlową, nie było więc powodu karać rządu Luli – zwłaszcza że produkty kupowane od Brazylijczyków są dla Amerykanów ważne. Może to wydawać się błahe, ale w USA kawa nie rośnie, a jest ważnym elementem podstawowego koszyka konsumenckiego. Gdy cena paczki ziaren kawy potrafiła wzrosnąć o 7 dol. w ciągu trzech tygodni, polityka celna prezydenta zaczęła zwyczajnie uderzać po kieszeni nawet jego własny elektorat. W dodatku USA importują z Brazylii mnóstwo stali oraz wyrobów pochodnych, dzisiaj o znaczeniu strategicznym, i bez sensu było płacić za to więcej w imię potyczek ideologicznych Białego Domu.

A rzeczywiście były to potyczki stricte ideologiczne – Trump w typowy dla siebie sposób, wyłącznie retorycznie i głównie we własnych mediach społecznościowych, próbował bronić Jaira Bolsonara w trwającym już wtedy procesie wytoczonym za próbę zamachu stanu. Groził sankcjami, wprowadził cła, wycofał nawet wizę kontrowersyjnemu sędziemu Sądu Najwyższego Brazylii Alexandre'owi de Moraesowi – wszystko po to, żeby brazylijski wymiar sprawiedliwości się ugiął i zostawił Bolsonara w spokoju. W sprawę dodatkowo zaangażował się Elon Musk, wtedy jeszcze na fali wznoszącej, chętniej niż teraz angażujący się w politykę, obecny na wideokonferencjach u Mattea Salviniego, Reform UK, AfD i w paru innych miejscach. Musk ma zresztą własną historię konfliktu z de Moraesem, który przymusił platformę X do usunięcia szerzących nienawiść kont i wpisów, bezpośrednio związanych z Bolsonarem, skrajną prawicą i inspirowaniem nieudanego zamachu stanu z 2022 r.

Ofensywa Amerykanów przyniosła jednak efekt odwrotny do zamierzonego, a Lula dostał „bonus Trumpa". Podobnie jak inni politycy atakowani przez MAGA: Mark Carney w Kanadzie, a ostatnio Mette Frederiksen w Danii, Lula zyskał w sondażach, utrwalił wizerunek ideowca przywiązanego do postępowej tożsamości, nieugiętego związkowca walczącego z imperialną hegemonią amerykańską. Może nawet było mu łatwiej, bo jest politykiem ukształtowanym w czasach zimnowojennych, kiedy latynoamerykańska lewica formowała się przede wszystkim jako opozycja do jankeskiego neokolonializmu. Sprzeciw wobec Trumpa przyszedł mu więc naturalnie, był też w nim wiarygodny.

Wtedy po raz kolejny Lula zbliżył się do zrealizowania swojego największego pragnienia – stanięcia na czele międzynarodówki lewicowej – lub dzisiaj progresywnej. W czasach, kiedy, cytując bułgarskiego polityka Iwana Krastewa, „nowymi globalistami" stali się politycy skrajnej prawicy (w tym synowie Bolsonara), a ich przeciwnicy nie mają zasobów, infrastruktury, wspólnych konferencji czy instytucji, żeby skoordynować odpowiedź na działania reakcyjnej prawicy, Lula zwietrzył szansę.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl d531504b05

Długo utrzymywał się na fali – do tego stopnia, że ekonomista z Harvardu Dani Rodrik pisał na portalu Project Syndicate, iż to brazylijski przywódca jest „liderem wyłaniającej się w tej chwili światowej mobilizacji przeciw Trumpowi". Co prawda, esej napisany był w tonie narzekania, że polityków takich jak Lula jest niewielu, ale właśnie Brazylijczyk był wskazywany jako przykład dla reszty świata. Rodrikowi wtórowała Nathalie Tocci, szefowa włoskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych (IAI), krzycząc wręcz do mikrofonu na grudniowej wiedeńskiej konferencji ERSTE Foundation: „Dlaczego my, Europejczycy, nie możemy być jak Lula?!".

Problem w tym, że efekt Trumpa działa jak dopalacz – jest silny, ale szybko się wyczerpuje. Na samym sprzeciwie wobec amerykańskiej administracji – który akurat w przypadku Brazylii oznacza też wpadnięcie głębiej w ramiona Chin, zwłaszcza gospodarczo – daleko się nie zajedzie. I to jest główna przyczyna spadku poparcia dla Luli w sondażach i uwiarygodnienia się Bolsonara juniora jako potencjalnego rywala. Lewicowy przywódca zaczyna się zachowywać trochę jak Emmanuel Macron w czasie wyborów prezydenckich w 2022 r. Tak mocno koncentruje się na polityce zagranicznej, próbując odgrywać rolę przywódcy kontynentu, a nie kraju, że zapomina o bolączkach swoich wyborców. I choć zniżki sondażowe są aż nadto widoczne, brazylijska lewica nadal próbuje się internacjonalizować.

Cisza nad Barceloną

W kwietniu w Barcelonie Lula zorganizował, razem z premierem Hiszpanii Pedrem Sánchezem, pierwszy zlot światowej progresywnej sieci politycznej. Media poświęciły jednak temu wydarzeniu mało uwagi, bo też niespecjalnie było o czym mówić.

Zlot nowej lewicy z całego świata raczej unaocznił różnice w tym ruchu niż podobieństwa. Do Barcelony przyjechał chociażby amerykański senator Partii Demokratycznej Chris Murphy, który mówił wyłącznie o kryzysie demokracji w jego własnym kraju. Lars Klingbeil, niemiecki wicekanclerz, wygłosił płomienne przemówienie o europejskiej zapaści gospodarczej i braku szans dla młodych. Sánchez skoncentrował się na migracji, której np. Niemcy z SPD wcale nie popierają. Lula z kolei uderzał w wysokie tony – mówił o nowej klasie pracującej, załamaniu wynikającym z katastrofy klimatycznej, globalnych nierównościach rosnących w zastraszającym tempie. Dużo słów, ale mało konkretów.

I trochę tak zaczyna wyglądać jego kampania o reelekcję. Lula oczywiście jeździ po kraju, kręci rolki na Instagram i TikToka, ale używa ogranych już argumentów. Transfery bezpośrednie, subsydia dla najuboższych – te akurat narzędzia z zakresu polityki rozwojowej w Brazylii zawsze się sprawdzały. Zwłaszcza kiedyś, gdy społeczeństwo było o wiele uboższe. Kiedy Lula rządził pierwszy raz, w latach 2003-2011, wydźwignął miliony osób z biedy swoimi programami socjalnymi. Dziś jednak to nie zadziała, bo Brazylijczycy mają inne potrzeby. Wydaje się więc, że ani oni, ani nawet świat nie potrzebuje już związkowego bohatera, który gotów był zawsze poświęcić wszystko w imię sprawiedliwości społecznej. Pora, by nawet ten związkowiec wreszcie to zrozumiał.

Mateusz Mazzini

LIST

Dziurawy system kontroli niszczy polski rynek żywności

Dziurawy system kontroli niszczy polski rynek żywności

W artykule „Dziurawy system kontroli niszczy polski rynek żywności" („Przegląd" nr 17/2026) red. Marek Czarkowski postuluje stworzenie Państwowej Inspekcji Bezpieczeństwa Żywności w celu weryfikacji standardów żywności importowanej ze Wschodu i z Ameryki Południowej. To bardzo dobry pomysł, a nawet przygrywka do inicjatywy Agro-SAFE, którą polski rząd może się wykazać na forum UE.

Jako wieloletni prezes Polsko-Brazylijskiej Izby Gospodarczej z niepokojem obserwuję bezmyślne naciski opozycji na rząd, aby skarżyć do TSUE negocjowaną przez 25 lat umowę UE-Mercosur. (…) Polskie rolnictwo wytwarza mniej niż 3% PKB, a przemysł aż 23% – stąd prosty wniosek, że ochrona sektora rolnego nie powinna marnować szans dla rozwoju przemysłu. Portal Oilprice.com opublikował w marcu analizę planów Brazylii co do wydobycia i eksportu węglowodorów. Wynika z nich, że największa gospodarka Ameryki Południowej jest na dobrej drodze, aby do końca dekady zostać czwartym największym producentem ropy naftowej na świecie. Dzisiejsza produkcja przekracza dziennie 4 mln baryłek (Polska zużywa niewiele ponad 700 tys. baryłek) oraz 180 mln m sześc. gazu ziemnego. Planowane nakłady inwestycyjne koncernu Petrobras wyniosą w latach 2026-2030 109 mld dol., z czego 63% przeznaczone będzie na wydobycie lekkiej, niskosiarkowej ropy z głębokowodnych złóż pre-salt. Ta eksploatacja jest niskoemisyjna, a planowany koszt wydobycia ma nie przekraczać 28 dol. za baryłkę, co zapewnia wysoką efektywność nakładów.

Umowa UE-Mercosur obejmuje również surowce energetyczne, a kontrole jakości żywności powinny być skuteczną ochroną rynku rolnego w Polsce. Nie tylko przed produktami z Ameryki Południowej. Brazylia jest zarazem największym importerem nawozów na świecie – światowy obrót ma wartość 100 mld dol., z czego ponad 16% przypada na Brazylię, a tamtejsze gleby alkaliczne wymagają coraz większych ilości siarczanu amonowego. Import tego nawozu przekroczył 6 mln ton w zeszłym roku, a dostawcą były głównie Chiny. To uboczny produkt chemiczny, niepopularny wśród polskich rolników, który przez ponad 30 lat był eksportowany do Brazylii. Wytwórnia w Puławach stoi bezczynnie już od trzech lat.

Wrażliwe politycznie surowce energetyczne pozostają największym problemem UE, o czym przekonujemy się codziennie, oczekując na decyzje o cenach paliw i obserwując ograniczenia w ruchu lotniczym. Być może podjudzani do protestów rolnicy będą w nich uczestniczyć na rowerach zamiast w ciągnikach, bo politykom znów zabraknie wiedzy i wyobraźni.

Janusz Wiśniewski,
Polsko-Brazylijska Izba Gospodarcza

eprasa.pl d531504b05

Nawiasem mówiąc

Stanisław Filipowicz

Co zapamiętamy?

Badania opinii publicznej pokazują, że w Polsce maleje liczba zwolenników Unii Europejskiej. Polexit na horyzoncie? Prawo nie stwarza przecież wysokiej bariery – stosowna ustawa, podpis prezydenta i jesteśmy poza Unią. Czyli gdzie? Czy politycy – przedstawiający Brukselę jako matecznik Szatana – potrafiliby na to pytanie odpowiedzieć? Bo tu antyunijna demagogia już nie wystarczy, potrzebna jest zdolność przewidywania. Może Brytyjczycy otworzą nam bramy Zjednoczonego Królestwa?

Kto dziś pamięta Stefana Zweiga? Jego opowieść o Europie „Świat wczorajszy. Wspomnienia pewnego Europejczyka" łączy ukłon oddany przeszłości z gorzką refleksją. Zweig urodził się w 1881 r., wspomina Europę, którą starła z powierzchni ziemi I wojna światowa, kładąc do grobu „złoty wiek pewności i bezpieczeństwa". Opisuje też czas po katastrofie i kolejną katastrofę – erupcję nazistowskiego szaleństwa. „Wbrew woli – pisze – stałem się świadkiem najstraszliwszej klęski rozumu i najdzikszego triumfu brutalności w historii świata". Popatrzmy, nic nie jest dane raz na zawsze. Może lepiej zastanawiać się, niż opłakiwać? Chcielibyśmy spisywać nasze własne wspomnienia dotyczące świata, który zapadł się pod ziemię?

Zweig opuścił Europę pod przymusem, jako wygnaniec. Dopóki mógł, stawał w jej obronie. Nie tracił wiary w jej przyszłość nawet wtedy, gdy fanfary zła stawały się coraz głośniejsze. Odczyty, wykłady, artykuły w codziennej prasie, eseje. Był wszędzie – nieustannie w drodze. Tłumaczył, analizował, zachęcał do zastanowienia.

W eseju „Idea europejska w swoim rozwoju historycznym" przypominał: w historii Europy okresy konsolidacji przeplatały się zawsze z momentami rozdarcia. Średniowiecze rozwinęło sztandary wspólnej wiary, ale w epoce reformacji cud, jakim było „panowanie stworzonej na nowo łaciny", przestał działać. W ogniu wojen religijnych „żywioły waśni i destrukcji" odrobiły swoje straty.

Zweig uważał jednak, że Europa ma swoje magiczne korytarze, którymi przemieszczają się energie metamorfozy. W wieku XVI trwają wojny, ale – równolegle – w kulturze renesansu odbywa się zmartwychwstanie symboli: „Z głębi ziemi wstają posągi – duchy starożytności przemawiające pradawnym językiem". W ten sposób rodzą się nowe zaklęcia – trwa europejska magia przeistoczenia, Europa łapie świeży oddech. Tak będzie zawsze – według Zweiga Europę trzymały przy życiu sny i marzenia. To kult piękna chronił ją przed upadkiem oznaczającym wyczerpanie nadziei. Pisarz składał swoje zapewnienie: niestrudzony geniusz Europy wciąż „szuka sobie nowej formy i znajduje ją w nowym języku". W wieku XVIII nowym zaklęciem stała się muzyka: wspólny dom całej Europy – „nacja nacji". Na co możemy liczyć dzisiaj?

Zweig twierdził, że nadziei należy bronić zwłaszcza wtedy, gdy nadchodzi czas marny. Mówił to, mając przed oczami antyeuropejską, nacjonalistyczną rebelię stawiającą politykę poza kulturą, oddającą ją we władanie demonów krwi i ziemi. W 1932 r. wygłosił w Rzymie wykład „Detoksykacja moralna Europy". Sądził, że jest ona konieczna, że Europa powinna wypluć z siebie kłamstwa. Postulował powołanie „ponadnarodowej instancji, uprawnionej do prostowania wszelkich kłamstw politycznych".

Czego nauczyła nas historia? Może oczyszczenie przez prawdę jest mrzonką, a jedyną drogą odnowy są kataklizmy? Po II wojnie światowej idea Europy nabrała nowego blasku. Dziś lśnienie ideałów zastąpiły wydatki na zbrojenia (to one będą teraz kręgosłupem naszych „wartości"?).

Może oczyszczenie przez prawdę jest mrzonką, a jedyną drogą odnowy są kataklizmy?

A w istocie – komu potrzebna jest prawda w epoce postprawdy? Jak może przebiegać „moralna detoksykacja" w królestwie trików marketingowych? Mamy mnóstwo pretensji – marzenia pokrył szlam zawiedzionych nadziei. Jakich zaklęć użyć dziś może Europa, jakie kłamstwa powinna wypluć, by powstrzymać własny upadek?

14 marca zmarł jeden z najwybitniejszych myślicieli powojennej Europy, niemiecki filozof Jürgen Habermas. W wywiadzie rzece „Miało być trochę lepiej…" – przeprowadzonym etapami w latach 2022-2024 – Habermas bardzo krytycznie oceniał Zachód. Z zakłopotaniem mówił o nieporadności elit politycznych, o braku pomysłu na Europę, o bierności, wreszcie o nastawieniu na przemoc, o zachłyśnięciu się wojną. Podkreślał: świat Zachodu „w coraz większym stopniu ogarnia dziś logika wojny". Dodawał: „W trakcie bardzo potrzebnego, ale strategicznie bezmyślnego wspierania Ukrainy polityka i postawa bezradnych elit na Zachodzie coraz bardziej zawężały się do strony militarnej". Niesmakiem napełnił go „wielki zew łowiecki z loży widza".

Habermas ostatecznie nie gasił jednak światła – zachował przekonanie, że wciąż mamy wybór, że jest w naszym zasięgu przyszłość inna niż rozkład demokracji, konflikty i wojna. Oczywiście pod warunkiem, że nadejdzie rozumne opamiętanie. Może miał rację? ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl d531504b05

Koniec baśni o jedności

Odejście Zjednoczonych Emiratów z OPEC to symptom postępującego kryzysu na Półwyspie Arabskim

Jakub Katulski

Kartel OPEC stracił właśnie swojego czwartego największego producenta ropy naftowej. Zjednoczone Emiraty Arabskie podjęły decyzję o opuszczeniu organizacji, która ma fundamentalny wpływ na ceny ropy na światowych rynkach. To cios w polityczne znaczenie Organizacji Krajów Eksportujących Ropę Naftową i jej rozszerzonego formatu OPEC+, w skład którego wchodzą też Rosja, Brazylia czy Meksyk.

Emiraty podjęły decyzję o opuszczeniu OPEC, organizacji mającej fundamentalny wpływ na ceny ropy na światowych rynkach.

Ta decyzja ujawnia jednak także coraz głębsze różnice polityczne między państwami Półwyspu Arabskiego i kryzys w łonie Rady Współpracy Zatoki Perskiej. Ich osią są rywalizujące wizje lokalnego ładu, których Abu Zabi i Rijad już nie są w stanie pogodzić.

Co prawda, ZEA nie są pierwszym krajem regionu, który z OPEC odszedł. Na liście byłych członków kartelu znalazła się m.in. Indonezja, która w 2008 r. musiała ograniczyć produkcję ropy i stała się importerem netto surowca, nie spełniając tym samym wymogów formalnych. Dżakarta na krótko ponownie dołączyła do kartelu, by w 2016 r. ogłosić „tymczasowe" zawieszenie członkostwa, gdyż nie chciała się zgodzić na forsowane przez organizację pięcioprocentowe obniżenie podaży ropy, o którym zadecydowano we wrześniu 2016 r.

Największy szok wywołała jednak w 2019 r. rezygnacja Kataru. Była ona przede wszystkim skutkiem napięć między Ad-Dauhą a sąsiadami. W 2017 r. kraje Rady Współpracy Zatoki Perskiej rozpoczęły blokadę morską Kataru, która trwała aż do 2021 r. Jej celem było głównie wywarcie na Katarze presji. Gdy bowiem pozostałe państwa rady z przerażeniem obserwowały skutki arabskiej wiosny, ratując z opresji obalanych w protestach autokratycznych przywódców, takich jak prezydent Tunezji Zajn al-Abidin ibn Ali czy prezydent Egiptu Hosni Mubarak, Katar utrzymywał dobre relacje z Braćmi Muzułmanami – środowiskiem politycznym, które w znacznym stopniu było forpocztą demonstracji przetaczających się po 2011 r. przez niemal cały Bliski Wschód. Co więcej, katarska telewizja Al-Dżazira, jak również jej obcojęzyczne kanały i strony internetowe, w bardzo pozytywnym świetle przedstawiały demonstrujących, którzy nawoływali do zmiany dotychczasowego porządku w regionie, zdemokratyzowania procesów politycznych, obalenia dyktatorów oraz uczynienia tego według wizji salafickiego islamizmu. Dla monarchii naftowych Półwyspu Arabskiego stanowiło to zagrożenie samej istoty ich systemów politycznych.

Rijad i Abu Zabi po przeciwnych stronach frontu

Wyjście Zjednoczonych Emiratów Arabskich z OPEC jest tak naprawdę formalizacją napięć między Rijadem a Abu Zabi. Emiraty już od kilku lat wyraźnie pokazują, że jest im nie po drodze ze strategiami politycznymi sąsiadów i nie są zainteresowane poddawaniem się przywództwu politycznemu dynastii Saudów.

Muhammad ibn Zajid al-Nahajjan, prezydent Zjednoczonych Emiratów Arabskich, i Muhammad ibn Salman, książę koronny Arabii Saudyjskiej, następca tronu i jej faktyczny władca, w poprzedniej dekadzie politycznie byli o wiele bliżej niż dzisiaj. Reprezentowali te same stanowiska wobec arabskiej wiosny. Ich kraje wspólnie wspierały siły rządowe w wojnie domowej w Jemenie, a emirackie i saudyjskie lotnictwo wspólnie atakowało siły ruchu Huti. Jednocześnie, według brytyjskiej organizacji Campaign Against Arms Trade (CAAT) działającej na rzecz wstrzymania handlu bronią, w latach 2015-2021 to właśnie koalicja wspierająca siły rządowe odpowiadała za największą liczbę cywilnych zgonów w nalotach bombowych.

Dzisiaj sytuacja jest zupełnie inna. W 2019 r. Abu Zabi ogłosiło wycofanie się z Jemenu, ale utrzymało swoje wpływy w kraju poprzez wspieranie Południowej Rady Tymczasowej – separatystycznego ruchu wzywającego do odłączenia się jemeńskich prowincji południowych i utworzenia federalnego państwa Arabii Południowej. Abu Zabi szkoliło i wyposażało w broń bojowników Sił Pasa Bezpieczeństwa, organizacji paramilitarnej będącej zbrojnym ramieniem Południowej Rady Tymczasowej. W 2022 r. PRT dołączyła do Rady Przywództwa Prezydenckiego, czyli koalicji politycznej reprezentującej uznawany międzynarodowo rząd Jemenu. W 2025 r. nastąpił jednak rozłam i wspierani przez Emiratczyków separatyści zaczęli otwarcie walczyć przeciwko siłom rządowym.

eprasa.pl d531504b05

14 kwietnia 2026 r. prezydent ZEA Muhammad ibn Zajid al-Nahajjan przybył do Pekinu na spotkanie z Xi Jinpingiem. Rozmowy dotyczyły m.in. wspólnych działań na rzecz stabilizacji na Bliskim Wschodzie.

Z perspektywy polityki Muhammada ibn Zajida było to o tyle istotne, że Radę Przywództwa Prezydenckiego i kluczową w niej partię Al-Islah odbiera się w Emiratach jak odłam Braci Muzułmanów. Południowa Rada Tymczasowa miała więc być instrumentem do zwalczania politycznego islamizmu. Tak się jednak nie stało, gdyż siły Rady Przywództwa Prezydenckiego przy wsparciu Rijadu dokonały kontrofensywy, przejmując kontrolę nad południowym Jemenem, a Południowa Rada Tymczasowa ogłosiła 9 stycznia 2026 r. samorozwiązanie.

Zjednoczone Emiraty Arabskie i Arabia Saudyjska wspierały też przeciwne strony konfliktów w Sudanie, Libii i Somalii. Abu Zabi m.in. udzielało pomocy Siłom Szybkiego Wsparcia walczącym przeciwko Siłom Zbrojnym Sudanu. Rząd Sudanu w kwietniu 2025 r. oskarżył ZEA przed Międzynarodowym Trybunałem Sprawiedliwości o udział w ludobójstwie. Wspierane przez Saudów Siły Zbrojne Sudanu także są oskarżane o liczne zbrodnie wojenne, w tym bombardowanie celów bez zważania na życie cywilów.

Nowoczesność kontra konserwatyzm

Zjednoczone Emiraty Arabskie pokazują również, że są zainteresowane przede wszystkim zbliżeniem z Izraelem. W ostatnich latach skrupulatnie budowały wizerunek światowego hubu lotniczego, stolicy luksusowej turystyki ściągającej gwiazdy i influencerów z całego świata oraz globalnego centrum usług, w tym usług finansowych. Jednocześnie przekształcały gospodarkę z opartej niemal wyłącznie na surowcach energetycznych w taką, która pozwala postrzegać kraj jako coraz nowocześniejszy i coraz bardziej otwarty na świeckie społeczeństwo. Na obraz ten w dużej mierze składają się powszechne w mediach społecznościowych przekazy z Dubaju i Abu Zabi. Jest on jednak niepełny – nie pokazuje np. konserwatywnego emiratu Szardża czy innych uboższych i mniej znanych emiratów, takich jak Adżman czy Umm al-Kajwajn.

Ta otwartość pozwoliła jednak Zjednoczonym Emiratom Arabskim na znormalizowanie relacji z Izraelem w ramach porozumień abrahamowych, choć przede wszystkim sformalizowały one funkcjonujące dotychczas relacje handlowe. Na ulicach Dubaju pojawiło się wielu Izraelczyków, a dla Tel Awiwu normalizacja stosunków z ZEA okazała się kluczowym elementem działań wizerunkowych.

Tymczasem Arabia Saudyjska, mimo reformatorskich starań księcia Muhammada, pozostała w dużej mierze konserwatywnym, religijnym krajem z gospodarką wciąż opartą na ropie, a jej ambitne

FOT. REUTES/FORUM

eprasa.pl d531504b05

projekty nie ściągnęły na zadowalającą skalę inwestycji zagranicznych. Pragmatyczny książę Muhammad musiał więc zweryfikować swoje plany. Jego kraj, wciąż postrzegany jako lider świata arabskiego i muzułmańskiego, nie mógł sobie pozwolić na normalizację relacji z Izraelem. Starali się o to Beniamin Netanjahu i Donald Trump – a w powszechnym przekonaniu był tym zainteresowany także sam saudyjski następca tronu. Ta decyzja, niepopularna zwłaszcza z uwagi na zmasowane izraelskie działania zbrojne w Gazie i piętrzące się oskarżenia o ludobójstwo, musiała zostać odsunięta w czasie – być może nawet na zawsze, bo niosła ryzyko niezadowolenia nie tylko Saudyjczyków, ale i innych członków rodziny królewskiej.

Pęknięcia i ich skutki

Najbardziej widocznym skutkiem takiego myślenia było postępowanie Arabii Saudyjskiej w obliczu zamknięcia przez Iran cieśniny Ormuz. Ta kluczowa dla światowego handlu naftowego droga morska od lat traktowana była przez wszystkich liczących się w regionie graczy jako potencjalne zagrożenie. Saudowie wiedzą, że skoro Teheran zamknął ją raz, to może ją zamknąć ponownie. Dlatego Rijad zrezygnował z agresywnych kroków wobec Iranu. W tym samym czasie Emiratczycy krytykowali za zamknięcie cieśniny i ataki rakietowe na cele na Półwyspie Arabskim nie tylko Teheran, ale również swoich regionalnych partnerów – za to, że nie podjęli wystarczająco skutecznych działań odstraszających Iran.

Dla Rijadu jednak nie tylko Iran jest czynnikiem destabilizującym region. Jest nim też Izrael. Dlatego naciski ZEA, by mocniej wspierać ich i Izrael, w Rijadzie są postrzegane jako dalekie od strategii optymalnej dla regionu.

Wyjście ZEA z OPEC nie było niespodziewane, ale i tak jest ciosem w sprawczość Rijadu. Arabia Saudyjska pozostaje dzisiaj głównym producentem ropy w OPEC, a co za tym idzie, kartel może mieć mniejsze zdolności regulowania cen na światowych rynkach. Rozłamy w OPEC mogą zmusić Rijad do zmniejszenia produkcji, zwłaszcza jeśli Zjednoczone Emiraty Arabskie będą chciały dostosować się do wezwań Białego Domu, by obniżyć ceny ropy i tym samym zwiększyć jej podaż.

ZEA nie tylko odchodzą z OPEC, ale też wyraźnie odsuwają się od reszty arabskich partnerów, także w Radzie Współpracy Zatoki Perskiej. Na kwietniowym szczycie państw rady, który odbył się w saudyjskiej Dżuddzie, wśród koronowanych głów zabrakło sułtana Omanu, a regionalne media zauważały, że delegacji ZEA przewodniczył minister spraw zagranicznych Abd Allah ibn Zajid, brat prezydenta Muhammada ibn Zajida. Choć celem szczytu było tylko wspólne oświadczenie o wzmocnieniu jedności Rady Współpracy Zatoki Perskiej, to takie obniżenie rangi delegacji ZEA jest wyraźnym sygnałem, że pęknięcie między partnerami się pogłębia, a jego zasklepienie będzie trudne, jeśli nie niemożliwe.

Jakub Katulski

eprasa.pl d531504b05

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Konstytucja nowa? Ale czy w ogóle?

W serii politycznych paroksyzmów, w przerwie wyciskania z Pudzianem na klatę 150 kg, Nawrocki Karol ogłosił powołanie Rady Nowej Konstytucji. Zaprosił do niej takie gwiazdy prawodawstwa i konstytucjonalizmu jak Julia Przyłębska, Marek Jurek, Józef Zych czy Ryszard Legutko. Na osłodę pisowskiego rdzenia konstytucyjnego (a raczej antykonstytucyjnego) skaptował konstytucjonalistę prof. Ryszarda Piotrowskiego i sędzię w stanie spoczynku, byłą minister sprawiedliwości Barbarę Piwnik. Rzecz jednak nie w personaliach, choć w nich także, bo jak taką grupę z pełną powagą nazwać „pluralistyczną"?

Oto dobra okazja do czegoś więcej niż drwiny z Nawrockiego czy demaskowanie próby przykrycia afery Zondacrypto i roli prezydenta w wetowaniu ustaw chroniących kryptowaluciarzy. W końcu to łagodna próba odwrócenia naszej uwagi – w podobnej sytuacji (afera Epsteina) Donald Trump atakuje Iran, pozwala Izraelowi na masakrę w Libanie i agonię humanitarną w zrujnowanej Gazie. Nawrocki chce „tylko" nowej konstytucji. Dlaczego i po cóż? Wykładnia oficjalna, podpięta oczywiście pod rocznicę Konstytucji 3 maja, brzmi drętwo: „Mam przekonanie, że dzisiejsze problemy w Rzeczpospolitej to nie są już problemy tylko polityczne, to są problemy ustrojowe, fundamentalne, zasadnicze. Powiedzmy sobie szczerze, że żyjemy dzisiaj w momencie, w którym konflikt polityczny poszedł za daleko; niszczy wspólnotę, niszczy rodziny, przekracza wszelkie możliwe granice. Poszedł za daleko, bo niszczy ustrój i fundamenty państwa polskiego". Mówi to przedstawiciel środowiska politycznego, które pracowicie, od 2010 r. i katastrofy smoleńskiej, do takiego efektu starało się doprowadzić.

W największym skrócie: tęsknota za nową konstytucją to sposób na wyrażenie głodu większej władzy, której obecna konstytucja nie tylko prezydentowi nie gwarantuje, ale wręcz przed jej przyznaniem broni. Więcej władzy dla prezydenta to więcej władzy dla skrajnej prawicy. Sama Polska jest tu całkowicie na marginesie. Takie oczekiwanie nie zaskakuje, jest wpisane w logikę autorytarnej narracji politycznej skrajnej prawicy. To nowy führeryzm, nowa autokracja, niechęć do demokracji pod pozorem jej akceptowania. Nic nowego pod słońcem. Kiedy Horkheimer pisał o osobowości autorytarnej, to konfrontował się ze zjawiskiem antysemityzmu, faszyzmu, etnocentryzmu i konserwatyzmu polityczno-ekonomicznego. Pasuje jak ulał.

W ustach takich polityków jak Nawrocki często pojawia się zaklęcie „bezpośredniości podejmowania decyzji przez obywateli". Ma ona co najwyżej wymiar referendum, które w Polsce i tak jest narzędziem marnym i nieskutecznym, najczęściej fasadowym. Można by w tej sytuacji przeanalizować i przemyśleć konstytucyjną przygodę Islandii po kryzysie 2008 r., kiedy podjęto próbę oddolnego napisania konstytucji. Ostatecznie nowa ustawa zasadnicza nie weszła w życie. Ale uruchomiono procedury i zagospodarowano wysiłek tysięcy Islandek i Islandczyków. Może więc i w Polsce moglibyśmy wypracować inną metodologię i zwyczaj pracy nad najważniejszym aktem prawnym? Dlaczego Przyłębska i Legutko, zakalce skrajnej, upisowionej prawicy, mieliby tu cokolwiek proponować? Z jakiego tytułu, po jaką cholerę? Dlaczego nie można by się pokusić o wielki, zbiorowy, oddolny wysiłek współtworzenia nowej konstytucji? Żaden z takich dokumentów nie jest przecież wieczny, ma swój czas przydatności. Może po 30 latach od konstytucji z 1997 r. i prawie 40 latach od transformacji moglibyśmy wypracować inną wizję, może czegoś się nauczyliśmy i wiemy, czego nam trzeba, a czego nie chcemy? Z całą pewnością niepotrzebny nam paternalistyczny, skostniały i konserwatywny paradygmat konstytucyjny – szczególnie że poglądy społeczeństwa pozostają w kompletnym oderwaniu od rojeń klasy politycznej.

Konstytucja 2.0 czy 3.0 jest zbyt poważną sprawą, by ją oddawać w ręce skompromitowanych elit politycznych. To dokument, który określa główne reguły i fundamenty funkcjonowania państwa. Jakiego więc państwa chcieliby Polacy w 2026 r.? Takiego jak w 1989 r.? A może – w cieniu rewolucji cyfrowej, katastrofy klimatycznej, globalnego kryzysu praw człowieka, nowych ludobójczych wojen prowadzonych choćby przez USA i Izrael – zupełnie innego? Co mają nam w tej kwestii do powiedzenia Legutko z Przyłębską? Niewiele albo nic. To byłaby konstytucja dla tych, którzy dziś wchodzą w dorosłe życie, oni zatem powinni ją pisać, określać jej wymiary polityczne i społeczne. Może też należałoby trzymać tradycyjne media z daleka od ich prac? Wyrwać z rutyny opowieści dominujących formacji politycznych?

A może w ogóle czas odejść od takiego dokumentu jak konstytucja? Może nie jesteśmy w stanie się „porozumieć" w spornych kwestiach, może trudno na to liczyć albo jest to po prostu niemożliwe? Może nie musimy płakać za konstytucją, z której kolejne rządy wybierają sobie, co chcą, a resztę zapisów pomijają? ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl d531504b05

STEFAN CHWIN do czytania z uwagą

Robert Walenciak

„Pan to jakoś tak zawsze na uboczu, jakby nie chciał pan w nic wchodzić głębiej. Ani po jednej stronie, ani po drugiej. Prawda?", mówił do niego prof. Józef Bachórz, recenzent jego doktoratu. „Miał rację – odpowiada Stefan Chwin – To była moja busola: żyć na uboczu, a nawet w ukryciu, w nic się nie angażować całym sercem, być niewidocznym, robić swoje, żeby sobie zapewnić warunki do pisania, i nic nad to".

Oto komfort klerka. „Swobodna obojętność na opinie ludzi, którzy będą mnie żegnać"… „Dziennik pisany w Gdańsku" taki właśnie jest. Rzadko nas zabawia, przeważnie kąsa, zmuszając umysł do pracy. Oto Stefan Chwin!

„Proszę pana, w tym kraju nie chodzi się w kapeluszu", upominał go na ulicy pewien „prawdziwy Polak", pilnujący, byśmy nawet ubiorem nie odrywali się od stada. Może więc to nie jest komfort mieć własne zdanie? Przeciwko mitom, które stały się niepodważalną wiarą? I pomnikom, które wystawiliśmy?

Herbert

Jak do paru zdań skondensować długi wywód?

„Napisał jeden z najbardziej bezwzględnych wierszy z gatunku moralistycznych w literaturze polskiej. Wiersz nosił tytuł »Przesłanie Pana Cogito« i potrafił zaczadzić swoim straceńczym urokiem niemałą liczbę polskich inteligentów, którzy osobiście nie kiwnęli nawet palcem w walce z komunizmem, ale chętnie – owładnięci bezpiecznym podziwem dla Gilgamesza, Hektora i Rolanda – wpatrywali się we wzniosły przykład starożytnych niezłomnych.

(…) W wierszu tym budował dyskryminacyjne przeciwstawienie »wyprostowanych« (sam chciał się do nich zaliczać) oraz »odwróconych plecami i obalonych w proch«. Co rozumiał przez »obalonych w proch«, nigdy nie wyjaśnił, pozostając na zawsze przy enigmatyczności tej obraźliwej formuły, która pogardliwie opisywała niemałą liczbę Polaków, żyjących w Polsce pojałtańskiej.

(…) Kochając Polskę, Herbert widział ją jedynie w osobach opozycyjnych straceńców, sam w wierszu »Pan Cogito o postawie wyprostowanej« utożsamiając się z antycznym samobójcą Katonem z miasta Utyka, który – zgodnie z ideą »ocalałeś nie po to, aby żyć« – swoją niezłomność przypłacił życiem, ale ocalił godność i czystość duszy.

(…) Konsekwentnie zamykał oczy na zmiany systemu komunistycznego, które następowały po roku 1956, bo nie tylko nie chciał ich widzieć, ale też wiedział, że jeśli je uwzględni w swoich wierszach, straci cały urok straceńczego emploi, które przyniosło mu sławę. Dobrze zdawał sobie sprawę, że polskim inteligentom smakował przede wszystkim jako katoński straceniec, piszący piękne, czyste »antyczne« wiersze o niezgodzie na Zło. Czuł, że podoba się Polakom właśnie jako poeta niezłomnego sprzeciwu, i chętnie w tej roli występował. Komunistyczne władze pozwalały mu przemieszkiwać raz w kraju, raz na Zachodzie, bo nigdy jednak nie zdecydował się na pełny status poety-emigranta. Jeśli buntował się przeciwko systemowi, buntował się zręcznie, zapewniając sobie obecność swoich książek w spisach lektur.

(…) Z zastanawiającym uporem »realny socjalizm« w Polsce i po-chruszczowowską Rosję uważał za niezmiennego »potwora Pana Cogito«, tego samego, który przeprowadzał krwawe czystki w latach trzydziestych i strzelał w tył głowy oficerom polskim w Katyniu. Tak myślał o »realnym socjalizmie« nawet w epoce Gierka, udając przy pisaniu »Przesłania«, że nie widzi wokół siebie milionów peerelowskich Polaków, którzy radowali się z zakupu »małego Fiata« i swobodnie modlili się w kościołach, których właśnie za Gierka zbudowano w komunistycznej Polsce najwięcej od czasów samego Mieszka I.

(…) Czytając jego wiersze, wiele razy miałem nieodparte wrażenie, że Herbert je pisał przeciwko takim ludziom jak mój Ojciec, który – naznaczony traumatycznym doświadczeniem rosyjskiej, litewskiej i niemieckiej okupacji Wilna – siedział w PRL-u przez całe życie cicho jak szara mysz. Przeciwko władzy nie puszczał nawet pary z ust.

(…) Jako młody człowiek byłem po stronie Herberta przeciwko mojemu Ojcu. Chwilami nawet się mojego Ojca wstydziłem, że jest właśnie taki. Kiedy przybyło mi lat, w duszy zacząłem bronić go przed Herbertem. Powoli zacząłem rozumieć antyherbertowski heroizm niewoli, który nie miał, niestety, straceńczych blasków godnej podziwu śmierci Katona. Tak, mój Ojciec nie chciał iść do ciemnego kresu po złote runo nicości, swoją ostatnią nagrodę. Wybrał życie. Swoje i moje.

Nie ma bardziej niebezpiecznych ludzi niż ludzie przekonani, że posiedli Prawdę, która zmienia ich w istoty zwarte i spójne do bólu – dla innych.

eprasa.pl d531504b05

(…) To dzięki takim ludziom jak mój Ojciec dzisiaj istnieje Polska, choć radykałowie gromko temu zaprzeczą, wierząc, że to właśnie oni własnymi rękami przywrócili ją do życia. Gdyby w latach czterdziestych XX wieku wszyscy Polacy poszli za radami »Przesłania Pana Cogito«, Polski by dzisiaj nie było, tylko między Bałtykiem a Tatrami rozciągałaby się wielka kałuża krwi, a sam pan Cogito nie miałby, niestety, na piaskach naszej mazowieckiej równiny nawet swojego własnego grobu, tylko przysypany ziemią, pośpiesznie wykopany dół".

Miłosz

„Łączył nas podobny niepokój, kiedyśmy się przyglądali Kościołowi i Polsce. W jednym punkcie różniliśmy się zasadniczo. On uważał, że »człowiek współczesny« od czasów Kopernika, Lutra, Newtona i Darwina boleśnie przeżywa konflikt między religią a nauką. Ja uważałem, że on ten konflikt wmawia »człowiekowi współczesnemu«, ponieważ znałem wielu ludzi, którzy sobie tym konfliktem głowy nawet przez chwilę nie zawracali. Bo »człowiek współczesny« – realny, nie ten z esejów czy wierszy – równocześnie wierzy bez trudu w to, że Bóg cudem stworzył człowieka z gliny, i w to, że człowiek pochodzi od małpy. Na niedzielnej mszy wierzy w to pierwsze, a na co dzień wierzy w to drugie. I nie przeszkadza mu to zupełnie, bo – jak mówi – co ma jedno do drugiego?

(…) Człowiek nigdy nie był i nigdy nie będzie istotą spójną, nawet gdyby stanął na głowie, więc nie z takimi rozdarciami poradzi sobie bez trudu – w praktycznym, żywym życiu. Oczywiście co jakiś czas usilnie staramy się być spójną jednością – na przykład popadając w rozmaite religijne, ateistyczne czy polityczne fantazmy – ale z takiego samooszustwa wcześniej czy późnej się budzimy (?), bo nigdy nie byliśmy i nigdy nie będziemy istotami wewnętrznie spójnymi – na szczęście. Najgorsi jesteśmy w chwilach, gdy wierzymy we wmówioną sobie spójność, wtedy gotowi jesteśmy zrobić wszystko. Dlatego nie ma bardziej niebezpiecznych ludzi niż ludzie przekonani, że posiedli Prawdę, która zmienia ich w istoty zwarte i spójne do bólu – dla innych.

Boże Najwyższy, trzymaj mnie od takich z daleka. Miłosz, na szczęście, nie był jednym z nich".

Jan Paweł II

„– Nasz Naród – profesor N. zasępił się – rozdziera nienawiść. Musimy odbudować prawdziwą wspólnotę. Zapomnijmy o wrogościach. Kto nas może połączyć? Tylko On! Przecież nawet ludzie niewierzący przyznają, że Święty Papież był czystą dobrocią. Przez chwilę pomilczałem, słysząc te piękne słowa, po czym dolewając herbaty do filiżanki, wypowiedziałem taką oto myśl: – Może ja się mylę, ale niech mi pan przypomni, czy to nie pogodny, mile uśmiechnięty Jan Paweł II bez żadnych skrupułów chciał odebrać Polkom i Polakom święte prawo do rozwodu? Czy to nie on sam osobiście z pogodnym uśmiechem żądał, żebyśmy umierali długo, powoli, w cierpieniach, bo za jedyną dozwoloną śmierć uznawał straszną śmierć naturalną? Czyż nie groził nam na dodatek Piekłem, gdybyśmy jednak zechcieli odejść stąd inaczej? Więc jak to było – niech mi pan przypomni. Czy prawdziwym przyjacielem ludzi może być ktoś, kto z łagodnym uśmiechem kategorycznie żąda, by ludzie, którzy wyrwali się z małżeńskiego piekła, nie mogli założyć nowej rodziny, w której mogliby być szczęśliwi? Czy takim przyjacielem może być ktoś, kto z łagodnym, świętym uśmiechem zmusza żonę, żeby żyła aż do śmierci ze znienawidzonym, budzącym fizyczną odrazę mężem?".

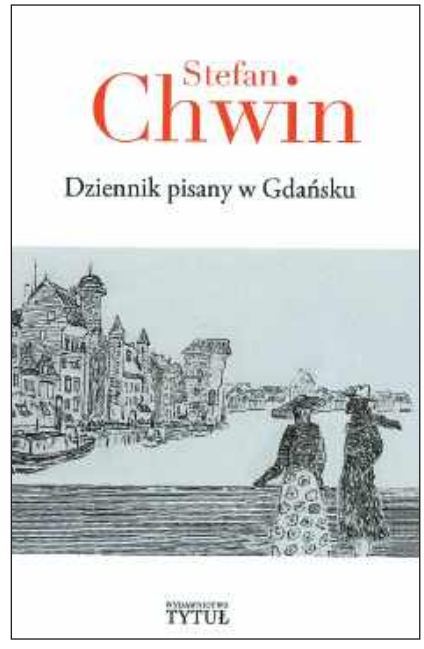

Stefan Chwin,
Dziennik pisany w Gdańsku,
Wydawnictwo Tytuł, Gdańsk 2025

Rodzina Ulmów

„– Czy ty widzisz – pytam K. po powrocie z poczty przy ulicy Nałkowskiej – co się dzisiaj wyprawia wokół tej sprawy Ulmów? Przecież to nie była zbrodnia niemiecka, tylko wspólna zbrodnia polsko-niemiecka, ale wszyscy biorą wodę w usta, żeby o tym nie mówić! Przecież nikt inny, tylko Polak, znany z imienia i nazwiska Włodzimierz Leś, wezwał morderców, którzy zabili rodzinę Ulmów! Było tak? No przecież tak było. To on, nie kto inny, ściągnął do Markowej Niemców, żeby rozprawili się z Ulmami. No to powiedz, jak to jest? Czy ktoś, kto sprowadza morderców, jest współmordercą czy nie jest? W Markowej to Polak rękami Niemców zamordował rodzinę Ulmów. Tak było. Ale wszyscy bez żadnych skrupułów przyrządzają z biednych Ulmów stosowną polityczno-religijną potrawę.

(…) – I jeszcze jedno. Popatrz, co ja znalazłem wczoraj w naszych papierach. To jest broszura Akcji Katolickiej, napisana w latach trzydziestych przez jakiegoś Józefa Młodowiejskiego. I wiesz, co jest w tej broszurze napisane? Że Związek Młodzieży Wiejskiej »Wici« został potępiony za bezbożnictwo i bolszewizm przez samego Prymasa Polski Augusta Hlonda i przez kilku polskich biskupów jako dzieło szatana, masonerii i komunistów. Katolikom nie było wolno do niego należeć. Kościół zakazywał. Ta broszura, zobacz, ma zresztą ładny tytuł: »Wici – marksizm wiejski«.

– Ale co ma do sprawy Ulmów?

– Jak to co? Do tej organizacji »Wici« należał »wzorowy katolik« Józef Ulm!

eprasa.pl d531504b05

– Poważnie?

– Najzupełniej. Ulmowie ratowali Żydów nie dlatego, że byli »zwykłą tradycyjną rodziną katolicką«, jak to się dzisiaj przedstawia, tylko właśnie dlatego, że nie byli taką rodziną. Bo Józef Ulm prawdziwie nie cierpiał katolicyzmu endecko-oenerowskiego, któremu była wierna duża część tradycyjnych rodzin katolickich na polskiej wsi. A »Wici« właśnie ten endecko-oenerowski katolicyzm, mocno zalatujący antysemityzmem, stanowczo zwalczały! Dlatego – jak tu jest napisane – polscy księża ostrzegali polskich chłopów przed należeniem do tego związku. Nie posyłajcie swoich dzieci – wzywali z ambon – do wiciowego uniwersytetu ludowego, bo to grozi antyreligijną demoralizacją młodzieży! A dzisiaj co o tym? – cicho sza! I pod dywan!”.

„Dziennik pisany w Gdańsku” rzadko nas zabawia, przeważnie kąsa, zmuszając umysł do pracy.

Przemoc

„Ludzie, którzy brzydzą się wszelkich form przemocy, chętnie dzisiaj zapominają, że nasz demokratyczny świat – pokojowy i tolerancyjny – w którym na razie względnie spokojnie żyjemy, został zbudowany na usypisku milionów niemieckich trupów, przemocowo uśmierconych przez zachodnich i wschodnich aliantów. W tym sensie fundamentem naszego dzisiejszego, demokratycznego świata, w którym sprawiedliwie brzydzimy się przemocą, jest twarda przemoc. (...) I czy kiedy stanie się coś naprawdę niedobrego, Polski będą bronić brzydzący się przemocą liberalno-demokratyczni humaniści, którzy mówią o kupowaniu domu w Hiszpanii i Portugalii, by w razie czego jak najszybciej znaleźć się poza zasięgiem przemocowych rakiet, czy raczej kibole Arki i Lechii w czarnych tiszertach z białym orłem na piersiach, których darzymy słusznie pogardą, a dla których codzienna przemoc była i jest jak bułka z masłem?”.

Mniejszości

„Mniejszości należy kochać tylko wtedy, kiedy są bezsilne. Kiedy nabierają mocy, należy się ich bać”.

Udane życie

„K. obrywa suche liście kwiatów stojących na półce nad naszym łóżkiem. Patrzę na nią, podnosząc oczy znad laptopa: – Ty naprawdę uważasz, że miałaś udane życie? K. wzrusza ramionami: – Pewnie. Kochałam swojego mężczyznę i lubiłam się z nim przytulać. Czułam, że on mnie też lubi. Miałam fajne dzieci. W pracy szło mi nienajgorzej. Założyłam i nieźle prowadziłam własną firmę. Nie byłam zła dla teściowej i dla całej rodziny. Pomagałam mężowi. Lubiłam być z ludźmi. Wojny nie było. Niczego mi nie brakowało. To źle?”.

Bóg

„Mądry człowiek żyje tak, jakby Bóg istniał, nawet kiedy ma spokojną pewność serca, że Boga nie ma. Nie przypadkiem ludzkość, pracując rozumem i wyobraźnią przez długie tysiące lat, stworzyła wielokształtną ideę Boga, której trzyma się mocno. Boskie oko, nawet jeśli jest tylko okiem wyobrażonym, wprowadza porządek do naszego życia, bo cudze spojrzenie zawsze nas dyscyplinuje. Patrząc okiem Boga na samego siebie, nawet jeśli jest to oko wyobrażone, budujemy układ odniesienia, który nadaje nam duchową formę. Myśl o tym, co by pomyślał o nas Bóg, pozwala lepiej oceniać nasze uczynki. To, że Bóg nas widzi, chociaż jest tylko naszym wyobrażeniem, powstrzymuje nas przed czynieniem głupstw, do których jesteśmy skłonni. W tym sensie idea Boga warta jest ochrony, bo reguluje nasze życie, nawet jeśli tylko opiera się na postulacie istnienia”.

•

Oto kronika naszego świata. Naszej demokracji liberalnej, coraz mocniej szturmowanej, coraz mocniej wysferzonej, zagubionej. Czy zostanie obalona? A my – czy poradzimy sobie z dziesiątkami pytań, które w nas uderzają? Czy chcemy z tym sobie radzić?

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl d531504b05

Oko w oko

Tomasz Jastrun

Czy zostaje tylko przemoc?

Jakiś czas temu złożyłem na ręce Ani Piwkowskiej, koleżanki i poetki, swój tomik wierszy. Ania kieruje w Państwowym Instytucie Wydawniczym działem poezji. Debiutowałem w PIW wierszami „Bez usprawiedliwienia", był rok 1978. Teraz więc druk tomiku w tym samym wydawnictwie byłby zamknięciem koła. Minęło niemal 50 lat! Ania napisała, że książka jest świetna! Szefem PIW jest Łukasz Michalski, o orientacji prawicowej. Specjalizuje się w wydawaniu dzieł Wildsteina. Ale przyznaję, że wydają też dużo innych, już dobrych książek. Mijają miesiące, cisza, w końcu wiadomość, że Michalski chyba zablokował druk tomu. Po jakimś czasie – rewelacja! – jest akt łaski, jednak będą drukować, ale pod koniec 2027 r. Godzę się. Wydam szybko część wierszy w Austerii, a potem w PIW, jeśli dożyję. Rzecz się pewnie przesunie na rok 2028 i oto strzeli 50 lat od debiutu. Mija kilka tygodni – Michalski blokuje druk. Przecież nie chodzi tu o jakość literacką wierszy, tak myślę, więc o co? O politykę, przecież nie o pieniądze.

Wydawca traktuje mnie jak małego chłopca, którego można karać za to, że coś powie lub napisze. W roku 1978, kiedy debiutowałem w PIW, byłem zaangażowany politycznie, bezpieka o tym wiedziała, a jednak wydrukowano mi tomik, entuzjastyczną recenzję napisał Staszek Barańczak. W latach 80. w stanie wojennym ukrywałem się przez rok, publikowałem potem wiele w drugim obiegu, rewizje, przesłuchania, kierowałem podziemnym pismem „Wezwanie" (też o tym wiedzieli), a jednak wydrukowałem w tamtym czasie dwie książki oficjalnie. Michalski, funkcjonariusz prawicy w wolnej Polsce, blokuje książkę, bo mu się nie podobam politycznie. Traktuje znane wydawnictwo jak prywatny folwark. Wymienialiśmy pisowców na kierowniczych stanowiskach, ale zrobiliśmy to zbyt subtelnie. Oni nie będą tak się cackać.

•

Zmarł Andrzej Olechowski, wielka szkoda. Znakomity mówca, ciekawy umysł, ekonomista, wycofał się z polityki albo wycofał go Tusk, mógł być dla niego konkurencją. Byłby świetnym prezydentem, próbował, ale Polska nie dorosła do niego – 2 m wzrostu. Miał przylecieć do Sztokholmu, kierowałem tam wtedy Instytutem Polskim, spytałem go: „Jak ja pana poznam?". Odparł: „Będę najwyższy na lotnisku". W końcu nie przyleciał, wysłano zamiast niego Glapińskiego, katastrofa. Potem spotykałem Olechowskiego w różnych okolicznościach, też w Ruchu Stu, z którego obaj szybko się wycofaliśmy. Tak, Olechowski był zbyt światowy, za inteligentny, za elegancko mówił jak na naszą prowincję. Był jakby skrojony na prezydenta, ale nie przez domowego, tylko przez zachodniego krawca. Polska za jakiś czas dorośnie do Olechowskiego, wierzę w to, tyle że jego już nie będzie.

•

Jestem w kawiarni Czytelnika, ktoś woła, że puścili Poczobuta, sala wiwatuje, jakbyśmy odnieśli wielki sukces narodowy. To poruszające, że budzi takie emocje. Z drugiego piętra schodzi sekretarka prezesa wydawnictwa, mówi do nas: „Puścili Poczobuta!". I proszę, połączyła nas zbiórka na dzieci chore na raka, podobno rekord świata, a teraz radość, że wyszedł z więzienia polsko-białoruski męczennik za walkę o demokrację. Może nie jest z nami tak źle. Chociaż nadal upieram się, że testem będą przyszłoroczne wybory.

Rzucony kamyk pociągnął lawinę. Zebrano prawie 300 mln zł na dzieci chore na nowotwory. Sprawdziłem, niemal wszystkie telewizje transmitowały finał tego wydarzenia, co bardzo pomagało zbierać pieniądze. Wszystkie, oprócz Republiki. Oni są złem w czystej postaci. Co jest bardziej poruszającego i moralnego, co ważniejszego niż pomoc dzieciom chorym na raka? A TV Republika to PiS.

•

W „Przeglądzie" napisałem jakiś czas temu: „Nazajutrz, mając trochę czasu do odjazdu pociągu, przeglądam w czytelni biblioteki pisma. »Gazeta Polska« robi wrażenie pisma obłąkanego z nienawiści do Tuska, do ludzi liberalnie myślących. Z autorami »Gazety Polskiej« podobnie jak z jej czytelnikami już nie można dyskutować, nie ma płaszczyzny do polemiki, zostaje tylko mordobicie lub mord po prostu". Wielka burza, staję się chyba sławny, w ich mediach moje zdjęcia z cytatem, krzyczą, że namawiam do mordu. Nie zwariowałem. Myśl jest prosta, trzeba było ją tylko inaczej ubrać, mój głupi błąd. Powinienem napisać: doszło do takiej polaryzacji, do tak zawziętej wzajemnej nienawiści, że następny mały krok i już mamy przemoc. Z obu stron. Do której, mam nadzieję, nie dojdzie. I do której nie nawołuję. Ale tak u nas, jak i w Stanach, jest świetny materiał na wojnę domową.

■

U nas, jak i w Stanach, jest świetny materiał na wojnę domową.

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl d531504b05

PRACA BEZ KOŃCA

Dlaczego 1 Maja wciąż jest ważny

Piotr Biegasiewicz

Jeszcze jest ciemno, kiedy pod halę podjeżdżają pierwsze autobusy pracownicze. Na obrzeżach miasta magazyn wygląda jak osobny organizm: ma własne światło, własny rytm, własny porządek. W środku wszystko już czeka. Bramki, skanery, taśmy, regały, terminale. Pracownik odbija kartę, bierze urządzenie i wchodzi w układ, który od pierwszej minuty wyznacza tempo. Każdy ruch zostanie zapisany, każda przerwa zauważona, każda zwłoka przeliczona. To nie człowiek ustala rytm pracy. To rytm pracy ustawia człowieka.

Za obietnicą wygody, szybkości i natychmiastowej dostawy stoi nie abstrakcyjny algorytm, lecz czyjś czas, ciało i uwaga.

Święto odzyskane

Święto Pracy nie wyrosło z propagandy. Jego źródłem było doświadczenie XIX w., który bardzo szybko ujawnił ciemną stronę kapitalizmu przemysłowego. Długie dni pracy, skromne płace, brak zabezpieczeń, lęk przed chorobą, wypadkiem i nędzą. Fabryka nie była wyłącznie miejscem zatrudnienia. W praktyce organizowała całe życie. Właśnie z tego świata wyrósł postulat ośmiogodzinnego dnia pracy, a wraz z nim przekonanie, że człowiek nie może należeć do pracy bez reszty.

W tym sensie 1 Maja upamiętnia nie samą pracę, lecz opór wobec jej bezgraniczności. Jest przypomnieniem chwili, w której robotnicy zaczęli się domagać nie tylko wyższej płacy, ale również czasu, bezpieczeństwa i prawa do wspólnego działania.

Nie tylko zarobek

Praca nie jest zwykłym towarem. Za każdą stawką i każdą normą wydajności stoi konkretne życie. Zdrowie, dom, dzieci, starość, zmęczenie, lęk o jutro. Kiedy mówi się o cenie pracy, mówi się zarazem o kosztach czyjegoś istnienia, choć gospodarka najchętniej opisuje to językiem wskaźników i efektywności.

Robotnicy i socjaliści XIX w. rozumieli to dobrze. Ich postulaty nie sprowadzały się do poprawienia bilansu ekonomicznego. Chodziło również o ograniczenie czasu pracy, o ochronę przed całkowitą bezbronnością wobec rynku, o prawo do zrzeszania się. Krótko mówiąc, chodziło o odzyskanie miary. O obronę człowieka przed światem, w którym wszystko miało zostać podporządkowane produkcji.

Powrót problemu

Byłoby oczywiście nieuczciwe twierdzić, że nic od tamtej pory się nie zmieniło. Powstało prawo pracy, są systemy ubezpieczeń, normy czasu pracy, instytucje ochronne, których XIX w. nie znał. Wiele dawnych walk przyniosło trwałe skutki. Problem polega jednak na tym, że wraz z rozwojem nowoczesnej gospodarki zależność nie zniknęła. Zmieniła raczej formę i język.

Dzisiejszy kapitalizm nie musi już działać z brutalnością dawnej fabryki. Częściej posługuje się mechanizmami subtelniejszymi. Prywatyzuje ryzyko, rozprasza odpowiedzialność i przedstawia niestabilność jako cenę wolności. Dawniej pracownik widział właściciela, kierownika i bezpośredni przymus. Dziś częściej widzi aplikację, system ocen, zmienny grafik, target oraz ranking. Z zewnątrz wygląda to łagodniej. Mechanizm bywa podobny: człowiek ma się dopasować.

Obietnica elastyczności bardzo często okazuje się po prostu inną nazwą przerzucenia kosztów na jednostkę.

Nowy robotnik

Magazyn Amazona jest obrazem szczególnie wyraźnym, bo pokazuje, jak bardzo gospodarka cyfrowa zależy od materialnego wysiłku. Za interfejsem wygodnej usługi stoi pracownik, który musi nadążyć za tempem systemu. Czysta hala, uporządkowany proces i słownik efektywności nie likwidują zależności. One tylko nadają jej nową formę.

To samo widać w innych miejscach. Kurier platformowy formalnie uchodzi za niezależnego, choć w praktyce jest uzależniony od stawek, ocen i algorytmu. Pielęgniarka, opiekunka czy nauczyciel wykonują pracę niezbędną do istnienia wspólnoty, a zarazem stale słyszą, że ich oczekiwania muszą ustąpić przed kalkulacją budżetową. Młody pracownik, nawet jeśli pracuje regularnie, nie zawsze otrzymuje w zamian stabilność, możliwość planowania i realny dostęp do samodzielnego życia.

Praca nie jest zwykłym towarem. Za każdą stawką i każdą normą wydajności stoi konkretne życie.

Ograniczenie czasu pracy powraca dziś jako prawo do bycia poza pracą, poza telefonem, poza nieustanną gotowością. Godziwy zarobek powraca jako pytanie, czy praca zapewnia oparcie, czy tylko pozwala przesuwać moment kryzysu, a ochrona socjalna – jako pytanie, kto w rzeczywistości płaci za inflację, chorobę i niestabilność. Solidarność pracownicza zaś wraca jako problem trudniejszy niż dawniej, bo współczesny pracownik częściej jest samotny i wymienialny.

eprasa.pl d531504b05

Prywatyzacja ryzyka

Krytycy późnego kapitalizmu od dawna zwracają uwagę na zjawisko, które dziś trudno już przeoczyć. System staje się szczególnie skuteczny wtedy, gdy własne napięcia przedstawia jako prywatny problem jednostki. Człowiek ma się lepiej zorganizować, przekwalifikować, uodpornić, nauczyć zarządzać sobą. To, co jest skutkiem określonych reguł gospodarczych, zostaje przetłumaczone na język osobistej zaradności.

W efekcie niepewność przestaje wyglądać jak problem wspólny. Staje się czymś, co każdy ma rozwiązać sam, we własnym zakresie i na własny koszt. To wygodne, bo pozwala odsunąć na bok pytanie o sprawiedliwość reguł. Zamiast pytać, czy system został dobrze urządzony, pyta się raczej, czy jednostka umie w nim przetrwać.

Dyspozycyjni, zawsze gotowi

Jeszcze ważniejsze jest jednak to, że współczesna presja nie zatrzymuje się na progu miejsca pracy. XIX w. walczył przede wszystkim z pracą, która pochłaniała cały dzień. Dziś coraz częściej trzeba bronić całego życia przed logiką wydajności. System oczekuje nie tylko obecności, ale także dyspozycyjności, samokontroli, gotowości do poprawy, uczenia się i reagowania. Wiele osób ma poczucie, że praca nie kończy się po wyjściu z firmy. Przenosi się do telefonu, do domu, do psychiki.

To przesunięcie ma poważne konsekwencje. Zmęczenie zaczyna być traktowane jako prywatny defekt, lęk o przyszłość jako dowód słabej organizacji własnego życia. W ten sposób dominacja staje się głębsza, bo człowiek zaczyna używać języka systemu przeciw samemu sobie.

Dlatego 1 Maja pozostaje potrzebny. Nie tylko jako pamięć o dawnych walkach robotniczych, ale również jako przypomnienie, że życie nie może zostać w całości podporządkowane wymaganiom rynku.

Wspólnota

Praca nie jest wyłącznie sprawą gospodarczą – ma też wymiar wspólnotowy. Państwo nie trwa dzięki samym symbolom, deklaracjom i rocznicom. Trwa także dzięki codziennemu wysiłkowi tych, którzy przewożą, leczą, uczą, sortują, naprawiają, pilnują i utrzymują w ruchu infrastrukturę oraz usługi. Gdy ich praca zostaje zredukowana do kosztu, wspólnota traci fundament moralny.

Wiele osób ma poczucie, że praca nie kończy się po wyjściu z firmy. Przenosi się do telefonu, do domu, do psychiki.

Dlatego solidarność nie jest jedynie pojęciem z historii. Pozostaje koniecznością. Nikt, kto pracuje, nie powinien zostać sam wobec rynku, algorytmu, choroby, inflacji i niepewności. Samotnego pracownika łatwo podporządkować. Wspólnota pracujących staje się natomiast realnym podmiotem społecznym.

Wieczorne wyjście

Wieczorem hala nadal świeci, choć inaczej niż rano. W ciemności wygląda chłodno i obco. Pracownicy wychodzą pojedynczo albo małymi grupami. Kamizelki odbijają światło, twarze są przygaszone. Ktoś poprawia plecak, ktoś zatrzymuje się na chwilę przy barierce, jakby potrzebował krótkiej przerwy między rytmem systemu a powrotem do własnego domu. Nie ma w tej scenie nic efektownego. Jest zwykłe zmęczenie ludzi, którzy przez wiele godzin podtrzymywali ruch świata, choć najczęściej pozostają niewidoczni.

Dla nich 1 Maja wciąż ma sens. Nie jako resztka dawnego ceremoniału, lecz jako przypomnienie granicy. Człowiek po pracy musi mieć prawo wrócić do swojego życia. System, który nie uznaje tej granicy, przestaje służyć człowiekowi.

Piotr Biegasiewicz jest prawnikiem, ekonomistą i publicystą. Zajmuje się pracą, klasą społeczną i tymi kosztami przemian gospodarczych, które najczęściej ponoszą zwykli ludzie

KSIĄŻKI

FIKCJA POŁĄCZONA Z NAUKĄ

Połączyć historię alternatywną z badaniami historycznymi – o to może się pokusić tylko ktoś, komu bardzo zależy, by przeszłość – w tym wypadku Śląska, głównie Górnego – zaciekawiała, a nie zanudzała. To dość karkołomne splecenie fikcji z własnymi dociekaniami naukowymi jest dziełem Dariusza Zalegi, niestrudzonego piewcy robotniczej, ludowej historii tego regionu. Autor swoją historię alternatywną umieścił w Republice Węglowej, mającej istnieć na terenach Polski, Niemiec i Czech w okresie powstań śląskich. Prawdziwe postacie ulokował w miejscach, w których mogłyby się znaleźć, i włożył im w usta słowa, które mogły wypowiedzieć. W pewnym sensie tę fikcję uprawomocnia szkic naukowy stanowiący drugą część książki, wydanej pod patronatem „Przeglądu". A dzięki wiedzy badacza autor łatwiej może sobie wyobrazić, metodą swoistej dedukcji, tamte czasy, ludzi i minione wydarzenia.

Umiejętne połączenie fikcji z archiwaliami pozwala czytelnikowi dowiedzieć się o Śląsku rzeczy, o których trudno usłyszeć przy obecnej polityce historycznej. Choćby tego, że z powstańcami śląskimi sympatyzowało wielu Niemców, co więcej, część była w oddziałach powstańczych, bo dla nich ów zryw stanowił element walki o robotnicze państwo. Takich zaskakujących wiadomości w książce Zalegi jest więcej. Zarówno w alternatywnej historii, jak i w jej naukowym opisie. I może się okazać, że wymieszanie fikcji z nauką daje większe efekty poznawcze niż dziesiątki opracowań autorstwa badaczy danego tematu.

Paweł Dybicz

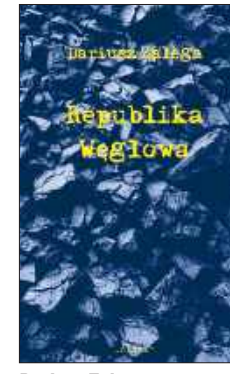

Dariusz Zalega, *Republika Węglowa*, Wydawnictwo Śląsk, Katowice 2025

eprasa.pl d531504b05

Polski fenomen Muminków

Jak twórczość Tove Jansson porusza Polaków od 80 lat

Rozmawia Kornel Wawrzyniak

MARZENA BOMANOWSKA
– kulturoznawczyni, redaktorka i muzealniczka.
Od 2015 r. dyrektorka Muzeum Kinematografii w Łodzi

Spotykamy się w trakcie finisażu wystawy „Muminki: drzwi są zawsze otwarte", zorganizowanej z okazji ukończenia przez Muminki 80 lat. Dlaczego są one cały czas tak aktualne dla odbiorców?

– Powodów jest wiele. Muminki zawdzięczają urok, popularność i aktualność swojej autorce, osobie wybitnej, utalentowanej, wykształconej, obdarzonej poczuciem humoru. Tove Jansson potrafiła w niewielkich objętościowo książkach zawrzeć wielowarstwowe treści, inaczej odczytywane przez dzieci i dorosłych. Tę dwuadresowość znakomicie opisuje w pracach naukowych prof. Hanna Dymel-Trzebiatowska. Jansson ujmująco splotła baśń z uniwersalnymi pragnieniami – takimi jak tęsknota za przyjaźnią i miłością, umiłowanie wolności, potrzeba przeżywania przygód czy posiadania bezpiecznego domu – z wątkami autobiograficznymi. Wiele postaci z Doliny Muminków dostało od autorki cechy osób z jej bliskiego otoczenia. W postaci Włóczykija obojętnego na dobra materialne można się dopatrzeć podobieństwa do jej narzeczonego, lewicowego parlamentarzysty Atosa Wirtanena, a mądra Too-Tiki przypomina partnerkę pisarki Tuulikki Pietilä, znakomitą graficzkę. Motywy uniwersalne i osobiste rezonują w odbiorze czytelniczym, każdy znajdzie w tych książkach coś dla siebie.

Ważna autobiograficznie wydaje się relacja Topika i Topci.

– To jeden z najbardziej wzruszających wątków autobiograficznych ukrytych w Muminkach i pewna słabość polskiego przekładu Ireny Szuch-Wyszomirskiej, zrozumiała ze względu na czasy, w jakich powstał. W oryginale, napisanym po szwedzku, postacie noszą imiona Tofslan i Vifslan, utworzone od Tove i Vivica. Dopiero z napisanych później biografii wiemy, że Vivica Bandler była wielką, homoseksualną miłością Jansson. Związki jednopłciowe były zakazane do początku lat 70., zresztą tłumaczka nie miała dostępu do faktów z życia pisarki. Muminki po polsku wychodzą od 1964 r. Na ilustracjach widzimy dwie postacie w sukienkach, ale w tekście są nazwane Topik i Topcia. Ta para porozumiewa się intymnym językiem, niezrozumiałym dla innych – w polskim przekładzie oddanym jako ciągi słów z literą f na początku, np. „fewnie fotują fawę". To piękna metafora kodu, jaki tworzą dla siebie zakochani. Tofslan i Vifslan mają też ukryty w kuferku skarb – Królewski Rubin, symbol miłości. Straszna Buka rości sobie do niego prawa. Tych aluzji można nie odczytać i po prostu cieszyć się baśniową opowieścią, ale ich głęboko osobisty wymiar tworzy dodatkową warstwę znaczeń.

Tove Jansson miała ogromną czułość wobec świata.

– Dobrze, że użył pan słowa, które robi furorę od czasu mowy noblowskiej Olgi Tokarczuk. Nagrodę Nobla przyznaje Akademia Szwedzka, a szwedzki jest językowym żywiołem Muminków. Olga Tokarczuk pisała przed laty o psychologicznej stronie Muminków i ich zastosowaniu w warsztatach z dziećmi. A Tove Jansson była niezwykłą postacią

eprasa.pl d531504b05

o bogatej osobowości, artystką wielu talentów; ktoś nazwał ją „geniuszem uniwersalnym”, bo pisała dla dzieci i dorosłych, malowała obrazy i murale, rysowała, tworzyła spektakle teatralne, ma na koncie nawet libretto operowe. Indywidualistka wrażliwa na odmienność, uważna, inteligentna, zaprzęgająca do pracy swoją wrażliwość i wiedzę.

Jej dziadek był znanym pastorem, sama Tove dobrze znała Biblię, co widać choćby w opisie plag w „Komecie nad Doliną Muminków”, nawiązujących do obrazów apokaliptycznej suszy, deszczu szarańczy i uciekającego morza. W jej listach, których tom ukazał się również po polsku, można odnaleźć cząstki jej osobowości oraz informacje o lekturach, a była na bieżąco z najważniejszymi myślicielami swojego czasu. Miałam okazję być w jej studiu w Helsinkach i zobaczyć bibliotekę – to imponujący księgozbiór. Wszechstronne zainteresowania, wiedza, zmagania z życiem, rozwój artystycznej osobowości i umiłowanie natury znajdują odzwierciedlenie w Muminkach, które dla dzieci są dobrymi opowieściami z happy endem. Dla dorosłych mają inny wymiar. Lubię półżartem, półserio polecać lekturę „Tatusia Muminka i morza”, bo to świetna książka o mężczyźnie w kryzysie wieku średniego, który ma już dom i syna, a jednak czuje, że musi coś zmienić – nawet jeśli oznacza to tak radykalny gest jak wyprowadzka na wyspę.

Tymczasem największą popularnością Muminki cieszą się w Japonii, Finlandii i Polsce. Dlaczego?

– Warto pamiętać, że każda z tych kultur ma silną tradycję istot fantastycznych: w Polsce są krasnoludki, świtezianki i utopce, w Finlandii trolle, wodniki i chyłki, a w Japonii rozmaite duchy i demony, yōkai i kami związane z naturą. To sprawia, że świat Muminków trafił na podatny grunt. Są też inne przyczyny, o czym rozmawiałam z Roleffem Kråkströmem, prezesem Moomin Characters, firmy założonej przez Tove Jansson i jej brata Larsa w latach 50., kiedy po sukcesie komiksów o Muminkach rozpoczął się światowy bum i wszyscy chcieli produkować rozmaite towary z Małą Mi czy Włóczykijem. Jego zdaniem na popularność Muminków właśnie w tych trzech krajach warto spojrzeć z historycznego punktu widzenia. Finlandia, Polska i Japonia zostały silnie doświadczone przez wojnę – każde z tych państw na swój sposób. Dźwigają ciężkie doświadczenia zbiorowe, co może rodzić szczególną potrzebę opowieści pocieszających, bezpiecznych, pokazujących świat bardziej harmonijny i idylliczny. Być może dlatego Muminki tak dobrze się przyjęły w jakże odmiennych kulturach.

Jak budowali państwo narrację przestrzenną wystawy?

– Punktem wyjścia był dla nas wątek filmowy, bo wystawa powstała w Muzeum Kinematografii w Łodzi. Kluczowy jest fakt, że właśnie tu działało Studio Se-Ma-For, w którym na przełomie lat 70. i 80. powstawał serial „Opowiadania Muminków”. Postacie z Doliny Muminków zostały zaprezentowane jako lalki z łódzkiej animacji, zestawione z rysunkami Tove Jansson i opisami z książek. Tło stanowiły powiększone ilustracje z najstarszej Muminkowej historii, czyli „Małych trolli i dużej powodzi”, których 80-lecie jest powodem jubileuszu Muminków. W centralnym punkcie stanął duży, drewniany Dom Muminków, a w jego wnętrzu pokazaliśmy, jak od lat 30. do 70. zmieniał się Muminek rysowany przez Tove. Ważnym wątkiem stały się kontakty autorki Muminków z Polakami, których śladów szukałam w Archiwum Tove Jansson w Helsinkach. To korespondencja z tłumaczkami i filmowcami, dokumenty związane z produkcją serialu animowanego, a także ślady jej jedynego pobytu w Polsce. To odkrycie pochodzące z kalendarium biografii Tove Jansson napisanej przez prof. Boel Westin, wydanej po polsku w 2012 r., zapoczątkowało moje poszukiwania, by po latach na wystawie połączyć historię Muminków z polskim kontekstem.

Postanowiła pani odtworzyć wizytę Tove Jansson w Polsce.

– Zelektryzowała mnie informacja, że Tove Jansson była w moim rodzinnych mieście, w czasie, kiedy już czytałam Muminki. W archiwach łódzkich gazet nie zachowało się nic na temat tej wizyty. Na szczęście w archiwum Polskiej Agencji Prasowej udało się odnaleźć niezdigitalizowane zdjęcia z jej pobytu w Łodzi. Wiele zawdzięczam też wspomnieniom byłych pracowników Se-Ma-Fora i synom tłumaczki Teresy Chłapowskiej. Szczęśliwie w kolekcji Muzeum Kinematografii zachowały się lalki z animacji, a z czasem pojawiły się następne elementy układanki, takie jak Order Uśmiechu, którym odznaczono Tove Jansson w 1976 r. Zachował się list do Cezarego Leżeńskiego, kanclerza Orderu Uśmiechu, ozdobiony girlandą postaci z Doliny Muminków, a sam order wypożyczyliśmy z Helsinek. W Filmotece Narodowej – Instytucie Audiowizualnym prawie 50 lat przeleżał dokumentalny zapis wizyty Tove Jansson w Krakowie, dokąd pojechała po spotkaniu z animatorami w Łodzi. W trakcie przygotowań do wystawy okazało się, że wątków jest więcej, niż można pokazać w jednej przestrzeni. Część tematów, jak obecność Muminków na polskich scenach teatralnych, znalazła więc miejsce w katalogu wystawy, gdzie umieściliśmy wystąpienia z konferencji towarzyszącej wystawie „Muminki: drzwi są zawsze otwarte”.

Tove Jansson była podobno zachwycona lalkami Muminków podczas wizyty w Se-Ma-Forze. Na czym polegała magia ich animacji?

– Twórcy z Se-Ma-Fora zdecydowali się na zastosowanie nietypowej techniki lalki półpłaskiej na szkle,

Tove Jansson potrafiła w niewielkich książkach zawrzeć wielowarstwowe treści, inaczej odczytywane przez dzieci i dorosłych.

FOT. SEBASTIAN SZWAJKOWSKI, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl d531504b05

która spodobała się autorce. Zamiast klasycznych, pełnowymiarowych lalek używano form przypominających przecięte kukiełki, niemające pleców. Poszczególne elementy: głowa, łapki, ogon, nie były połączone, przesuwano je po milimetrze, by zrobić kolejne ujęcie. Film realizowano na stole animacyjnym zwanym wieloplanem. Składał się z kilku tafli szkła, tworzących coraz dalsze plany, z malowanym tłem na samym dole. Kamera była zawieszona u góry. Po prawej i lewej stronie ustawiano światła. Animator układał elementy danej sceny, wchodził na drabinę, by zrobić zdjęcie, schodził, przesuwał fazę i znów wspinał się po drabinie. W ten sposób, po kilku tygodniach żmudnej pracy, powstawał jeden dziesięciominutowy odcinek dobranocki – i tak aż 78 razy, bo tyle epizodów nakręcono. „Opowiadania Muminków" powstały w realiach PRL, pod nadzorem artystycznym autorki, w koprodukcji z firmą z Austrii, zapewniającą dobrej jakości taśmę filmową i zajmującą się międzynarodową dystrybucją.

Były jeszcze dłuższe filmy, które przyniosły Se-Ma-Forowi międzynarodową sławę.

– Z listów odnalezionych w archiwum Tove Jansson wynika, że to Studio Se-Ma-For wystąpiło z inicjatywą realizacji dwóch filmów kinowych. W latach 80. powstały „Szczęśliwe dni Muminków" oraz „Zima w Dolinie Muminków", zmontowane z wcześniej nakręconego materiału. W umowie koprodukcyjnej Austriacy mieli prawa do dystrybucji zagranicznej, serial „Opowiadania Muminków" trafił więc nie tylko do krajów nordyckich, ale także do Austrii, Niemiec, Wielkiej Brytanii, a nawet do telewizji irańskiej. Na początku XXI w. cały ten materiał, czyli 78 odcinków, został sprzedany fińskiej firmie Filmkompaniet. Tam taśmy filmowe z Se-Ma-Fora zdigitalizowano, zmieniono kolorystykę i zmontowano z nich kolejne cztery filmy kinowe, czyli „Lato Muminków", „Kometę nad Doliną Muminków", „Magiczną zimę Muminków" i najnowszy – „Pamiętniki Tatusia Muminka", który trafił do dystrybucji w 2021 r. Dla mnie szczególny powab ma angielskojęzyczna wersja „Komety…", w której narratorem jest Max von Sydow, głosów Muminkowi i Tatusiowi użyczyli Alexander i Stellan Skarsgård, a Ryjkowi – Mads Mikkelsen. Do tego „Pieśń komety" śpiewa Björk! Przyznam, że zdobycie tej wersji zajęło mi prawie dwa lata, ale było warto, to majstersztyk.

Przez dziesięć miesięcy wystawę w Muzeum Kinematografii zobaczyło ponad 96 tys. osób.

Wróćmy na chwilę do wystawy. Co było największym zaskoczeniem przez ten rok?

– Najbardziej zaskoczyła mnie skala popularności wystawy. W weekendy ustawiały się kolejki na zewnątrz budynku – nawet w listopadowe dni. Najbardziej poruszające było jednak to, co słyszałam od wychodzących gości, którzy mówili czekającym: „Staliśmy półtorej godziny, ale warto było". Przez dziesięć miesięcy wystawę zobaczyło ponad 96 tys. osób, z całej Polski i z zagranicy. Dużym zainteresowaniem cieszyły się wydarzenia towarzyszące: projekcje filmów, spotkania z badaczami Muminków czy warsztaty artystyczne dla dzieci i dorosłych. Zdarzało się, że uczestnicy warsztatów muminkowego origami jechali do nas z Wrocławia czy Poznania. To było zaskakujące, choć sama miłość do Muminków mnie nie dziwi – czytam je od prawie 50 lat i wciąż do nich wracam.

Muszę zapytać o pani ulubioną animację, bo ta semaforowska nie była ani pierwszą, ani ostatnią.

– Moja ulubiona wersja to Muminki w wersji książkowej. Prób ekranizowania dzieł Tove Jansson jest wiele, począwszy od drewnianych marionetek pokazywanych w zachodnioniemieckiej telewizji i dwóch serii kreskówek japońskich z lat 60. i 70. Ta pierwsza nie spodobała się Tove Jansson – wprowadzono do niej elementy niezgodne z wartościami uniwersum Muminków, np. Tatuś dawał Muminkowi klapsa, rodzina rozbijała się samochodem, robiła zakupy w supermarkecie. Autorka zażądała, by serii nie pokazywać poza Japonią. Semaforowskie lalki półpłaskie to ewenement artystyczny, ręczna robota nie do powtórzenia, a dzięki temu wyjątkowa. W latach 90. cały świat oglądał „Muminki" w wersji japońsko-fińsko-holendersko-francuskiej, a od 2019 r. powstaje „Dolina Muminków" w animacji komputerowej. Jeśli filmy to jedyna droga, by ktoś poznał Muminki, to też dobrze, chociaż pozostaję ortodoksyjną czytelniczką i oddałabym wszystkie ekranizacje za książki, bo Muminki przede wszystkim trzeba czytać.

Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl d531504b05

MIĘDZY OKŁADKAMI

Magdalena Majcher
Rechtorka
W.A.B., Warszawa 2026

Po śmierci syna, narkomana z katowickiego dworca, dziennikarz Borys Dyrda zapada się w poczucie winy: jako ojciec był nieobecny, teraz nie zasługuje na dobre życie. W tym samobiczowaniu niszczy obecny, całkiem udany związek. Ale jego partnerka potrzebuje pomocy – przyjaciółka córki została aresztowana pod zarzutem zamordowania nauczycielki. Dręczona dziewczyna ponoć nie wytrzymała i zakatowała prześladowczynię. Tego dzieciaka jeszcze można ocalić, jeśli tylko Dyrda zwlecze się z redakcyjnej kanapy, na której koczuje przed telewizorem wgapiony w skoki Małysza i pierwszą serię „Big Brothera".

Autorka trylogii nie konstruuje rozrywkowych skomplikowanych łamigłówek, nie stara się też szokować. Za to wykazuje się dużą empatią, gdy w kolejnych tomach zderza postacie z przerastającą je rzeczywistością, trudnym do uniesienia ciężarem egzystencji. To bardzo realistyczny kryminalny Śląsk, pisany codziennością początku nowego wieku. Z Dyrdą już się tu rozstaniemy, ale kto wie…

Aleksandra Pańko

Waldemar Mierzwa
Dawne i nowe Mazury w 250 ilustrowanych opowieściach
Oficyna Retman, Dąbrówno 2026

Autor odgraża się, że to ostatni jego tom poświęcony Mazurom – zarówno mieszkańcom, jak i regionowi. Które to Mazury turyści mylą nieraz z Warmią, choć może już rzadziej, w czym duża zasługa Waldemara Mierzwy, nieustannie tłumaczącego w publikacjach i na spotkaniach autorskich, czym jest mazurska ziemia i kim są jej mieszkańcy. Dla turysty to żaglówki na Wielkich Jeziorach, rejs Krutynią i puszcze – atrakcyjne wakacje. Ale Mazurzy, potomkowie osadników z Mazowsza, mają swoją niezwykłą historię. To głównie protestanci, luteranie, po wojnie uważani często za Niemców i przez żołnierzy Armii Czerwonej, i przez polskich pionierów, którzy odbierali im świątynie, by urządzać w nich kościoły katolickie. Od tamtego czasu większość rodowitych Mazurów wyjechała do RFN, a została garstka. Ale w najnowszych dziejach regionu zapisały się takie osobowości jak malarz Hieronim Skurpski, poeta Erwin Kruk, dziennikarz Tadeusz Willan czy Karol Małłek, zwany królem Mazurów. Walorem książki są krótkie opowieści ozdobione oryginalnymi zdjęciami.

Marek Książek

NA POWAŻNIE

Giacomo Puccini, „Tosca", reżyseria Julia Pevzner, dyrygent Andriy Yurkevych, Opera Krakowska, premiera 23 kwietnia 2026

Klasyczna Tosca

Po ćwierć wieku wystawiania inscenizacji Laco Adamika i Barbary Kędzierskiej Opera Krakowska zaprezentowała nową. Powiedzmy od razu: interesującą, bez sztucznego przenoszenia w czasie czy zmiany wizji kompozytora i librecistów. Izraelscy twórcy reżyserka Julia Pevzner i scenograf Alexander Lisiyansky (zmarły kilka dni przed premierą) przedstawili dzieło spójne, według klasycznych kanonów. Tak samo można określić kostiumy śpiewaków i tancerzy autorstwa Dorothée Roqueplo. I choćby z tych względów „Tosca" ta długo będzie na afiszu opery.

W premierowym spektaklu w tytułową rolę wcieliła się Olga Busuioc z Mołdawii, obdarzona soczystym głosem, ładnie brzmiącym w piano i forte. O ile Krzysztof Szumański należycie wywiązał się z roli barona Scarpii, oddając aurę grozy otaczającą szefa rzymskiej policji, o tyle Cavaradossi Dominika Sutowicza szczególnie w pierwszym akcie był raczej nadmiernie heroiczny niż wrażliwy, czego wymagałaby rola artysty.

Nie można nie wspomnieć o chórze, którego wykonanie „Te Deum" wywołuje zachwyt widowni i utwierdza w przekonaniu, że jest on jednym z najlepszych w Polsce.

Paweł Dybicz

Falstaff żegna reżysera

Marek Weiss po 50 latach pracy artystycznej i ponad 150 premierach żegna się z teatrem operowym, realizując ostatnie dzieło Verdiego. Jeśli to prawda, tak jak pożegnanie Krzysztofa Kieślowskiego z filmem, to raczej smutna. Zresztą Falstaff na zakończenie spektaklu, który powinien być komedią, umiera. Niewykluczone jednak, że jest to chwyt marketingowy, bo publiczność ciągnie tłumnie. Rzecz bowiem dzieje się w eleganckim klubie do uprawiania seksu.

Bronisław Tumiłowicz

Giuseppe Verdi, „Falstaff", reżyseria Marek Weiss, dyrygent Patrick Fournillier, Teatr Wielki-Opera Narodowa, premiera 17 kwietnia 2026

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (4)

eprasa.pl d531504b05

Teatr objaśnia (?) nam świat

Jak opowiedzieć o tym, czego nie wiemy

Tomasz Miłkowski

Requiem dla snu

Od dawna uważa się, może czasem na wyrost, że teatr jest czułym sejsmografem zmian społecznych, politycznych i kulturowych. W warszawskich teatrach na afiszu pojawiło się ostatnio kilka przedstawień, które próbują objaśniać nam świat.

Mowa o dwóch kameralnych spektaklach: w Teatrze Narodowym na scenie Studio „Mężczyźni objaśniają mi świat" (reż. Klaudia Gębska) i na małej scenie Teatru Dramatycznego „Jubileusz" (reż. Maciej Jaszczyński), a także o zrealizowanym z wielkim rozmachem „Requiem dla snu" (reż. Jakub Skrzywanek) Teatru Studio w koprodukcji ze Starym Teatrem w Krakowie.

O inscenizacji w Narodowym zrobiło się głośno za sprawą sporu w gronie feministek i feministów o to, czy jej twórcom wolno było przypisać Rebecce Solnit autorstwo tego spektaklu (tak stoi na afiszu), a zwłaszcza uczynić z jednej z głównych bohaterek – postaci o imieniu Rebecca, wyraziście granej przez Aleksandrę Justę – osobę nie w każdym calu sympatyczną, chwilami apodyktyczną i przywodzącą na myśl tytułowych mężczyzn, co świat objaśniają. Ten psikus scenarzysty zrobił sporo zamieszania, pozwalając na odrobinę dystansu do feminizmu, który nie musi wyrażać się wyłącznie nieskazitelną walką i bezwzględną słusznością.

Femipolemika nie rozgrzała jednak do czerwoności widowni, aczkolwiek ta spektakl przyjęła dobrze, mimo jego mankamentów. Uczestniczący w środowiskowej polemice nie wzięli pod uwagę tego, że spora część ewentualnych obserwatorów ich sporu, jak również widzów, nie miała pojęcia o istnieniu Rebekki Solnit.

Myśl główna scenariusza autorstwa Mariusza Gołosza, wywiedziona z felietonistyki Solnit, znalazła w przedstawieniu wyraz – idzie o wciąż obecne lekceważenie osiągnięć i kompetencji kobiet, objawiające się w codziennym umniejszaniu i poniżaniu. Mężczyznom przychodzi to z łatwością, mimo długotrwałej edukacji i przestróg. Solnit, amerykańska feministka, opisała ten mechanizm przed wieloma laty. Nie było to epokowe odkrycie, bo charakterystyczne „co ty tam wiesz", kierowane do córek, sióstr, żon, matek i koleżanek z pracy, było wówczas rozpowszechnione. I nadal daje się słyszeć. Z tego punktu widzenia skromny spektakl ma poważną zasługę edukacyjną. A przy tym wnosi powiew optymizmu.

Z fantasy i political fiction wywodzi się z kolei „Jubileusz", spektakl dyplomowy Macieja Jaszczyńskiego. Oparty został na scenariuszu dość przeciętnego filmu Dereka Jarmana o przeniesieniu królowej Elżbiety I w czasie – w epokę punk rocka. To rodzaj fantazyjnej inspekcji dokonywanej w towarzystwie Ariela, pożyczonego z szekspirowskiej „Burzy". Królowa sprawdza, co się stało z jej dziedzictwem: świat psieje, kultura karleje, biedny, biedny Albion, ale biedny też Dramatyczny, że chwyta się tego scenariusza, aby opowiedzieć o kryzysie świata. Wprawdzie akcja toczy się żwawo, ale wygląda na to, że historia zaplątała się we własne sieci i osiadła na mieliźnie kabaretu. Trudno się zorientować, po co ta cała maskarada.

Inaczej rzecz się ma z adaptacją powieści amerykańskiego pisarza Huberta Selby'ego Jr. w Teatrze Studio, koprodukowaną ze Starym Teatrem. Mowa o „Requiem dla snu", powieści sprzed prawie pół wieku, która potem doczekała się ekranizacji Darrena Aronofsky'ego (2000). Jakub Skrzywanek wraz z Janem Czaplińskim próbował wpisać tekst w dzisiejszą, polską rzeczywistość. Zbudował całą machinę do ukazania nadciągającego upadku: monumentalną dekorację na obrotówce, przypominającą ołtarz ofiarny, który może się kojarzyć z organami albo

eprasa.pl d531504b05

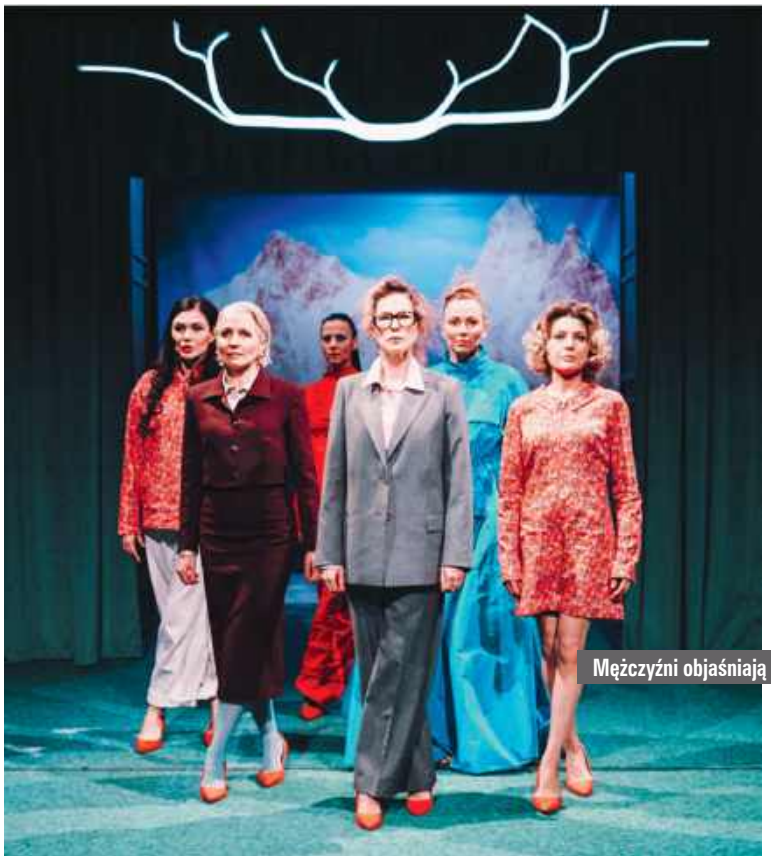

Mężczyźni objaśniają mi świat

z futurystyczną konstrukcją obcego świata.

Wszystko zaczyna się mgławicowo – zza muślinowej kurtyny transmitowane są na ekranach sytuacje rozgrywające się w mieszkaniu. Tam uwięziona jest Matka bohatera, żyjąca marzeniem o występie w telewizji. Z myślą o tym drastycznie odchudza się narkotykami, aby wbić się w czerwoną sukienkę, w której kiedyś oczarowała męża. Spotkanie z synem marnotrawnym wygląda jak w innych opowieściach o potrzaskanych więziach rodzinnych, ale szybko zmienia się pod naporem obsesyjnego entuzjazmu Matki. Anna Radwan w tej roli porywająco odsłania neurotyczny stan bohaterki, balansującej na krawędzi samozniszczenia, do którego zresztą dojdzie.

Jakub Skrzywanek trochę na siłę próbował zmienić lokalizację akcji, toteż długą sekwencję poświęcił demaskowaniu sposobów zdobywania narkotyków za pośrednictwem internetu we współczesnej Polsce – aktorzy cytują ogłoszenia, dzwonią pod podane numery, składają zamówienia. Publiczność się śmieje, ale ta gra trwa za długo i rozbija akcję. Z drugiej strony reżyser nie wykorzystuje magii telewizji – marzenie Matki o występie w show schodzi na plan dalszy i rozmazuje się w masie zbędnych działań.

Teatr ostrzega, nawołuje do uważności i szukania odpowiedzi na własną rękę.

Potem zalewa nas fala wybujałego seksoholizmu, kompulsywnej masturbacji, beznadziejnego szukania partnerstwa i upadku bohaterów: Matki, Syna i ich otoczenia. Choć nie jest to spektakl do końca dopracowany, ma swoje walory, także aktorskie. Przejmująco postać straceńca buduje Rob Wasiewicz. Teatr objaśnia nam tu świat na czarno, bez żadnego światełka w tunelu.

Za wiele tego światła nie dostrzeżemy też w „Pulverkopfie" według powieści Edwarda Pasewicza w reżyserii Katarzyny Kalwat w Nowym Teatrze. Różni się jednak ta adaptacja od wspomnianych spektakli w Narodowym, Studiu i Dramatycznym tym, że teatr nie przyjmuje w niej misji pedagoga, ale podąża tropem autora pytającego: „Jak opowiedzieć o tym, czego nie wiemy?".

Fascynująca powieść Pasewicza wygląda na utwór niemożliwy do przeniesienia na scenę. Oniryzm, wieloznaczność, kapryśny tok narracji, niepewność interpretacji zdarzeń, a nawet ich samych, tworzą rodzaj wiru, w który autor wciąga swoich czytelników. Lektura rozpala wyobraźnię, a teatr tę wyobraźnię powściąga, dookreśla kształtami, materializuje. Trudno zachować ten rodzaj obsesyjnego poszukiwania prawdy, jaki jest udziałem głównego bohatera, pisarza próbującego odtworzyć losy niemieckiego awangardowego kompozytora Norberta von Hannenheima, który zmarł tuż po wojnie w szpitalu dla nerwowo chorych w Międzyrzeczu. Rekonstruując jego losy, bohater zagłębia się we własne wspomnienia i przeżycia, w traumy swoje i rodzinne. Rusza rzeka wspomnień, lęków, odczuć i niepewnej tożsamości.

Z tego wszystkiego rodzi się arcyciekawy, trudny do jednoznacznego uchwycenia teatr, w którym rolę pisarza gra koncertowo Jacek Poniedziałek, a bohatera jego powieści, niemieckiego kompozytora, młody, piekielnie utalentowany aktor Krzysztof Oleksyn. Finałowy monolog Oleksyna, wyrzucany z trzewi jakby na jednym oddechu, to ostatni szaniec obrony przed zagładą.

Zniszczenie i przemoc, rozpasany, brutalny seks szaleje po scenie historii i teatru. Dochodzi do głosu w obrazach gwałtu, dotkliwie powracających w pamięci Babki (Bogusława Schubert) i Matki (Alona Szostak). Teatr nie podpowiada, co z tym bagażem zrobić, ale zapala lampkę alarmową, ostrzega, nawołuje do uważności i szukania odpowiedzi na własną rękę.

Taki teatr budzi większe zaufanie niż teatr nauczyciel.

■

FOT. KAROLINA JÓŹWIAK, NATALIA KABANOW

eprasa.pl d531504b05

Koniec z bólem i wiertłami

Jak sztuczna inteligencja, nowoczesne materiały, skanery i drukarki 3D zmieniają współczesną stomatologię

Marek Czarkowski

W grudniu 2025 r. prezenter telewizyjny i celebryta Filip Chajzer opublikował w mediach społecznościowych nagranie, w którym ostrzegał przed bondingiem – zabiegiem stomatologii estetycznej, w którym dentysta nakłada specjalny materiał kompozytowy bezpośrednio na powierzchnię zębów, dzięki czemu wyglądają one olśniewająco. Chajzer skarżył się, że odkąd latem 2024 r. poddał się tej procedurze, codziennie pluje krwią, odczuwa ból, a pod kompozytem pojawiły się bakterie powodujące próchnicę. Zdaniem celebryty była to wina stomatologa, który przeprowadził zabieg niezgodnie ze sztuką. Sprawa stała się głośna, a przy okazji – jak sądzę – tysiące osób dowiedziało się, czym jest bonding.

Plotkarskie portale internetowe od dawna pełne są doniesień o „nowych zębach gwiazd". Wśród postaci, które radykalnie odświeżyły swój uśmiech, znajdziemy Krzysztofa Ibisza, Blankę Lipińską, Edytę Pazurę i Michała Wiśniewskiego. Tego typu zabiegi nie są tanie. W renomowanej klinice w Polsce pełny nowy garnitur zębów, np. na implantach, to zwykle wydatek rzędu co najmniej kilkudziesięciu tysięcy złotych (za dolną i górną szczękę).

Wszystko jednak przebił lekarz celebryta dr Krzysztof Gojdź, właściciel sieci klinik medycyny estetycznej w USA, który zafundował sobie „hollywoodzki uśmiech" w postaci nowych licówek. Ta metamorfoza kosztowała go ok. 100 tys. zł. W wywiadach podkreślał, że zależało mu na naturalnym efekcie, na pięknych białych zębach, a nie na „bieli klozetu".

Przeciętni Polacy korzystający z usług stomatologów nie muszą się obawiać tak zatrważających kwot, choć każda wizyta w gabinecie – nawet gdy chodzi o zwykłe plomby – zazwyczaj oznacza poważny wydatek. Chyba że zdecydujemy się na NFZ – ale wtedy przyjdzie nam długo czekać. Trudno jednak w tym wypadku dziwić się cenom. W ostatnich latach w stomatologii nastąpił radykalny postęp. Pojawiły się nowoczesne

eprasa.pl d531504b05

metody leczenia, sięgnięto po najnowsze technologie i nowe materiały. A to oznaczało koszty.

Bez bólu

Wiele osób nie znosi wizyt w gabinecie stomatologicznym ze względu na wysoki, wibrujący dźwięk wierteł. Kojarzy im się z bólem, który odczuwali w dzieciństwie, gdy wiertła stomatologiczne przypominały narzędzia tortur. Dziś wnętrza gabinetów dentystycznych wyglądają niczym wypełnione najnowszą techniką centrale statków kosmicznych, borowanie zębów odbywa się zaś w znieczuleniu miejscowym i przy użyciu systemów, które w niczym dawnych wierteł nie przypominają.

A może być jeszcze lepiej. Stomatolodzy mają dziś bowiem dostęp do technologii, które pozwalają całkowicie wyeliminować nawet najbardziej nowoczesne sposoby borowania zębów.

W ostatnich latach opracowano np. żele chemiczne wybiórczo rozmiękczające zainfekowaną próchnicą tkankę, którą lekarz po prostu usuwa, bez sięgania po wiertło. Stosuje się też urządzenia wykorzystujące strumień powietrza z wodą i tlenkiem glinu. Stomatolog „piaskuje" zainfekowaną tkankę i w ten sposób czyści ząb. To technologia, która – w znacznie większej skali – od lat jest dobrze znana pracownikom warsztatów lakierniczych. W gabinecie stomatologicznym „piaskowanie" to szybki, bezbolesny i wykonywany często bez znieczulenia zabieg. W przypadku bardzo wczesnego stadium próchnicy lekarze sięgają po specjalne płyny, które wnikają w porowate, odwapnione szkliwo, zatrzymują jej rozwój i poprawiają wygląd zębów.

Stosowane są też lasery, które selektywnie odparowują zdemineralizowaną tkankę próchnicową, oszczędzając zdrową zębinę, a jednocześnie sterylizując ubytek. Wszystko odbywa się bez dotykania zęba narzędziami, bez bólu, z minimalnym dyskomfortem.

By uczynić leczenie bezpieczniejszym, stomatolodzy korzystają z ozonoterapii. Ozon ma bardzo silne działanie bakteriobójcze, przeciwwirusowe i przeciwgrzybicze – utlenia ściany komórkowe drobnoustrojów, niszcząc je bez uszkadzania zdrowych komórek nabłonka czy tkanek okołozębowych. Zmniejsza też ilość bakterii w zmianie próchnicowej, w kanałach korzeniowych, w kieszonkach przyzębnych czy na powierzchni ran po zabiegach, przez co hamuje rozwój infekcji i ogranicza stan zapalny. Dodatkowo poprawia ukrwienie i dotlenienie tkanek oraz przyśpiesza gojenie i redukuje ból. Dentysta używający ozonatora podaje ozon na wybrany obszar przez specjalną silikonową nakładkę, która szczelnie otacza ząb lub fragment dziąsła. Po kilkunastu-kilkudziesięciu sekundach ozon jest odsysany i zamieniany z powrotem w tlen. Zabieg jest krótki, bezbolesny i zwykle nie wymaga znieczulenia – pacjent czuje najwyżej delikatne mrowienie.

Ceramika najlepiej imituje naturalny ząb pod względem koloru. Jest też bardziej odporna na przebarwienia niż kompozyt.

Plomba biokompatybilna i śnieżnobiała ceramika

W coraz większej liczbie gabinetów podczas leczenia kanałowego wykorzystuje się mikroskop – staje się on już standardem. Pozwala odnaleźć dodatkowe kanały i pęknięcia oraz dokładniej oczyścić wnętrze zęba, co zwiększa szansę na jego uratowanie. Skuteczność dezynfekcji kanałów poprawiają nowe mikronarzędzia i specjalne płukanki.

W chirurgii stomatologicznej coraz szerzej stosuje się lasery, które ograniczają krwawienie, przyśpieszają gojenie i zmniejszają obrzęki. Zabiegi te odbywają się w znieczuleniu miejscowym, co gwarantuje pacjentom nieznany wcześniej komfort.

Najnowsze plomby przypominają tworzywo pochodzące z kosmosu. Materiały światłoutwardzalne w stomatologii stosuje się od lat, ale dziś popularność zdobywają zaawansowane kompozyty, często nanohybrydowe, oraz ich wersje biokompatybilne (potrafiące stymulować remineralizację tkanek zęba), a także nowoczesne materiały szklano-jonomerowe i kompozytowo-jonomerowe. Charakteryzuje je duża wytrzymałość i bardzo wysoka estetyka. Są odporne nie tylko na ścieranie, ale też na przebarwienia. Oznacza to, że po zabiegu nie sposób dostrzec miejsca, które zostało naprawione przez stomatologa.

Politykom, aktorom, celebrytom i influencerom często zależy na jak najpiękniejszym, śnieżnobiałym uśmiechu. Dziś modne są przede wszystkim trzy techniki – wspomniany już bonding, któremu poddał się Filip Chajzer, licówki oraz korony ceramiczne.

Ceramika najlepiej imituje naturalny ząb pod względem koloru, przezierności i odbijania światła. Jest poza tym bardziej odporna na przebarwienia niż kompozyt. To jednak kosztowna inwestycja, na którą mogą sobie pozwolić osoby z grubymi portfelami.

Sztuczna inteligencja i technologia 3D

Wyobraźmy sobie 54-letnią panią Natalię, właścicielkę kilku dobrze prosperujących hurtowni obuwia. Właśnie opuściła gabinet dentystyczny, gdzie założono jej nową koronę. Była to jedna, trwająca dwie godziny wizyta, w czasie której wewnątrzustny skaner 3D odwzorował jej jamę ustną z dokładnością do mikrona. Następnie odpowiedni algorytm wykrył wszelkie możliwe uszkodzenia zębów, w tym ogniska zapalne próchnicy, po to by stomatolog mógł podjąć ewentualne leczenie i uzupełnić ubytki. Następnie drukarka 3D wykonała dla niej koronę.

Dziesięć lat temu realizacja takiego zlecenia wymagałaby co najmniej trzech wizyt i zmagań z przypominającą plastelinę masą wyciskową. Na tej podstawie protetyk wykonałby koronę, co wymagałoby czasem kilku tygodni oczekiwania, a następnie

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl d531504b05

poprawek, by dopasować ją do uzębienia pacjenta.

Technologia 3D radykalnie skróciła czas oczekiwania, a wykonane dzięki niej korony pasują idealnie. W ten sam sposób wykonuje się protezy zębowe. Oferta jest niezwykle bogata: mamy protezy mocowane na implantach, wykonane z tlenku cyrkonu, mamy protezy elastyczne nylonowe, acetalowe, akronowe i szkieletowe.

Stomatolodzy coraz częściej sięgają po technologię CAD/CAM. Dziś zaprojektowanie protezy wymaga pracy z komputerem. Cyfrowy obraz jamy ustnej i zębów trafia do programu projektowania wspomaganego komputerowo CAD (Computer-Aided Design). Następnie obsługujący software lekarz lub technik projektuje wirtualną protezę, dopasowując jej kształt do sąsiednich zębów, zgryzu i omówionej z pacjentem estetyki. Gotowy projekt trafia do frezarki lub drukarki 3D, która automatycznie wycina protezę lub drukuje z bloczka ceramiki, cyrkonu czy kompozytu. Nie jest to tania technologia, ale jest już dostępna w wielu gabinetach w naszym kraju.

Oprogramowanie CAD wcześniej było szeroko stosowane, począwszy od lat 60., w przemyśle lotniczym i motoryzacyjnym.

Zęby z probówki

Ostatnio wyobraźnię naukowców, lekarzy stomatologów i pacjentów rozpalają informacje o badaniach nad „trzecim garniturem zębów" u człowieka. Czy można skłonić ludzki organizm do tego, by w miejsce utraconych zębów wyrosły nam nowe? Czy może należałoby je wyhodować w warunkach laboratoryjnych, a następnie przeszczepiać? Swoistym pomostem między tymi technologiami są powszechnie dziś stosowane implanty. Najczęściej jest to tytanowa lub cyrkonowa „śrubka" wszczepiana w kość szczęki lub żuchwy w miejsce utraconego korzenia zęba, która po kilku miesiącach zrasta się z kością. Na niej mocuje się łącznik, koronę protetyczną, most albo całą protezę – w efekcie pacjent otrzymuje sztuczny ząb lub zęby osadzone w taki sposób jak naturalne.

Na świecie, w tym w Polsce i Japonii, od dawna trwają badania nad „trzecimi zębami", lecz wciąż są na etapie eksperymentalnym.

W Polsce kluczowy jest projekt SteamScaf realizowany przez zespoły naukowców z Politechniki Warszawskiej, Uniwersytetu Medycznego im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu oraz Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Pracują one nad wyhodowaniem owych „trzecich zębów" z pobranych z dziąseł komórek macierzystych. Celem tego pionierskiego przedsięwzięcia jest stworzenie rusztowania z biozgodnych polimerów, na którym osadzone komórki macierzyste przekształcą się w tkanki – docelowo zawiązki zębów – które następnie będzie można przeszczepiać pacjentom zamiast implantów.

Liderem projektu SteamScaf jest zespół dr hab. Agnieszki Gadomskiej-Gajadhur z Politechniki Warszawskiej, odpowiedzialny za opracowanie materiałów polimerowych i rusztowań, na których będą rosły komórki. Naukowcy z Poznania pracują nad komórkami macierzystymi pobranymi z dziąseł. Prowadzą ich hodowlę i różnicowanie w kierunku stworzenia zawiązków zębów oraz innych tkanek. Eksperci z Torunia badają zachowanie tych komórek na wspomnianych rusztowaniach. Prace zespołu projektowego finansowane są m.in. z grantów przyznanych przez Narodowe Centrum Nauki i Narodowe Centrum Badań i Rozwoju. Trudno powiedzieć, czy zakończą się sukcesem. A jeśli nawet, to na ostateczne rozstrzygnięcie przyjdzie nam czekać nie mniej niż dekadę.

Inną drogą poszedł japoński zespół naukowców z Osaki i Kioto pracujący pod kierownictwem prof. Katsu Takahashiego. Opracował on przeciwciało blokujące działanie białka USAG-1 – białko to hamowało rozwój zębów u myszy i fretek. Jego blokada uruchomiła wzrost dodatkowych zębów.

Japońscy uczeni wskazują, że pod ludzkimi dziąsłami znajdują się uśpione zalążki trzeciej generacji zębów, które normalnie się nie rozwijają. Z badań Japończyków wynika, że farmakologiczne zablokowanie białka USAG-1 może aktywować te uśpione struktury i uruchomić wzrost dodatkowych zębów u ludzi. Pierwsza faza badań klinicznych ruszyła w 2024 r. i objęła dorosłych mężczyzn z brakami w uzębieniu. Chodziło przede wszystkim o sprawdzenie, czy opracowany specyfik jest bezpieczny. W kolejnych etapach terapia miała być testowana u dzieci z wrodzonym brakiem wielu zębów.

Uczeni z zespołu prof. Katsu Takahashiego oraz przedstawiciele japońskich agencji badawczych ostrożnie wspominają o możliwym wprowadzeniu terapii na rynek około roku 2030 r. O ile kolejne fazy badań potwierdzą jej bezpieczeństwo i skuteczność. Jeśli terapia okaże się skuteczna, może się stać alternatywą dla implantów i protez, szczególnie u osób z wrodzonym brakiem zębów lub pozbawionych zębów z powodu chorób i próchnicy.

Z pewnością zmieni to nasz sposób myślenia o stomatologii regeneracyjnej – zamiast „mechanicznego" stosowania implantów i protez będzie można pobudzać organizm do wytworzenia własnych zębów.

Jednak największą zmianą w stomatologii nie będzie ultranowoczesna technologia, ale odpowiedź na pytanie, kto z niej skorzysta. Bo przełom będzie miał sens tylko wtedy, gdy będzie dotyczył nie garstki bogatych pacjentów klinik stomatologicznych klasy premium, lecz każdego, kto siądzie na fotelu dentystycznym – niezależnie od tego, czy zapłaci gotówką w prywatnym gabinecie, czy skorzysta z publicznej opieki zdrowotnej.

Marek Czarkowski

W chirurgii stomatologicznej coraz szerzej stosuje się lasery, które ograniczają krwawienie, przyśpieszają gojenie i zmniejszają obrzęki.

eprasa.pl d531504b05

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Była rzeka, jest podwodnica

Natura nie jest wcale taka bezbronna wobec ludzkiej ekspansywności, z antropomorficznej perspektywy można by nawet rzec, że bywa mściwa i złośliwa, czemu jako mizantrop przyklaskuję. Majówka wyjątkowo pogodna, to mi się zebrało na pedałowanie – wybrałem trasę wiodącą wzdłuż ludzko-naturalnych przekomarzanek i wynikających z nich anomalii. Dodatkowym impulsem była chęć komfortowego przejazdu rowerem przez pustynię. To możliwe od zeszłego roku, kiedy otwarto betonową ścieżkę na granicy piachów i lasu – cyklistów na tej nitce co niemiara, ale śmiga się z widokiem na polską Saharę łacno.

Pustynia Błędowska jest obiektem antropogenicznym, a ściślej – widomym efektem katastrofy ekologicznej spowodowanej przez człowieka. W średniowieczu wyrżnięto tu hektary lasów na potrzeby stemplowania wyrobisk kopalnianych, a że drzewa rosły na gruntach piaszczystych, to powstała wielka kuweta, którą z czasem obwołano mianem pustyni, aby gawiedź miała uciechę. Południowa część jest obrzeżona cyklotrasą, północna wykorzystywana jako poligon, a środkiem przez pas oazy płynie Biała Przemsza.

Śpieszmy się kochać rzeki, bo szybko znikają. Pod całym tym pustynnym rewirem od strony miasta Bolesław ciągną się bowiem wyrobiska nieczynnej kopalni Pomorzany, zamkniętej kilka lat temu. Przez kilkadziesiąt lat eksploatowano w niej na olbrzymią skalę rudy cynku i ołowiu, wybieranie kolejnych pokładów wymagało stałego wypompowywania wody na powierzchnię. W ten sposób mała strużka zwana Sztołą z początkiem lat 70. stała się z dnia na dzień całkiem wartką i spławną dla kajaków rzeką. 90% wody pochodziło z kopalnianego drenażu.

Przez kilka dekad w dolinie Sztoły powstał ekosystem, rzeka była dzika i malownicza, kolejne pokolenia wychowywały się nad jej brzegami. Aż tu złoża się wyczerpały, kopalnię zamknięto, to i pompy wyłączono. Woda przestała płynąć, rzeka zniknęła z dnia na dzień. Można teraz wędrować jej suchymi meandrami.

Ale natura postanowiła zrobić psikusa. W czasie eksploatacji poziom wód gruntowych w okolicach Bolesławia został obniżony o kilkadziesiąt metrów, lecz kiedy tylko zatrzymano pompy, woda zaczęła błyskawicznie kopalnię zalewać. A kiedy już wypełniła wszystkie pustki, pod olbrzymim ciśnieniem szukała najdrobniejszych choćby szczelin, by wydostać się na powierzchnię. Tak oto nagle zaczęły tryskać wodą wszystkie okoliczne piezometry – woda wybija z nich przez nawiercone sondy i szuka sobie najdogodniejszej „drogi do morza".

W trawertynowej skałce we wsi Laski jedyna w Polsce jaskinia martwicowa nagle stała się szczególnym fenomenem, bo oto zaczęły z niej tryskać wody artezyjskie, wypływa z niej wartki strumień, w środku można sobie zrobić zdjęcie z jedynym poza terenem Tatr polskim wodospadem jaskiniowym. Turyści się cieszą, tubylcom nie jest do śmiechu, bo nie wiadomo, gdzie i kiedy wytryśnie następne źródło – a nuż w sypialni. Wody się podnoszą, okoliczny las jest już zalany, wyrasta prosto z wody, widok jest zaprawdę surrealny.

Najbardziej surrealnie prezentuje się jednak obwodnica Bolesławia, budowana za ciężkie miliony, oddana do użytku z pompą w grudniu 2022 r. i zamknięta dwa miesiące później wskutek zalania. Kopalnie rudne miały płytkie pokłady, dlatego ziemia się pod nimi zapada, a tam, gdzie powstają leje, natychmiast wysącza się woda, tworząc nowe zalewiska. I tak właśnie obwodnica zmieniła się w podwodnicę przejezdną tylko dla amfibii – kuriozum przyciągające turystów.

Turyści się cieszą, tubylcom nie jest do śmiechu, bo nie wiadomo, gdzie i kiedy wytryśnie następne źródło – a nuż w sypialni.

Gorzej, że ziemia się zapada także pod miastem – na razie na pobliskim cmentarzu, gdzie część grobów jest już obwiedziona barierkami ochronnymi z zakazem wstępu – rodziny mogą sobie stawiać znicze na odległość. Kolejne zalewiska pojawiają się spontanicznie i powiększają, bo wody przybywa i podmywa ona skarpy – mówi się już o nowo powstającym Pojezierzu Olkuskim. Powinno się na taką wycieczkę zabierać wszystkich krótkowidzów ekologicznych, wiernych biblijnemu przekazowi o tym, by ziemię czynić sobie poddaną. ■

eprasa.pl d531504b05

JAK ZA DAWNYCH LAT

Górnik z Pucharem Polski, Lech o krok od mistrzostwa

Wojciech Kuczok

„Zagraj, zagraj jak za dawnych lat", śpiewają kolejne pokolenia kibiców Górnika Zabrze. No i wyśpiewali sobie wreszcie trofeum. Te dawne lata to bezprecedensowa seria triumfów, które Zabrzanie odnosili między 1957 a 1972 r.: w ciągu tych 15 lat 10 tytułów mistrza Polski, w tym pięć razy z rzędu! Do tego sześć Pucharów Polski – także pięć z rzędu! – i finał europejskiego Pucharu Zdobywców Pucharów. Polski futbol klubowy nigdy nie miał drużyny tak potężnej. To wtedy grali zawodnicy legendarni, z supersnajperem Ernestem Pohlem, którego imię nosi obecny stadion Górnika, a później także Włodzimierzem Lubańskim czy Zygfrydem Szołtysikiem.

Zabrze to Górnik, mieszkańcy tego przemysłowego miasta budowali swoją tożsamość na sukcesach górniczej jedenastki. Dzisiaj widać to jeszcze wyraźniej, zwłaszcza jeśli odwiedzi się robotnicze osiedle w pobliżu nowoczesnej areny – jej bryła dominuje w pejzażu przedwojennych bloków, jakby wylądował statek kosmiczny pośród familoków, nawet pijaczkowie pod Żabką przestają czuć się anonimowo, gdy popijają pyfko z widokiem na „ich stadion". Stadion skądinąd wreszcie dobudowany do końca, nowoczesny, pojemny i słynący ze specyficznej akustyki, która czyni go najgłośniejszym obiektem w kraju. Dzieciom zaleca się słuchawki, od dopingu w Zabrzu można ogłuchnąć.

W 1972 r. ostatni dotąd zdobyty puchar dla Zabrzan wznosił kapitan tamtej wielkiej jedenastki, Stanisław Oślizło. 2 maja uczynił to ponownie, bo w Zabrzu o legendy klubowe potrafi się dbać. Wieloletni lider górniczej defensywy, a także filar obrony reprezentacyjnej w latach 60., w tym roku skończy 89 lat i jako nestorowi śląskiego klubu oddano mu honor i przywilej odebrania pucharu.

Jedynym zgrzytem był fakt, że pod nieobecność prezesa PZPN (problemy komunikacyjne w trasie powrotnej z kongresu FIFA) trofeum wręczał mu obecny rezydent pałacu przy Krakowskim Przedmieściu, na szczęście natychmiast po wręczeniu pucharu sobie poszedł i obyło się bez obściskiwań.

Lukas Podolski spełnił zatem swoje marzenie na zakończenie kariery – zdobył z ukochanym klubem trofeum, o czym nie omieszkał w typowy dla siebie swojski sposób powiedzieć do 50-tysięcznej widowni Stadionu Narodowego („Jak tu przyszłem, pedziałem – do pięciu lat coś bedziemy mieć w ręku. I że to sie k… udało na mój ostatni sezon, to jes niymożliwe!"). Podolski lada chwila ma się stać właścicielem Górnika, w czerwcu skończy 41 lat i w sezonie grywał już tylko symbolicznie w końcówkach, ale mając w perspektywie występy w Europie, być może nie zawiesi jeszcze butów na kołku.

FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

eprasa.pl d531504b05

Finał Pucharu Polski Górnik Zabrze-Raków Częstochowa. Warszawa, Stadion Narodowy, 2 maja 2026 r.

W meczu finałowym istniała tylko jedna drużyna, odpowiednio zmotywowana i mądrze budowana przez ostatnie lata: Górnik zdominował częstochowski Raków i wygrał pewnie po ładnych bramkach „dwóch Maksów": Roberta Massima i Maksyma Chłania. Co ciekawe, słowacki szkoleniowiec Zabrzan, Michal Gašparík, w ostatnich pięciu sezonach wygrał krajowy puchar po raz czwarty, wcześniej dokonując tej sztuki ze Spartakiem Trnava.

Słowak stworzył w Zabrzu ciekawą międzynarodową paczkę, w której wiodącą rolę odgrywają Czesi: pomocnik Patrik Hellebrand rządzi w środku pola obok Lukáša Sadílka, na lewej obronie walczy Ondřej Zmrzlý, na prawej Michal Sáček, a w środku pola pojawia się także zdolny młodzian Lukáš Ambros. W tym towarzystwie na największą gwiazdę wyrósł jednak błyskotliwy i bardzo szybki skrzydłowy z Ukrainy – Maksym Chłań, o którego spolonizowaniu zaczął nawet marzyć nasz selekcjoner Jan Urban.

Górnik gra solidną piłkę, ale na mistrzostwo jeszcze za wcześnie – w tym sezonie Lecha raczej nie przegoni. Poznaniacy mają świetny finisz rozgrywek, zwłaszcza w prestiżowym starciu z Legią zagrali koncertowo i wysoko rozbili Warszawiaków, ale w ostatnim czasie spotkała ich spora przykrość. Błyszczący fenomenalną formą Ali Gholizadeh po raz kolejny niestety okazał się piłkarzem porcelanowym – właśnie zerwał więzadła krzyżowe, a klub nie przedłużył z nim kontraktu. Taki już los naszej średnio zamożnej ligi – polskie kluby stać na piłkarzy klasy Irańczyka tylko wtedy, gdy ciągnie się za nimi opinia zawodników słabego zdrowia – podatność na kontuzje skutecznie obniża cenę. Trudno sobie jednak wyobrazić, by Lech nie obronił tytułu, musiałby się wydarzyć w ostatnich meczach Poznaniaków jakiś kataklizm.

Duńczyk Niels Frederiksen dokona więc najpewniej sztuki, która nie udała się żadnemu trenerowi w Polsce od 18 lat – w sezonach 2007/2008 i 2008/2009 Maciej Skorża dwakroć z rzędu zdobywał tytuł mistrzowski z Wisłą Kraków. Pan Maciej zresztą właśnie zakończył swój kilkuletni staż w Japonii (przed trzema laty wygrał z Urawa Red Diamonds azjatycką Ligę Mistrzów) i przed nowym sezonem będzie najgorętszym nazwiskiem na trenerskim rynku.

Lech w ostatnich sezonach wyrobił sobie w Europie markę i nabił tyle punktów rankingowych, że latem będzie o krok od awansu do Champions League – z uwagi na zaskakujące rozstrzygnięcia na finiszu sezonu w ligach europejskich może być nawet rozstawiony i uniknąć morderczo silnych rywali.

Spośród sensacji ligowych największa szykuje się w lidze szkockiej, gdzie edynburski Heart of Midlothian właśnie rozprawił się z Glasgow Rangers i do zdobycia tytułu pozostaje mu wybronić się w ostatniej kolejce na boisku Celticu. Po raz ostatni ekipa spoza Glasgow wygrała mistrzostwo… 42 lata temu, a tego cudu dokonał poczatkujący podówczas trener Alex Ferguson.

W minionym tygodniu w Champions League wyłoniono finalistów. Pierwszy mecz PSG z Bayernem już przeszedł do historii jako najwspanialsze piłkarskie widowisko XXI w. Padło aż dziewięć goli, a i tak najpiękniejsze wydały mi się w tym spotkaniu strzały niecelne – uderzenie Senny'ego Mayulu w spojenie i bezczelna szarża, jaką przypuścił Michael Olise, który okiwał obrońców przy linii końcowej, by kropnąć w kolejnego i prawie nim zdobyć gola (był słupek).

Wydawało się, że po tym, co pokazały Real i Bayern w rewanżowym meczu ćwierćfinałowym, a zwłaszcza w jego pierwszej połowie, trudno będzie stworzyć widowisko doskonalsze – siedem goli w meczu o najwyższą stawkę takich tytanów to już nadzwyczaj obfite danie.

W Paryżu trafiły na siebie drużyny wybitne, będące u szczytu formy, postawiły na nieustanną ofensywę, a sił im starczyło na pełne półtorej godziny – powstało dzieło doskonałe, niezapomniane, skończone, futbolowa Kaplica Sykstyńska; jeśli ktokolwiek ma wątpliwości, czy piłka jest sztuką, powinien sobie ten mecz oglądać w chwilach zawahania. Michael Olise i Luis Díaz z jednej strony oraz Chwicza Kwaracchelia i Ousmane Dembélé z drugiej dali popisy godne Złotej Piłki. W rewanżu już takich fajerwerków nie było – dwaj ostatni od razu na początku meczu przeprowadzili bramkową akcję, po której Bayern się nie podniósł. To PSG było bliższe podwyższenia wyniku, a najlepszym graczem na boisku okazał się leciwy bramkarz Bawarczyków, Manuel Neuer.

Polski futbol klubowy nigdy nie miał drużyny tak potężnej. W Górniku grali zawodnicy legendarni: Ernest Pohl, Włodzimierz Lubański czy Zygfryd Szołtysik.

Gigantyczne kontrowersje wywołała reakcja arbitra na ewidentną rękę w polu karnym João Nevesa, pomocnika Paryżan. Sędzia puścił grę dalej, jak się okazało – prawidłowo, bo wedle przepisów zagranie ręką piłki odbitej od kolegi z własnej drużyny nie jest wykroczeniem.

Bayern w ostatniej chwili wyrównał po pięknym strzale Harry'ego Kane'a, ale był to gol na otarcie łez. PSG było lepsze, Luis Henrique stanie za kilka tygodni przed szansą na obronę najcenniejszego trofeum w piłce klubowej. Za rywali będzie miał Arsenal Mikela Artety – jego podopieczni okazali się minimalnie lepsi od Atlético Madryt, a uskrzydlił ich wynik rozegranego dzień wcześniej meczu między Manchesterem City i Evertonem. The Citizens sensacyjnie stracili w Liverpoolu punkty, dzięki czemu Kanonierzy ponownie stanęli przed, wydawałoby się, straconą szansą na odzyskanie mistrzostwa Anglii po z górą 20 latach. Bądźmy czujni – jeśli ktoś może spartaczyć pewny tytuł na ostatniej prostej, to właśnie Arsenal. ■

eprasa.pl d531504b05

Jak ryby nauczyły się chodzić

To Księżyc mógł zmusić naszych rybich przodków do wyjścia na ląd

Rebecca Boyle

Ryby takie jak *Tiktaalik* i jej krewniaczki dały początek pierwszym zwierzętom o czterech łapach, które chodziły po ziemi.

Nasza historia jest niezwykła. Z tego, co nam wiadomo, żadna inna planeta nie stworzyła takiej menażerii jedzących, śpiących, oddychających i rozmnażających się form życia jak ta, która zamieszkuje i obdarza powietrzem i paliwem Ziemię, nie wspominając o globalnym społeczeństwie, które wykorzystuje te produkty jako siłę napędową.

Życie mogło pojawić się na początku dziejów naszej planety, wkrótce po tym, jak kipiąca Ziemia i jej rozżarzony, stopiony Księżyc ostygły. Jednak przez zdecydowaną większość istnienia układu Ziemia-Księżyc było ono boleśnie monotonne. Drobnoustroje, które w pewnym momencie rozkwitły w ziemskich oceanach, zostały tam na całą wieczność, mnożąc się, ale nie robiąc nic innego. Ziemskie życie ewoluowało w ostatnich dziesięciu procentach istnienia naszego globu.

Tylko raz w długich, gwałtownych i fantasmagorycznych dziejach życia kręgowce opuściły wodę i zamieszkały na lądzie. Co prawda wróciły – nasi krewni posiadający kręgosłup przeprowadzili się z powrotem do wody, by wyewoluować w bardziej złożone formy. Dużo później ssaki też wróciły do środowiska wodnego, przekształcając się z niewielkich stworzeń przypominających psy, ale bliżej spokrewnionych z hipopotamami, w charyzmatyczne delfiny i gargantuiczne wieloryby. Wiemy jednak, że ryby opuściły wodę tylko raz, by wyewoluować we wszystkie kręgowce, które kiedykolwiek chodziły po Ziemi – od dinozaurów, przez słonie, po nas, ludzi. Ryby te prawdopodobnie zjawiły się wraz z pływem, co oznacza, że to Księżyc wywlókł na brzeg naszych rybich przodków.

Kolebką różnorodnych kręgowców była strefa pływów. Najsilniejsze z nich pozostały też na tym obszarze.

Złożone życie wciąż było dość młode, gdy doszło do tego zdarzenia w okresie dewońskim, który trwał między 419 a 359 mln lat temu. Brzmi, jakby to była odległa epoka, ale w skali czasowej Ziemi i Księżyca było to raptem przed momentem. Minęły ponad 4 mld lat od synestii i eonu hadeńskiego.

Gdy dzień trwał tylko 21 godzin, Księżyc wydawał się na niebie o 5% większy, a jego bliskość powodowała pokaźne pływy, o wiele bardziej ekstremalne od tych, które obmywają świat współcześnie.

Rośliny, być może wyrzucone na brzeg przez przypływ, w końcu zaczęły kolonizować ląd. Pierwsze drzewa i lasy wyrosły w dewonie, zwanym także epoką ryb. Choć proste zwierzęta, takie jak żebropławy, istniały już od ok. 140 mln lat, to nowe rodzaje ryb zaczęły się pojawiać, dopiero gdy oceany wytworzyły całą mozaikę nowych form życia. Niektóre z nich zaczęły nawet oddychać powietrzem.

Obecnie ryby oddychają skrzelami, pobierając tlen rozpuszczony w wodzie, a wydalając dwutlenek węgla. Ludzie oddychają przez pęcherzyki w płucach, wymieniające tlen na dwutlenek węgla. Jednak większość współczesnych ryb prócz skrzeli posiada też coś w rodzaju płuc. Ten płucopodobny narząd,

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl d531504b05

zwany pęcherzem pławnym, działa jak napełniony tlenem balast, chroniący zwierzęta przed zatonięciem lub zbytnim wypłynięciem. Niektóre ryby, w tym noszące trafną nazwę dwudyszne, potrafią również wykorzystywać te struktury do oddychania powietrzem.

Owe napełnione tlenem narządy występują u wszelkiego rodzaju ryb i jest to dowód na to, że płuca wyewoluowały bardzo dawno temu. Musiały się one pojawić, zanim nasi praprzodkowie podzielili się na dwie odmienne od siebie grupy ryb, co nastąpiło mniej więcej od 443 do 420 mln lat temu. Płuca są jednymi z najstarszych narzędzi w zestawie ewolucyjnym. Ale dlaczego w ogóle powstały w wyniku ewolucji, skoro wszystkie zwierzęta morskie mogą pobierać potrzebny im tlen z wody?

Podczas odpływu płytkie baseny pływowe ogrzewały się i traciły tlen. Ryby, które zostały tam uwięzione, zginęłyby w ciągu kilku minut, gdyby nie zdołały dotrzeć z powrotem do wody. „W takim środowisku miałoby sens, by ryby wykształciły narządy do oddychania powietrzem", powiedział mi Per Ahlberg, paleontolog ze szwedzkiego Uniwersytetu w Uppsali i wiodący badacz ewolucji czworonogów. Skoro przodkowie naszej wewnętrznej ryby jeszcze nie potrafili chodzić, to przynajmniej mogliby zaczerpnąć odrobinę powietrza, by przeżyć i przekazać swoje geny.

W pewnym momencie okresu dewońskiego te ryby wyposażone w prymitywne płuca poszły dwiema oddzielnymi drogami. Te dwie główne grupy zadecydowały o początkach królestwa zwierząt na Ziemi. Pierwsza to promieniopłetwe, przodkowie najbardziej znanych gatunków ryb – od złotej rybki, przez koniki morskie, po łososia. Druga grupa to mięśniopłetwe, które stały się przodkami wszystkich pozostałych zwierząt kręgowych na naszej planecie.

Kilka milionów lat po tym, jak w drodze ewolucji nabyły one płuca, niektóre szczęśliwe mięśniopłetwe ryby – grube, w kształcie torpedy, zapewne zielonkawoszare, by lepiej kryć się na brunatnych płyciznach – zaczęły stosować swoistą sztuczkę. Kiedy przychodził odpływ, poziom wody zmieniał się o przeszło 15 m. Ryby te utknęłyby w płytkich basenach pływowych, gdyby nie znalazły sposobu, by z nich uciec.

Kiedy woda cofała się pod wpływem przyciągania Księżyca, promieniopłetwe podrygiwały na wysychającym piasku, a ich skrzela rozszerzały się bezradnie. Choć tłustsze i większe mięśniopłetwe, które żywiły się nimi, trudno byłoby rozpoznać w naszym drzewie genealogicznym, to stanowią one zasadniczą część ludzkiego rodowodu. Ich mięsiste przednie płetwy były wystarczająco sztywne, by utrzymać ciężar rybiego ciała. Wewnątrz miały ości przypominające kości ramienne, łokciowe i promieniowe znajdujące się w waszych ramionach. Owe ości zbliżone do kości ramienia były przymocowane do ciała pojedynczym stawem po obu stronach, tak samo jak wasze barki łączą kości ramienne z tułowiem. Dzięki tym zaawansowanym płetwom nasi korpulentni przodkowie mogli zmierzać do celu nawet bez wody, w której dałoby się pływać. Potrafili bowiem przeczołgiwać się na piasku, przeciskać w stronę kolejnego płytkiego, mulistego schronienia, z którego czmychali z powrotem do wody. Dzięki temu, że oddychali powietrzem i poruszali kończynami, nie byli skazani na uduszenie czy głód do czasu, gdy Księżyc wciągnął wodę znów na brzeg i tym samym ich uwolnił.

Ewolucja faworyzowała formy, które potrafiły pokonywać większe odległości: bardziej płaskie, krępe i równomiernie rozwinięte płetwy mogły pomóc rybom posuwać się przed siebie po dnie przybrzeżnych płycizn. Wyobraźcie sobie i porównajcie chodzenie po piasku w butach z chodzeniem boso – różnica leży w przyczepności. Z biegiem eonów płetwy przekształciły się w mięsiste płaty, które pomogły naszym odległym krewnym podnieść głowy i zacząć pełzać. Księżyc kierował najsilniejsze stworzenia do brzegu, gdzie przybierały rozmaite, przyprawiające o zawrót głowy kształty i rozmiary. Kolebką różnorodnych kręgowców była strefa pływów. Zresztą najsilniejsze z nich pozostały też na tym obszarze. Najmniejsze, najbardziej delikatne spośród promieniopłetwych odsunęły się od lądu w kierunku bezpiecznej głębi mórz, gdzie znajdowały się poza zasięgiem polujących na nie mięśniopłetwych drapieżników i gdzie Księżyc nie mógł już z taką łatwością kontrolować ich losów.

Na przestrzeni wielu pokoleń tłuste mięśniopłetwe ryby wykształciły rozmaite losowe zmiany, które pomagały im szybciej chodzić. W tym czasie cykl się powtarzał: Księżyc zarządzał odpływ, a ryby chodziły poza wodą.

Ryby opuściły wodę tylko raz, by wyewoluować we wszystkie kręgowce, które kiedykolwiek chodziły po Ziemi.

Po kilkuset milionach jego obrotów wokół Słońca dwunożne ssaki pochodzące od owych ryb wydobyły część takich ości ze skały odsłoniętej na kanadyjskiej arktycznej Wyspie Ellesmere'a nieopodal koła podbiegunowego. Ludzie nazwali jedną z tych ryb *Tiktaalik*, zobaczyli w jej skamieniałych szczątkach echa samych siebie i związek z własną wodną historią. *Tiktaalik*, pierwsza ryba posiadająca szyję i prymitywny nadgarstek, prawdopodobnie miała zarówno płuca, jak i skrzela. Ryby takie jak *Tiktaalik* i jej krewniaczki dały początek czworonogom, pierwszym zwierzętom o czterech łapach, które chodziły po ziemi. Potomkowie pierwszych szczęśliwych chodzących ryb, uwięzieni na płyciznach przez pływy, zostali wspólnymi przodkami dinozaurów, ptaków, gadów, ssaków, mnie i ciebie.

Fragmenty książki Rebekki Boyle *Księżyc*, przeł. Monika Skowron, Feeria, Łódź 2025

eprasa.pl d531504b05

JOLKA

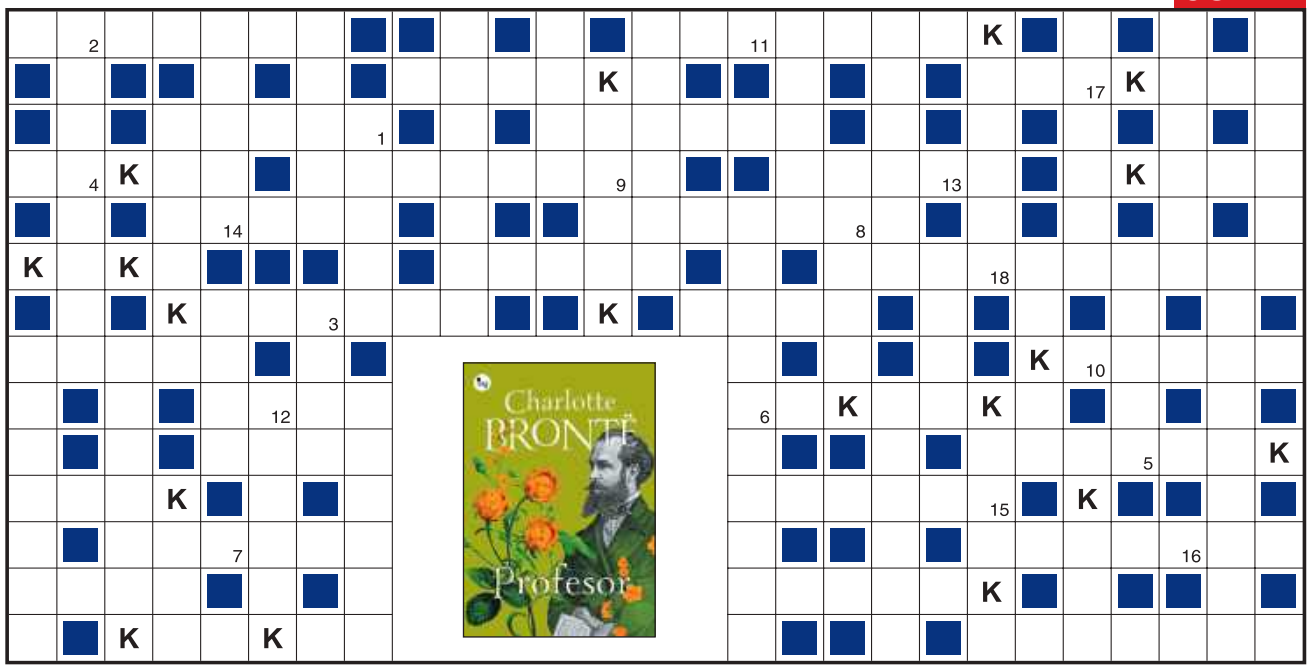

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery K ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 18 utworzą końcowe hasło.

- aktora, pisarza lub wywiadu
- roślina z morskiej toni
- imię uwolnionego dziennikarza Poczobuta
- od tycich dikdików po wielkie gnu
- program NASA z lądowaniem na Księżycu
- ojciec Oktawa i Zerbinetty w „Szelmostwach Skapena”
- lodowa kraina wokół bieguna północnego
- demoralizacja, znieprawienie
- zamek błyskawiczny
- można milczeć jak on
- sytuacja bez wyjścia, zacięcie w negocjacjach
- religia głosząca wiarę w Allaha
- wiara w… osobowego Boga to teizm
- zielony pies Solarisa
- klatka taśmy filmowej
- produkt odgazowania węgla kamiennego
- dawniej o statyście lub kimś bez znaczenia
- miasto z Kazimierzem
- niewielki zawór, kurek beczułki
- na końcu zdania oznajmującego
- sympatyczna panna z turnusu trzeciego
- zbiórka datków na szczytny cel
- amator w jakiejś dziedzinie
- łodygi kartoflane
- mają swój turniej w Bogatyni
- aresztowania, eksmisji lub rozbiórki
- wręczany za dobrą obsługę
- …przednie – dziurki w nosie
- uchodzi do Zalewu Szczecińskiego
- mgła lub woń wydzielająca się z substancji
- kogoś przed atakiem, roślin przed mrozem
- rzeżucha lub on na wielkanocną dekorację
- dzieło świadomie, celowo naśladujące
- entomolog lub filatelista i botanik z cyklu o Muminkach
- dwupoziomowy autobus albo wagon
- koc z grubej wełnianej tkaniny
- tkanina na obicia albo na misie
- narzędzie do orania
- echo, rezonans
- opiekunka rodzącej
- rana od kuli
- stary, poczciwy Burek
- klasyfikacja szkół, zawodników
- …szwedzka, żona Przemysła II
- młotem, dyskiem lub oszczepem
- do wyświetlania przezroczy
- …w Clermont zwołany przez Urbana II
- łódź na pokładzie statku
- „…Kilimandżaro” z Gregorym Peckiem
- Stuhr śpiewał: „Ja po prostu niestety mam…”
- „stolica” Węgier w 1528 r.
- Słoneczny lub ćwiczony taneczny
- żywy, psotny dzieciak
- François, średniowieczny poeta i awanturnik
- tak mówił szlachcic do szlachcica
- rzucik
- śnieżny wzgórek
- płatniczy lub żylny
- okucie do mocowania skrzydeł drzwi i okien
- ancymonek, gagatek
- mieszanka, zbitka różnych elementów
- córka Ewy Horeszkówny

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1273”. Do rozlosowania książki „Profesor” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 17 maja 2026 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1270” z nr. 17: *Wielomowny rzadko słowny.*
Nagrody otrzymują: Anna Dymalska z Wrocławia, Janusz Stawicki ze Szczecina, Aleksandra Szewczyk z Krakowa.

eprasa.pl d531504b05

Unia zapomniana

W MSZ świętowano 22. rocznicę naszego członkostwa w Unii Europejskiej. A przynajmniej ją zauważono – na stronie internetowej znalazł się okolicznościowy materiał.

Rocznicę tę wzmiankowano również w Ministerstwie Funduszy i Polityki Regionalnej oraz w Ministerstwie Rolnictwa i Rozwoju Wsi. I tyle! Już Kancelaria Prezesa Rady Ministrów przeszła obok niej obojętnie – nie raczyła nawet wspomnieć tego wydarzenia w krótkiej notce. To dziwne, bo członkostwo w Unii Europejskiej w sposób zasadniczy Polskę zmieniło. Premier Tusk, który był przewodniczącym Rady Europejskiej, na tym przecież buduje legitymację swoją i swojej formacji. A tu – cisza…

Co więcej, jeżeli popatrzymy na funkcjonowanie rządu, to przecież praktyka wskazuje, że sprawy unijne są bardziej w kręgu zainteresowania premiera niż szefa MSZ. Tak już jest od lat. Tak też było za PiS. I niewiele tu się zmieniło.

Spójrzmy zresztą na naszych ambasadorów przy UE. Donald Tusk po objęciu władzy postarał się, by ambasadorem przy Unii został Piotr Serafin. Gdy Tusk pełnił funkcję przewodniczącego Rady Europejskiej w latach 2014-2019, Serafin był szefem jego gabinetu. Dziś jest komisarzem ds. budżetu, zwalczania nadużyć finansowych i administracji publicznej, można więc rzec, że Donald Tusk w sprawach europejskich trzyma rękę na pulsie.

Kiedy Serafin został komisarzem UE, jego miejsce w ambasadzie zajęła Agnieszka Bartol. Ona także z MSZ ma niewiele wspólnego, przez lata pracowała w Brukseli, w Radzie Unii Europejskiej. W lutym 2024 r. przeniosła się do Warszawy, na stanowisko sekretarza stanu w KPRM. Szefową naszego przedstawicielstwa przy UE została 22 października 2024 r., 10 tygodni przed objęciem przez Polskę prezydencji w Radzie Unii Europejskiej, ale jako chargé d'affaires a.i. Tygodniami zabiegano więc u Andrzeja Dudy, by podpisał jej nominację ambasadorską. I tak się stało. 31 marca 2025 r., parę tygodni przed zakończeniem naszej prezydencji…

Aż się prosi zapytać, czy Mateusz Morawiecki też tak pilnował, by ambasadorem przy Unii był jego współpracownik. Chyba nie – ambasadorem przy UE był wówczas Andrzej Sadoś, w różnych ankietach dotyczących ambasadorów państw członkowskich oceniany jako jeden z najsłabszych. Ale Sadoś miał partyjno-pisowski sznyt i tamtej ekipie odpowiadał. Choć – warto o tym pamiętać – wcześniej PiS miało olbrzymie kłopoty z obsadą tego stanowiska. Owszem, minister Waszczykowski szybko odwołał z Brukseli Marka Prawdę (potem został on przedstawicielem UE w Warszawie), ale jego następcy szukano całymi miesiącami. Wybrano Jarosława Starzyka, dyplomatę pracującego w MSZ od 1989 r. Szybko jednak padł on ofiarą wewnątrzpisowskich rozgrywek. I znów w Brukseli przez kilka miesięcy nie mieliśmy ambasadora… Aż przyszedł czas Sadosia. I było to pewnym szokiem, utarło się bowiem, że na ambasadora przy Unii Polska wysyła swoich najlepszych dyplomatów. A tu PiS pokazało, jak traktuje tę placówkę. I czego od ambasadora wymaga.

Chciałoby się napisać, że dla członków obecnej koalicji rządzącej nasza obecność w Unii to sprawa polskiej racji stanu. I jedna z jej najważniejszych legitymacji do sprawowania władzy. Ale jeśli oni sami o tym nie pamiętają…

Attaché

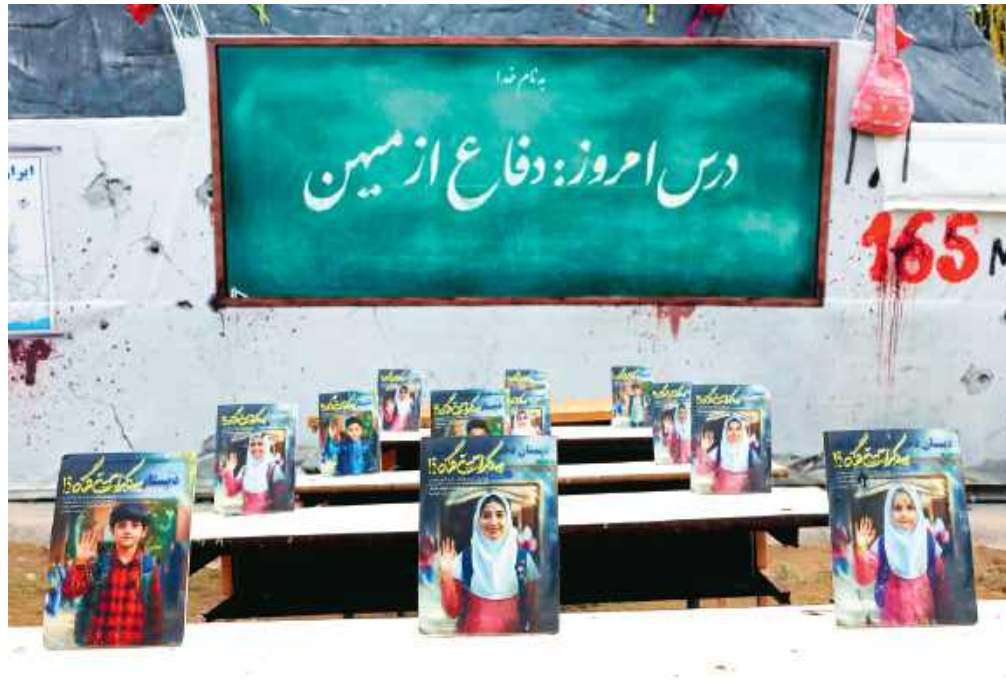

W Teheranie upamiętnieni zostali uczniowie szkoły w Minabie, 73 chłopców i 47 dziewcząt, zabici w amerykańsko-izraelskim ataku z 28 lutego. Nz. jedna z instalacji przedstawiających klasę. 3 maja 2026 r.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl d531504b05

ANDRZEJ SKWORZ,
REDAKTOR NACZELNY

Gdy wczesnym rankiem zobaczyłem na stronie głównej Onetu tekst Mateusza Baczyńskiego, od razu pomyślałem, że ta sprawa wstrząśnie Polską. To była historia o ludziach, którzy najwyraźniej nie potrafią unieść ciężaru własnych fortun. Oto podziwiani i szanowani na świecie biznesmeni kupują nieruchomość w Czechach, by organizować tam rytuały z użyciem tak niebezpiecznych substancji, że wiadra na wymiociny stają się standardowym wyposażeniem przy materacu. Za udział w tych ceremoniach klienci płacili setki, a czasem tysiące euro. (…) I co? I wielkie nic. Materiał „Szamańskie ceremonie, tajemnicza śmierć i miliarderzy od »Wiedźmina«" przeszedł niemal bez echa. Cytowania można było policzyć na palcach jednej ręki – i to głównie w mediach branżowych. Reszta redakcji spuściła zasłonę milczenia. Gdy zaczęliśmy pytać, dlaczego tak się stało, usłyszeliśmy cały repertuar wymówek.

ARNAUD JULIEN-THOMAS,
DZIENNIKARZ

Od 15 kwietnia 2023 r., pośród ciężkich walk, zniszczeń i okrucieństw wobec ludności cywilnej, Sudan rozrywany jest przez wojnę domową. W tym konflikcie naprzeciwko siebie stają wojska Sudańskich Sił Zbrojnych (SAF), dowodzone przez gen. por. Abd al-Fattaha al-Burhana, faktycznego przywódcę kraju, oraz Siły Szybkiego Wsparcia (RSF), dowodzone przez gen. Mohameda Hamdana Dagalo, znanego jako „Hemetti". Według szacunków ONZ od kwietnia 2023 r. zginęło ponad 150 tys. osób, a prawie 13 mln zostało przesiedlonych, z czego 4 mln szukało schronienia w krajach sąsiednich. Wskutek walk szaleje głód, który zagraża 25 mln z 36 mln mieszkańców kraju.

KATARZYNA BUTOWTT,
MODELKA, PSYCHOLOŻKA, WOLONTARIUSZKA

Niedawno czytałam książkę Janusza Głowackiego, kurczę, ja z nim piłam wódkę w SPATiF-ie jako gówniara. Gdyby nie moda, nie miałabym możliwości być wśród tych ludzi, czego wtedy chyba nie doceniałam. To nie była moja bajka, nigdy. Grażyna Hase kazała nam np. jakoś ułożyć włosy, a ja długie obcinałam na całkiem krótkie pomiędzy pokazami. Kazała mi stale mówić do siebie: „pani Grażyno". To była najgorsza kara. Ciągle przechodziła ze mną na „ty" i to odwoływała. Moda to branża nr 3 na świecie, po farmacji i zbrojeniówce, co jest dla mnie absurdalne. Byłam w tym z rozpędu. (…) Traktowałam ją zarobkowo. Frajdą były podróże, byli ludzie, ale moda nigdy mnie nie interesowała. Nie lubię się stroić, przebierać. Zamiast błyszczeć, wolę się odcinać.

MAGDALENA BIELAWSKA,
MISTRZYNI ŚWIATA W PŁYWANIU LODOWYM

Najważniejsza jest psychika, w głowie rozgrywa się walka z myślami, że to niemożliwe, że nie da się rady. Ekscytujący jest pojedynek samej z sobą. Można to wszystko wytrenować, nauczyć się adaptacji do zimna, organizm się przyzwyczai po odpowiednim przygotowaniu. (…) To jest sport wyjątkowo ekstremalny, wszystko może się wydarzyć. Widziałam zawodników, którzy otarli się o hipotermię, ciężko dochodzili do siebie, na szczęście wszystko dobrze się skończyło. Na każdych zawodach mamy odpowiednie zabezpieczenie, ratownicy medyczni dbają o nasze bezpieczeństwo.

FOT. SEKCJA GIMNASTYCZNA, KRAINA MEMAMI PŁYNĄCA, PIC NA WODĘ FOTOMONTAŻ

eprasa.pl d531504b05

BRAKUJĄCE LITERY

W każdym rzędzie wstaw po 6 liter, tak aby odczytać trzy hasła – rozwiązania.

WARATOTYKNISEREM

AŁEYCIJETSKOĄ

KADYZASASOJTWAZ

WIARA TO DOTYKANIE SERCEM, CAŁE ŻYCIE JEST SZKOŁĄ, KAŻDY CZAS MA SWOJĄ TWARZ

Aby język giętki…

ALEKSANDER KWAŚNIEWSKI
O MENTALNOŚCI KAROLA NAWROCKIEGO
Maczyzm, nieliczenie się ze słowem, z prawdą, z innymi, z oponentami, z prawem.

WILHELM SASNAL O KULTURZE
Bez krytycznego spojrzenia staje się polukrowanym dla niepoznaki fałszywym pocieszeniem.

RENATA PRZEMYK
O ULUBIONYM POWIEDZENIU
Człowiek mądrzeje z wiekiem i najczęściej jest to wieko trumny.

GEN. MAREK DUKACZEWSKI
O RAPORCIE Z LIKWIDACJI WSI
Dane dotyczące osób realizujących czynności operacyjno-rozpoznawcze są wieczyście chronione. Nigdy żaden kraj tego nie zrobił. Poza nami.

MAJA KLECZEWSKA
O PREMIERACH SPEKTAKLI
Ja oglądam z ukrycia. Za każdym razem z innego miejsca.

AGATA TURKOT O FILMIE „DOM DOBRY"
Temat, który podjęliśmy, i naturalistyczny sposób pokazania go bez znieczulenia jest wciąż potężnym tabu.

EWA SZYKULSKA O SOBIE
Zapracowałam sobie na ten pysk. Moja twarz opowiada moje życie.

KAROLINA GRUSZKA O AKTORSTWIE
Uczę się stawiać granice, ale czasem potrzebuję się zatracić.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl
listy@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarze redakcji:
Agata Gogołkiewicz a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Marzena Michałek m.michalek@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
Koordynator do spraw wydawniczych: Ilona Morżoł i.morzol@tygodnikprzeglad.pl
ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Pałkiewicz, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Daniel Wójtowicz, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa
Stali felietoniści: Jerzy Bralczyk, Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski
Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator do spraw promocji i reklamy:
Joanna Biegalska j.biegalska@tygodnikprzeglad.pl
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl
Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: P/mint Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA

eprasa.pl d531504b05

Anhar Salem, Corporating/discorporating, kadr wideo

DOJRZEWANIE

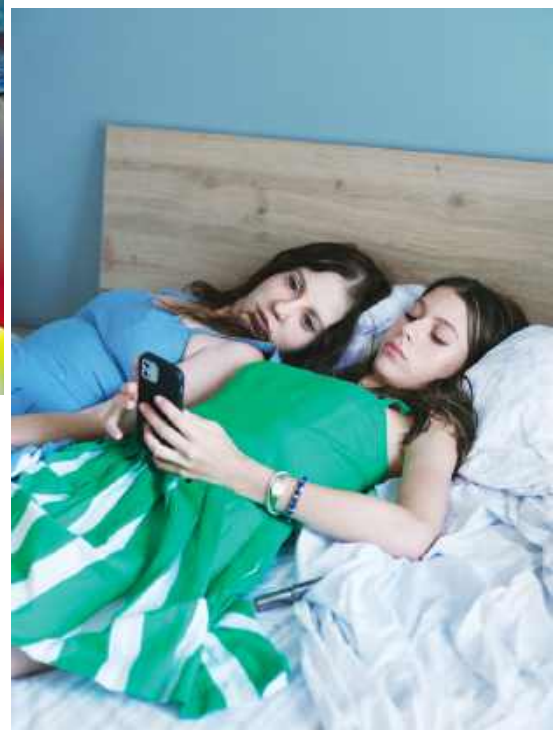

Aneta Grzeszykowska, z cyklu Daughter

Eva Koťátková, Asking the world about its injuries

Ane Hjort Guttu, VOICE, kadr wideo

Na tę wielogłosową opowieść o dorastaniu we współczesnym świecie składają się prace artystek i artystów młodego oraz średniego pokolenia i realizacje osób nastoletnich powstałe w ramach projektów partycypacyjnych. Instalacje, filmy i obiekty tworzą przestrzeń dialogu między pokoleniami oraz refleksji nad kruchością, wstydem, samotnością i potrzebą przynależności. Wystawa podejmuje tematy presji mediów społecznościowych, kryzysu zdrowia psychicznego młodych osób, relacji rodzinnych i poszukiwania tożsamości. Ważnym jej elementem są projekty kolektywne i działania warsztatowe, które stawiają pytania o możliwość budowania wspólnego języka i rolę sztuki jako narzędzia komunikacji i wsparcia.

Zachęta – Narodowa Galeria Sztuki Warszawa, Plac Małachowskiego 3 do 20 września

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl d531504b05

MARCIN MASECKI & BOLEROS

23 MAJA
GDAŃSK
FILHARMONIA BAŁTYCKA

27 MAJA
SZCZECIN
FILHARMONIA
IM. MIECZYSŁAWA
KARŁOWICZA

John Scofield's LONG DAYS QUARTET

23 sierpnia NOSPR, Katowice

15-19 LIPCA 2026

KAZIMIERNIKEJSZYN
WYDARZENIE BEZ SPINKI

KAZIMIERNIKEJSZYN

KAZIMIERZ DOLNY
KAMIENIOŁOMY

KAŚKA SOCHACKA
KACPERCZYK
IGO

PAKTOFONIKA ORKIESTRA • **ŁĄKI ŁAN**
GRZEGORZ **TURNAU** • **BRASS ASTRAL** PROJEKT SPECJALNY
KASIA **SIENKIEWICZ** • NATALIA **PRZYBYSZ**

KATHIA • CINNAMON GUM
KAZIMIERSKA ORKIESTRA DZIADOWSKA

SKRZEK/PIOTROWSKI/ANTHIMOS

SBB

WARSZAWA
KLUB STODOŁA
13 PAŹDZIERNIKA

SZCZECIN
FILHARMONIA
IM. M. KARŁOWICZA
12 MAJA

SŁAWA PRZYBYLSKA

KONCERT URODZINOWY
Z ZESPOŁEM **TANGO ATTACK**

4 LISTOPADA
KLUB STODOŁA

BILETY DOSTĘPNE NA: **TICKETCLUB.PL | STODOLA.PL**

eprasa.pl d531504b05

SEZON 2025/2026

REPERTUAR TCN

TEATR COLLEGIUM NOBILIUM

MIODOWA 22/24
KASA TEATRU CZYNNA STACJONARNIE:
OD WT. DO PT. W GODZ. 15:00 – 19:00
LUB DO ROZPOCZĘCIA PRZEDSTAWIENIA
W SOBOTY W GODZ. 15:00 – 17:00
LUB DO ROZPOCZĘCIA PRZEDSTAWIENIA

MOŻNA SKONTAKTOWAĆ SIĘ Z NAMI RÓWNIEŻ
TELEFONICZNIE: 662 155 960
MAILOWO: KASA@E-AT.EDU.PL
OD WT. DO PT. W GODZ. 11:00 – 19:00
W WEEKENDY W GODZ. 13:00 – 17:00
TCN.AT.EDU.PL

COLLEGIUM NOBILIUM TEATR

MAJ 2026

RÓZIA
REŻ. JACEK BRACIAK

05	06	15	16	
WTOREK 19:30	ŚRODA 19:30	PIĄTEK 19:30	SOBOTA 19:30	SALA IM. J. KRECZMARA

SCHODY, SCHODY, SCHODY
REŻ. WOJCIECH FARUGA

08	09	26	27	28	
PIĄTEK 19:00	SOBOTA 19:00	WTOREK 19:00	ŚRODA 19:00	CZWARTEK 19:00	SCENA GŁÓWNA

„FORMAT" DLA CIEBIE

09 SOBOTA 12:00 – 19:00

DZIEŃ OTWARTY FILII W BIAŁYMSTOKU

SPEKTAKLE DLA DZIECI I DOROSŁYCH

DON GIOVANNI
REŻ. CEZARY TOMASZEWSKI

13	14	
ŚRODA 19:00	CZWARTEK 19:00	SCENA GŁÓWNA

Fot. Zuzanna Mazurek

AKADEMIA TEATRALNA WARSZAWA

Patroni medialni: chilli zet, Przegląd, narni

Partnerzy Teatru: biletomat

eprasa.pl d531504b05